

Jerzy Seipp

Królewna

Wydawnictwo „Książnica”

Nic nie było tak, jak być powinno.

Bartek Zborowski usłyszał pukanie, ale zanim zdążył odwrócić oczy od zalanego deszczem bulaju, pierwszy oficer otworzył drzwi i wsunął głowę do kajuty.

— Dopływamy, panie Bartku! — Z jego sztormowej kurtki kapłała woda. — Jeżeli chce pan zobaczyć wreszcie tę swoją Polskę, to zapraszam do nas. Ale proszę się ubrać, bo leje. — Rzucił nieprzemakalną kurtkę z kapturem na pustą koję.

— Dziękuję. — Bartek spróbował się uśmiechnąć. — Zaraz przyjdę.

Tak bardzo tęsknił za Jen, za jej śliczną twarzyczką: śpiąc, wyglądała na jeszcze młodszą, jeszcze bardziej dziecinną. Ale też od razu przypomniła mu się ta straszna noc sprzed roku, od której wszystko się zaczęło, kiedy nagle, bez żadnego ostrzeżenia, zobaczył swoje życie pełne wolności, kobiet i mnóstwa zmarnowanych pieniędzy i ogarnęła go obłądna, przerażająca w swojej sile rozpacz: nic nie było tak, jak być powinno. Musiał wtedy wstać z łóżka i przez kilka godzin wpatrywał się w noc nad Londynem. Rozpacz narastała w nim tak nieubłaganie, że przeszedł do kuchni i otworzył zamrażarkę. Bo właśnie tam trzymał Jacka Danielsa, rosyjską wódkę i zupełnie niezłego armagnaca. W odruchu samokontroli spojrział jeszcze na zegar — dochodziła piąta rano — ale przygniatający smutek nie do-

puścił do głosu rozsądku. Wybrał bourbona, a kiedy napelniał nim stumililitrową szklaneczkę z kryształu tak cienkiego, że zdawało się, iż nie udźwignie ciężkiego, zgęszczonego mrozem złota, niewiele brakowało, a wybuchnąłby płaczem, takim ze łzami i krzykiem. Przechylił szybko szkło i pozwolił lodowemu płomykowi spłynąć do gardła, gdzie miał zahamować eksplozję niekontrolowanej rozpazy.

Setka amerykańskich delikatesów nie zdążyła nawet zagrzeć się w żołądku, kiedy ręka Bartka sama naląła drugą. Jeszcze raz przechylił szklanekę i jeszcze raz gęsty zmrożony alkohol przyniósł obietnicę natychmiastowego rozwiązania wszystkich problemów i niepokojów. Żądał jedynie kilku minut na prawidłowe wyomoszczenie się w obolałym organizmie.

— Co się dzieje? — myślał przerażony Bartek. — Co się dzieje?...

Najbardziej bał się powrotu samobójczych obsesji, które przez całe jego życie, odkąd pamiętał, nawiedzały go i odpływały, co wcale nie znaczyło, że były przez to mniej bolesne, mniej niebezpieczne. Wiedział, że to ataki potwora, którego nie kontroluje, przed którym broni go jedynie błogosławieństwo instynktu samozachowawczego, i że za którymś razem ten potwór może zwyciężyć. A mimo pociągającego wizerunku śmierci jako bezbolesnej nirwany Bartek Zborowski czuł, że wcale nie chce umierać. Kilka tygodni wcześniej skończył trzydzieści trzy lata. „Dlaczego nie pójdziesz do psychiatry?” spytała kiedyś jego ówczesna miłość, gdy poskarżył się na swoją niemożność odczuwania szczęścia. „Nie mam wyjścia. Po prostu dołączę do grupy ponad siedemdziesięciu procent Europejczyków, którzy na jakimś etapie życia korzystali z takiej czy innej formy pomocy psychologicznej.”

— Co się dzieje? — zaspana Jen stanęła w drzwiach kuchni, przecierając oczy. Była taka piękna; miała dziewiętnaście lat, twarz i włosy anioła, który zstąpił ze średniowiecznego obrazu i przekornie przybrał ciało spragnione posmakowania każdej

nieprzyzwoitości, jaką podpowiadała jej dziewczęca wyobraźnia. Jen była religijna, nigdy jednak nie zaakceptowała żadnego argumentu głoszącego, że miłość fizyczna to grzech. Pewnemu rozłoszczonemu jej nieustępliwością księdzu powiedziała kiedyś: „Proszę to jeszcze raz sprawdzić u Pana Boga”. Nie było na nią siły. I wcale nie oznaczało to, że jest puszczalska, broń Boże! Po prostu żeby żyć, musiała być zakochana. Była skarbem, dla którego warto poświęcić wiele męskich rytuałów, a Bartek miał dostatecznie dużo doświadczeń z kobietami, by wiedzieć, że takich skarbów nie znajduje się zbyt często.

Spojrzał teraz na nią zrozpaczony, obezwładniony przez alkohol.

— Nie wiem, Jen — wymamrotał ze łzami w oczach. — Czuję się, jakbym miał zaraz umrzeć.

Podeszła do niego. Miała na sobie podkoszulek tak króciutki, że kiedy przytuliła jego głowę do swojego brzucha, jej miękkie jasne włosy łonowe znalazły się tuż przy jego twarzy.

— Biedny Bartek — głaskała go za uchem. — A nie chcesz mi wierzyć, kiedy ci tłumaczę, że to nie ty rządysz tym przedstawieniem. — Postawiła stopę na krześle, na którym siedział. Nie przyciskała go; pomagając sobie ręką skierowała jego usta do swojego wnętrza. — Musisz zacząć się modlić, kochany, po prostu musisz. Albo zginiesz. Zobaczysz, jaką ulgę poczujesz, kiedy wypowiesz wreszcie słowa: „Niech się dzieje wola Twoja, a nie moja, Panie”.

Bartek lubił jej poranny zapach, toteż nie miał problemów z wysunięciem języka. Ale ponieważ pozycja była dosyć akrobatyczna i niewygodna, zsunął się z krzesła na podłogę, opierając o nie tylko głowę. Jen natychmiast przestawiła na dół stopę i przytrzymując się oparcia, łagodnie przytuliła krocze do jego ust. Rozciągając jej pośladki lizał ją długimi pociągnięciami, chwilami zatrzymując się, aby spenetrować językiem jej wnętrze. Pomagała mu krótkimi ruchami miednicy, starając się nie siadać zbyt mocno.

— Och, kochany... kochany...

Krzyknęła krótko i oderwała się od niego, siadając mu ciężko na nogach. Całowała jego twarz, chłonąc własne smaki.

— Kochany...

Było mu bardzo dobrze w tej chwili, lecz wkrótce znowu zrobiło się niewygodnie z tą głową opartą o krzesło; poczuł zimno, siedząc gołym tyłkiem na deskach kuchni. Był też za stary, żeby nie zdawać sobie sprawy z ulotności takich stanów. Ile czasu będą się jeszcze tak podniecać nawzajem? Miesiąc? Rok?... A kiedy bodźce przestaną działać, co może im zostać oprócz lęku przed samotnością? Nie chciał się jeszcze poddawać. Chciałby ją kochać do starości, do śmierci. Wiedział jednak, że to niemożliwe. Bo nie zamierzał się z nią żenić. Bo nie chciał z a k ł a d a ć rodziny. A Jen chciał tylko wolną, niezależną, żyjącą własnym życiem, a nie dopytującą się o jego. Musiał wierzyć, że wkrótce go zostawi i pofrunie dalej, dzika i swobodna. Wolał za nią płakać, niż usłyszeć: „Chcę, żebyś poznał moich rodziców”.

Statkiem zakołysało. Bartek doprowadził się do porządku, umył ręce, zapiął spodnie i włożył kurtkę sztormową. Na pokładzie zacinał deszcz, ale jemu się podobało. Lubił morza całego świata, lecz odkąd wpłynęli na Bałtyk, czuł coś wyjątkowego, naprawdę. Od ponad dwudziestu lat nie był w kraju i nigdy specjalnie nie tęsknił. Teraz, po okrążeniu całej ziemi, będzie mógł znowu zobaczyć miejsca kojarzące się z takimi słowami, jak „babcia”, „podwórko”, „zośka”. Nie wiedział o tym wcześniej, ale okazało się, że nosi w pamięci zapach Bałtyku, jego kolor, kształt fal, tak jak i szary kolor nieba z ciemną krechą ładu przecinającą horyzont.

— No i doczekał się pan — pierwszy oficer podał mu lornetkę. — Żeby się pan tylko nie rozczarował.

— Myśli pan, że do tej pory wykupili cały ocet? — Kiedy wyjeżdżał, nawet słodczyce były na kartki.

— O, sklepy to są akurat pełne, ile dusza zapragnie. Żeby tylko panu zielonych starczyło. To już nie to co kiedyś. Drogo jak wszędzie.

— Na golonkę z wyborową w kubelku z lodem chyba jeszcze będzie mnie stać.

— W każdym razie na tę pierwszą zapraszam pana od razu tutaj, w Gdyni. Znam dobre miejsce.

Kiedy cumowali przy nabrzeżu, było już ciemno. Jeden z celników przeprosił, że musi porządnie zrewidować nie tylko bagaż, ale i samego Bartka.

— To przez te narkotyki — mówił, sprawdzając dokładnie jego torbę podróżną. — Z tego kierunku musimy wszystkich badać jak doktor, do golasa.

Bartek pobłogosławił chwilę, w której postanowił, że resztki trawy, której nie spalił podczas podróży, wyrzuci do morza.

Zejście na ląd obyło się bez mistycznych przeżyć — w końcu zwiedził sześć kontynentów — przyniosło za to niewątpliwą przyjemność: dotarcia do celu po długiej podróży. Na pierwszego oficera też nikt nie czekał, więc razem wzięli jedną ze stojących w długiej kolejce taksówek. Bartek nie zgodził się nocować u niego, poprosił o zawiezenie do przyzwoitego hotelu, który go nie zrujnuje. Umówili się za dwie godziny „u Heni”, w restauracji, do której ponoć każdy taksówkarz zna drogę.

W hotelu zaniósł bagaż do pokoju. Nie czuł się ani brudny, ani zmęczony, toteż od razu wyszedł na spacer. We wszystkich miastach, do których dotarł w swoim życiu włóczędzy, było to jego podstawowe zajęcie: łażenie ulicami dniem i nocą, chłonięcie lokalnego życia z pozycji obserwatora nie muszającego poddawać się jego pośpiechowi.

Na dworcu kolejowym wymienił w kantorze sto dolarów i sprawdził pociągi do Warszawy; był duży wybór. Pamiętając, że będzie dzisiaj pił wódkę, zdecydował się na ekspres odjeżdżający około południa.

Część I

GWIAZDKA Z NIEBA

*Był sobie król, był sobie paż
I była też królowna*

ROZDZIAŁ I

Niedziela zapowiadała się wspaniale. Słoneczko wreszcie grzało tak jak powinno, na niebie ani jednej chmurki. Aby upewnić się co do tego, uniosłem twarz i przymknąwszy oczy delectowałem się przez chwilę latem w mieście. Czułem, że gęba mi się cieszy i chyba chciałem podzielić się tą radością, bo otwierając oczy rozejrzałem się po ludziach. I może tylko dlatego na przystanku autobusowym zatrzymałem wzrok o te pół sekundy za długo.

Wyszedłem właśnie z delikatesów „Tokaj” na Marszałkowskiej, niosąc w torbie gorącego kurczaka z rożna (promocja! tylko 12 zł sztuka!), a w drugiej ręce ciężki zestaw czterech półlitrowych zimnych puszek piwa. Do tego pod pachą ściszałem chrupiącą bagietkę i do cholery, planowałem tylko przejść szybkim krokiem te parę metrów do mojego mieszkania na Wspólnej i z nogami na stole, a oczami wlepionymi w ekran telewizora zjeść obiad. Dochodziła druga po południu, zaraz miał się zacząć wyścig Formuły 1 o Grand Prix Wielkiej Brytanii.

Była to długo oczekiwana pora wymarzonego dnia, do którego odliczałem czas już od dwóch tygodni, od zakończenia Grand Prix Francji. Kocham Formułę 1 i kocham jej bohaterów śmigających trzysta pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Kocham szybkie samochody, więc nie ma dla mnie żadnego wy-

tłumaczenia, dlaczego zamiast odwrócić się w prawo i iść do domu, stałem i gapiłem się na podjeżdżający na przystanek autobus solaris linii 117.

Z otworzonych tylnych drzwi autobusu wypadła na chodnik dziewczyna. Nie przewróciła się tylko dlatego, że czekająca na przystanku kobieta złapała ją i ustawiła do pionu. Dziewczyna leciała jej przez ręce, ale kiedy kobieta puściła ją, stanęła, chwiejąc się jak pijany marynarz. Kobieta zdążyła w ostatniej chwili wsiąść do autobusu, który szybko wtopił się w nieprzerwany potok pojazdów. Kątem oka dostrzegłem jeszcze za oknem jej zmartwioną twarz, jakby żałowała, że nie została na przystanku.

A było się o co martwić. Dziewczyna machała rączynami, bełkocząc coś głośno i bez sensu, i chwiała się w miejscu, jakby obawiała się oderwać którąś ze stóp od ziemi. Zauważyłem, że chlipie, z nosa zaczynał jej zwisać biały gil. Warszawiaków na pewno nie można posądzać o ignorowanie bliźniego swego, było więc jasne, że jeszcze chwila, a zaopiekuje się nią grono ostrzyżonych kolegów znudzonych trzepaniem kapucyna. Stanowiła nie lada gratkę: rozerwana bluzka ukazywała światu biały staniczek na dziecinnych piersiach, po guzikach zostały tylko zwisające nitki. Potargane jasne włosy opadały jej na twarz, na której widać było czerwone pręgi od uderzeń gołą ręką. Może i miała te swoje prokuratorskie szesnaście lat, ale jak pragnę zakwitnąć, na pewno była jeszcze dzieckiem.

Kilku panów zmierzających do sklepu zatrzymało się, starając się pewnie przełamać wrodzoną nieśmiałość, kilku innych nagle zaczęło studiować rozkład jazdy autobusów. Reszta niedzielnych chrześcijan mijała ją obojętnie, wchodząc do sklepu i wychodząc z zakupami, jakby dawali jej do zrozumienia, że jeżeli chciała ich zaszokować, to za słabo się postarała.

Mnie też zrobiło się jej żal, lecz nie omieszkałem spojrzeć na zegarek: pierwsza pięćdziesiąt. Idąc do domu szybkim krokiem, na pewno zdążyłbym jeszcze zobaczyć moment, w którym pięć

czerwonych świateł zmienia się w zielone, a dwadzieścia maszyn z rykiem dziewięciusetkonnych silników i dymem z michelinowskich i bridgestonowskich opon startuje do wyścigu o prymat talentu człowieka nad najbardziej wyrafinowaną technologią, jaką publicznie można oglądać. Właściwie nie miałem nawet wolnego ramienia, żeby dziewczynie pomóc. A na starcie we wczorajszych kwalifikacjach pierwszą pozycję wywalczył niespodziewanie Kimi Raikkonen, któremu nowy McLaren Mercedes MP4/19B miał wreszcie wynagrodzić katastrofalny początek sezonu. Ale nikt też chyba nie wierzył, że pozwolą na to startujące z drugiego i czwartego miejsca czerwone bestie Ferrari.

Zapakowałem zimne piwo do torby z gorącym kurczakiem, połamałem bagietkę i upchnąłem ją do środka. Podchodząc do dziewczyny modliłem się, żeby nie zechciała ze mną walczyć, bo czymkolwiek się naszprycowała, musiała nieźle się bronić, skoro aż tak obili jej buzię. Jak na swój wiek, kraj i porę roku ubrana była dość nietypowo — ciemne buciki, białe podkolanówki i krótka spódniczka, stroju dopełniały biała bluzka i granatowa marynarka. Wyglądałoby to zupełnie jak szkolny mundurek, gdyby nie fakt, że był czwarty lipca i nie obilo mi się wcześniej o uszy, aby nagle któraś z warszawskich szkół wprowadziła mundurki dla dziewcząt. Zbankrutowałyby na starcie.

Nie podejrzewałem jednak sensacji: pewnie ktoś namówił ją, żeby sobie dorobiła do kieszonkowego ubierając taki mundurek w niedzielę, potem coś jej się nie spodobało i teraz potrzebowała chwili odpoczynku, zanim mama i tata po powrocie z kościoła zapytają, jak było na placu zabaw.

Postawiłem żarcie na ziemi i złapałem dziewczynę za rękę. Wcale nie była silna. Byłem tylko w podkoszulku, mimo to przesunąłem gołym ramieniem pod jej nosem likwidując gila i naciągnąłem poły bluzki na piersi. Marynarka miała na szczęście guzik, więc go zapiąłem. Od biedy można się było z nią po-

kazać. Albo instynktownie wyczuła, że chcę jej pomóc, albo straciła już siły, bo wprawdzie jej kończyny stawiały jeszcze opór, lecz kiedy objąłem ją w pasie i kazałem jej iść, posłusznie ruszyła z miejsca powłócząc nogami. Śmierdziała alkoholem i rzygami, co zawsze było tysiąc razy lepsze, niż gdyby naszprycowała się bardziej skomplikowaną chemią. Nie przestawała pokrzykiwać, cokolwiek jednak chciała światu przekazać, nie dało się tego zrozumieć. Wyczułem porcję nienawiści od niezaspokojonej części społeczeństwa, ale nikt mnie nie zaczepił. Może nie podobał im się mój tatuaż z wojska.

Mieszkam na parterze, ale i tak wchodzi się do mnie po kilku schodkach. Daliśmy sobie z tym radę. W środku najpierw włączyłem telewizor, dopiero potem ułożyłem dziewczynę na kanapie i sam usiadłem, kładąc jej głowę na swoich kolanach.

Kimi musiał świetnie wystartować, bo na szóstym okrążeniu wciąż pruł pierwszy. Obydwa ferrari nie spuszczały go jednak z oka i nie miałem wątpliwości, że za chwilę przystąpią do ataku. I rzeczywiście. Kiedy młody Fin na dziesiątym okrążeniu zjechał z toru, by dotankować paliwa, Michael Schumacher jeszcze raz pokazał, kto tu rządzi. Nie mając nikogo przed sobą, natychmiast zrobił najszybsze okrążenie toru, a w każdym następnym, choć trudno w to uwierzyć, miał jeszcze lepszy czas. Kiedy więc na okrążeniu piętnastym sam zjechał po paliwo, razem z całym Silverstone wstrzymałem oddech czekając, czy Kimi zdąży go wyprzedzić czy też Michael bezlitośnie każe mu znowu oglądać swój czerwony kuper.

O dziewczynie przypomniałem sobie właśnie wtedy, kiedy widząc, jak ferrari powolutku przejeżdża przez wyjazd z garażu (ograniczenie prędkości do sześćdziesięciu!), a obok na torze zza zakrętu wyskakuje trzysta trzydzieści na godzinę srebrna strzała McLarena, zerwałem się z kanapy. Śpiąca królewna nie obudziła się. Ułożyłem ją wygodnie, sam przeniosłem się na stół.

Michael wyjechał pierwszy i z każdym okrążeniem uciekał Kimiemu coraz dalej i dalej. Wciąż jednak jeździli w dwu róż-

nych ligach. Piwo było jeszcze zimne, kurczak wystarczająco ciepły. Niedziela nabierała normalności.

Mniej więcej godzinę później Michael Schumacher wygrał swój dziesiąty wyścig w tym sezonie. Z jedenastu, które się odbyły. Mówię wam, będziemy jeszcze wnukom opowiadali, jak się ten facet ścigał. Zdążyłem wypić dwa piwa, zjeść kuraka, umyć ręce i odlać się. Dziewczyna spała. Miała normalną temperaturę, cuchnący, ale równy oddech, co pozwalało żywić nadzieję, że być może rzeczywiście jest tylko ofiarą alkoholu. Nie zamierzałem jej rozbierać, przyszło mi jednak do głowy, że mogę chociaż zdjąć jej buty. Tego na pewno nie odczyta jako dobierania się. Przykryłem ją jeszcze kocem, a sam walnąłem się na łóżko z weekendową prasą. Liczyłem, że zanim ją przestudiuję, dziewczyna się obudzi.

Ale to ja pierwszy obudziłem się już po szóstej, z płachtą „Wyborczej” na twarzy. Wstałem, obejrzałem sierotkę. Nawet nie zmieniła pozycji. Pomyślałem, że lepiej dla niej będzie, jeżeli wróci do domu za dnia. Nastawiłem czajnik, przygotowałem dwie kawy. Nie miałem w domu żadnego wiaderka ani miednicy, miałem za to wielki wazon, który kiedyś dostałem w prezencie wraz z kwiatami od pewnej artystycznej duszy. Razem z butelką wody mineralnej postawiłem go obok kanapy. Przygotowałem też mokry ręcznik.

— Hej! Panienczko! Obudź się! — Pogłaskałem ją po buzi, roztarłem jej dłonie w swoich. — Czas do domu!

Nie chciałem jej klepać ani nią potrząsać. Przyniosłem budzik i obracając wskazówkę sprawiłem, że zegar wydał z siebie znienawidzone przez wszystkich piski. Dziewczyna poruszyła się i westchnęła. Trzymałem budzik blisko jej głowy, dopóki nie zaczęła szukać go dłońmi. Otworzyła oczy.

Wyłączyłem upiorny hałas. Miałem nadzieję, że dziewczyna nie wystraszy się za bardzo, cokolwiek zacznie się jej przypominać. Przybrałem lekarską minę mądrego wujaszka. Poza tym mój czarny podkoszulek z odciętymi rękawami i tatuaż na ra-

mieniu nie powinien się jej chyba kojarzyć z amatorami kwaśnych jabłek, z którymi oglądała dzisiaj Teleranek.

— Czas do domu — powtórzyłem swoim najlepszym głosem.

— Gdzie ja jestem? — skrzeknęła, lecz nagle zrobiła się zielona na twarzy, a jej ręka sama powędrowała do ust.

Co znaczy harcerskie doświadczenie! Przechyliłem jej głowę wprost do wazonu.

— Wal śmiało, nie wstydź się. Lepiej się poczujesz.

Chyba nie potrzebowała zachęty. Ryczała jak stary słoń, choć może było to echo z wazonu. Zostawiłem go strategicznie pod ręką i przetarłem jej twarz mokrym ręcznikiem. Z purpurowej szybko wracała do przezroczystej bledkości.

— Kim pan jest? — wyszeptwała.

— Aniołem stróżem, ale tylko niechący. — Nie wiedziałem, czy jest już gotowa do strasznych przypominań, trzeba jednak było zbierać się powoli. — Gdzie mieszkasz?

Coś zaczynało do niej docierać, bo po krótkiej zabawie z pamięcią jej usta przybrały kształt podkówki. Naciągnęła koc na twarz i wybuchnęła płaczem. Zostawiłem ją i poszedłem po kawę. Powinna już przestygnąć. Zabrałem też buteleczkę z witaminą C.

— Nie martw się. — Cóż innego mogłem powiedzieć? — Chyba nic się takiego nie stało. Odwiozę cię do domu i jakoś się z tego wytłumaczysz. Zrobiłem ci kawę. — Poczekaj, aż sama odsłoni twarz. — Możesz usiąść?

Mogła. Kiedy puściła koc, zobaczyła swoją porwaną bluzkę. Zgarnęła ją szybko i chyba się zaczerwieniła.

— Nie musisz się mnie wstydzić. Też przeszedłem swoje w dzieciństwie. — To było świetne zdanie! — Zażyj witaminę C — wysypałem z buteleczki garść pastylek. — To stary sposób na szybkie przetrzeźwienie.

Musiała być bardzo ufna z natury, bo bez wahania wybierała mi z dłoni tabletki, popiła wodą. Miałem nadzieję, że nie zwróci tego za szybko. Chyba dochodziła do siebie.

— Skąd się tu wzięłam? — Ciągle ścisnęła na piersiach potarganą bluzkę.

— Znalazłem cię na ulicy. Nie żartuję. Wypadłaś z autobusu na Marszałkowskiej.

Pochyliła głowę do kolan i naciągnęła na nią koc. Po chwili wyprostowała się znowu i odkryła twarz. Wypiła kawę.

— Wskaźnik kompromitacji: dziewięćdziesiąt dziewięć procent... — wyszeptęła.

— Mieszkasz w Warszawie?

— Tak, na Mokotowie — oparła twarz na dłoniach.

— Niedaleko. Mogę ci pożyczyć jakiś podkoszulek, jeżeli chcesz. Guzików przyszywać nie umiem.

— Nie, mam ubranie. Gdzie moja torba? — rozejrzała się.

— Hm... Nie widziałem jej. Pewnie została na szlaku.

— Och, nie! — przeraziła się. — Wszystko w niej miałam! Muszę ją znaleźć! — Patrzyła na mnie, jakbym potrafił ją wy czarować. Była rzeczywiście przejęta.

— W tej chwili niewiele da się zrobić, ale znajdziemy ją, na pewno — starałem się też być przejęty. — Na razie powinnaś wracać do domu. Jeżeli dasz mi jakieś namiary, gdzie mogłaś ją zgubić, to spróbuję ci pomóc.

Patrzyła na mnie i pewnie zastanawiała się, czy może mi zaufać.

— Powiem ci, czego się domyślam — postanowiłem ją wesprzeć — może będzie ci łatwiej. Jakaś koleżanka powiedziała ci, że jest bogaty gość, który lubi dziewczynki w szkolnych mundurkach. Za trochę zabawy w lekarza płaci żywą gotówką. Pomyślałaś sobie: a co mi tam, spróbuję, od tego się nie umiera. Ale gość nie był wcale miły i to, czego chciał, nie wyglądało na zabawę. Ty chciałaś zrezygnować, a on ze złości obił ci buzię. Przedtem oczywiście spróbował cię zworować, co mu się zresztą udało.

— Gram w tenisa — szepnęła.

Domyśliłem się, że to komentarz do jej siły. Patrzyła na mnie jak na jasnowidza, ale tylko przez chwilę. Znowu zakryła twarz,

lecz zaraz rzuciła mi trochę spłoszone, a trochę kokieteryjne spojrzenie.

— Jak ci na imię? — zapytałem.

— Zuza. — Zawahała się. Ciekawe, czy wybrała wariant prawdziwy. — A tobie? — Pojęcie bruderszaftu musiało być jej całkowicie obce.

— Bartek Zborowski. — Nie domagałem się jej nazwiska.

— Ale nie jesteś policjantem czy coś w tym rodzaju?

— Nie, policjantem nie — uśmiechnąłem się. — Powiem ci, co robię, ale musisz obiecać, że nie będziesz się ze mnie śmiała.

— Ojej, nie wiem. Gdyby nie torba najchętniej właśnie obśmiałabym to wszystko. Ale powiedz, już głupszy ode mnie być nie możesz.

— Jestem brokerem informacyjnym.

— Co to znaczy? Pracujesz na giełdzie?

— Nie. To coś jak detektyw.

Nie śmiała się. Ale straciła pewność spojrzenia.

— Tak jak w telewizji?

— Mniej więcej.

— No nie wiem... — wystraszyła się trochę. Pewnie wzięła mnie za świrusa, który chce ją wziąć na taki numer. — Nie myślałam, że są tacy w życiu.

— Jeśli o to chodzi, to jest nas więcej, niż ci się wydaje, sprawdź w książce telefonicznej. Osobiście parę lat temu uznałem, że taka robota zostawia mi sporo swobody. No i nie muszę już stać na żadnej bramce ani chodzić nocą po korytarzach biurowców.

— Znaczy, jesteś ochroniarzem? — To jej się bardziej podobało.

— Pójdźmy na kompromis. Byłem ochroniarzem, a teraz jestem wolnym strzelcem. I na pewno mogę znaleźć twoją torbę, jeżeli tylko dasz mi trochę informacji. — Chciałem, żeby coś o sobie powiedziała. — Ile masz lat?

— Siedemnaście — odparła bez wahania. Możliwe, że tyle miała. Albo często tak odpowiadała. Sięgnęła po szklanę z kawą, lecz ta była już pusta.

— Chcesz jeszcze kawy?

— Najchętniej umyłabym zęby — wzdrygnęła się.

— Mam tylko jedną szczoteczkę. Jeżeli się nie brzydzisz, mogę się nią z tobą podzielić.

— A ty się nie brzydzisz? — ruchem głowy wskazała wazon.

— Kochana, jeśli naprawdę masz już siedemnaście lat, schrupię cię razem z kosteczkami, a potem jeszcze się obliżę.

Spuściła oczy, widziałem jednak, że to jej się spodobało. Bardzo chciałem, by rzeczywiście miała siedemnaście lat. Pokazałem jej drzwi do łazienki i zniknęła za nimi.

— To może pożycz mi ten podkoszulek — wychyliła głowę po dłuższej chwili.

W szafie zobaczyłem swoją białą koszulę, o której już dawno zapomniałem.

— To będzie jeszcze lepsze — podałem jej. — Podwiń rękawy i nikt nie zauważy różnicy.

Po Warszawie nie warto na co dzień jeździć samochodem, ale warto go gdzieś chować na specjalne okazje. Swój trzymałem na zaprzyjaźnionym parkingu, za półdarmo i dwa kroki od domu. Był to trzydziestoletni bristol model 411 i miał nawet sporą wartość kolekcjonerską. Nigdy nie byłoby mnie na niego stać, gdyby nie fakt, że dostałem go kiedyś w Anglii jako premię, właściwie za darmo, za to, że się nim zachwyciłem: chcesz, to go sobie weź. Był oczywiście bardzo zaniedbany, a ja przez rok pracowałem tylko na niego. Ale warto było: przyśpieszał jak porsche, otulał jak rolls-royce. Odwracał więcej głów niż niejeden nowy model prosto z salonu, a jego gigantyczny silnik grał najpiękniejsze koncerty, jakie można usłyszeć poza filharmonią.

— Ło! — powiedziała Zuza, kiedy ściągnąłem pokrowiec z samochodu. — Jest... zawodowy!

Skórzane siedzenia były trochę nadwerżone zębem czasu, lecz 411 miał już nowoczesną klimatyzację i pięknie pachniał. Zapalał na dotyk i....

— Dwieście osiemdziesiąt! Naprawdę jest taki szybki?

— Dwieście już jechał. Więcej nie próbowałem.

Wyjechaliśmy z parkingu, wyskoczyliśmy na Marszałkowską i w lewo w Jerozolimskie. Bawiąc się muzyką spod nogi, skręciłem w Chałubińskiego. Ruch był umiarkowany, można więc było cieszyć się jazdą. Na Mokotowie Zuza skierowała mnie w prawo, w Dąbrowskiego, między starzejące się niskie bloki.

— To tutaj, zaparkuj pod kawiarnią.

Zatrzymałem wóz. Odwróciłem się do niej.

Jasny gwint, nie mogłem się dłużej oszukiwać: była piękna. Buzia jak z okładki z cerą, za którą większość kobiet oddałaby parę lat życia. Włosy przytulały się do niej z beztroską naturalną miękkością — żeby taką osiągnąć w filmach reklamowych, trzeba stosować najpotężniejsze komputery. Na pewno pomógłbym jej, nawet gdyby miała potężną narośl na nosie, wtedy jednak nie znalazłaby się w sytuacji, która mi ją zesłała. Osobiście przeszkadzał mi jej mundurek, bo bardzo chciałem wierzyć, że ma te swoje siedemnaście lat. Mimo że sam miałem dwa razy więcej i jeszcze trochę, zawsze mogłem liczyć na to, że podobno miłość jest ślepa.

Zuza na pewno zdawała sobie sprawę z wrażenia, jakie robi na mężczyznach, bo wyraźnie nie zamierzała mnie potępiać. To wstydlive spuszczenie oczu miała pewnie dobrze opanowane — co za różnica?!

— Czy w dalszym ciągu zależy ci na tej torbie?

— Nawet nie wiesz jak bardzo! — ożywiła się. — Ale najpierw skontaktuję się z przyjaciółką, może jest u niej. Albo sama spróbuję ją odzyskać, mam przecież numer telefonu — znowu uciekła wzrokiem.

Nie podobał mi się ten pomysł.

— Nie rób tego. Pozwól sobie pomóc. W końcu jestem ochroniarzem.

Wahała się, lecz obserwowała mnie spod rzęs.

— No dobrze, zobaczymy. Daj mi jakiś namiar.

Dałem jej wizytówkę. Przeczytała całą.

— Zadzwoń do ciebie. Może jutro.

— Zrób to, proszę. — Przez te podkolanówki wstydziłem się poprosić o jej numer telefonu. A jeżeli nie ma jeszcze siedemnastu lat? — Będę się martwił o ciebie.

To było za bardzo ojcowskie. Przygarnąłem więc jej głowę i pocałowałem, niezbyt mocno, ale na pewno nie po ojcowsku. Nie była temu przeciwna. W końcu używała mojej szczoteczki. Zaczynałem widzieć w jej oczach, z którymi już nie uciekała, że oto trafia mi się wielki skarb, może ostatni raz w życiu.

Zuza spojrzała na zegarek.

— Zadzwoń — wyskoczyła lekko z samochodu.

Patrzyłem za nią, aż zniknęła za rogiem.

Byłem zgubiony. Byłem zakochany.

ROZDZIAŁ II

Zuza miała racje. Zdawałem sobie sprawę, że powiedzieć dzisiaj komuś: „Jestem prywatnym detektywem”, to jakby domagać się żartów na swój temat. Ale jakkolwiek niewiarygodnie to brzmi, żyłem z tego już dziewiąty rok i wcale nie narzekałem. Pewnie powinienem zacząć myśleć o jakimś funduszu emerytalnym, bo oszczędności nie miałem żadnych, byłem natomiast wolny i dwa, trzy razy w roku wyskakiwałem z ładną dziewczyną na tydzień do ciepłych krajów. Czego chcieć więcej?

Dzisiaj my, szanujący się detektywi, nazywamy siebie z amerykańską „brokerami informacyjnymi”. Nie pracujemy ani pięściami, ani spluwami, podstawowym narzędziem pracy stał się komputer, a podstawową umiejętnością zdobywanie kodów dostępu do wszelkich danych umieszczonych w oplatającej świat Sieci. Już rzadko kiedy klientem jest zazdrosna żona, chyba że facet związał, by nie dzielić się majątkiem. Najczęściej żyjemy z instytucji finansowych tropiących ludzi, którzy zaciągali kredyt i zniknęli zaraz potem. Z moich usług korzystali też prawnicy, banki oraz firmy sprawdzające swoich przyszłych partnerów. Czasami trafiały mi się także nietypowe zlecenia, ponieważ nie zdarzyło się jeszcze, abym kiedykolwiek zaprzeczył, że potrafię zdobyć każdą informację.

Mój komputer był potężną maszyną podłączoną do umieszczonej na dachu niewinnie wyglądającej anteny satelitarnej,

umożliwiająca mi wejście do praktycznie każdego systemu w obrębie stratosfery. Oczywiście najpierw musiałem znać kod dostępu. W dzisiejszym świecie kody te są normalnym towarem rynkowym i jedyne, co trzeba wiedzieć, to od kogo je kupić. Zresztą po paru latach w interesie, znając większość fachowców, po prostu wymieniałem je z kolegami na zasadzie wzajemnych przysług. A pierwotnym źródłem byli ciągle hakerzy, źle opłacane sekretarki, sfrustrowani wicedyrektorzy i eks-pracownicy. Nic nie szkodzi, że niektóre kody są ciągle zmieniane — wtedy zdobywa się system zmiany danego kodu.

Moje mieszkanie teoretycznie miało trzy nieduże pokoje. Ale kiedy je kupiłem, zamurowałem jedne drzwi z przedpokoju, wybiłem za to wąskie przejście za wnękową szafą sypialni i zmyślnie wszystko zamaskowałem. Właśnie tam miałem swoje centrum dowodzenia: komputer i szafę pancerną pełną dysków i dyskietek. W wychodzące na podwórko okno wstawiłem matową szybę antywłamaniową, z zewnątrz jak wszystkie na parterze zabezpieczone było dodatkowo zamontowaną wcześniej kratą i nie różniło się niczym od łazienkowych okien sąsiadów. Całe to przedsięwzięcie obliczone było głównie na codziennych złodziei obrabiających mieszkania, lecz nie wątpiłem, że byłbym w stanie przetrwać tutaj nawet bardziej zaawansowane obłężenie.

Rzadko jednak siedziałem za ścianą sypialni. Na co dzień wolałem pracować z laptopem podłączonym do telefonu komórkowego. Bo właśnie dlatego, że z zawodu detektywa zniknął całkowicie romantyzm Philipa Marlowe'a, Mike'a Hammera czy Lew Archera, technokratyczny styl pracy był ostatnią rzeczą, jakiej zgodziłbym się podporządkować swoje życie.

Kiedy wraz z rodzicami wyjeżdżałem z Polski, czekoladę można było kupić jedynie w Peweksie. Mieszkaliśmy przez kilka lat w Stanach, a kiedy rodzice się rozwiedli, matka zabrała mnie do Anglii. Parę lat później z nowym mężem zapragnęła przenieść się na Costa del Sol, lecz ja byłem już nastolatkiem

i nie miałem zamiaru po raz kolejny opuszczać swoich kolegów i ukochanego Londynu, po którym potrafiłiśmy włóczyć się bez końca dniami i nocami. W dniu przeprowadzki uciekłem z domu, co matkę obraziło tak bardzo, że nawet nie zgłosiła tego policji — wtedy przecież musiałaby czekać, aż mnie złapią, co całkowicie zrujnowałoby jej plany. Gdy zadzwoniłem z budki, by jej powiedzieć, że nie chcę wyjeżdżać, odpowiedziała, że jak zdecyduję się ją przeprosić, to wiem, gdzie jej szukać, i odłożyła słuchawkę. Zajął mi chwilę zrozumienie, że miała na myśli nowy dom w Hiszpanii. Choć upłynęło tyle lat, nie widzieliśmy się jeszcze. Widocznie odziedziczyłem jej zawzięty, nie umiejący wybaczać charakter.

W Londynie miałem się różnych zajęć. Byłem barmanem i taksówkarzem, opłynąłem też świat pracując na prywatnych jachtach. Właśnie na morzu, kiedy pijany gwiazdor rocka zaatakował właściciela rozbitą butelką od wódki, wyszło na jaw, że od dziesięciu lat trenuję aikido. Nigdy wcześniej nie przyszło mi do głowy, żeby z tego żyć, a teraz w ciągu jednej nocy gość podwyższył mi pensję trzykrotnie, a marynarskie obowiązki zamienił na przesiadywanie na pokładzie i w salonie. Na początek umówiliśmy się tylko do końca rejsu, bo wcale nie wiedziałem, czy nowa praca mi się podoba, lecz odkąd pasażerki jachtu zaczęły podglądać moje treningi, nie spędziłem już żadnej nocy samotnie.

Wytrzymałem kilka lat, dopóki nie poczułem, że kobiety są niewątpliwie pachnące i pyszne, ja natomiast jestem tylko czymś cieniem, przedmiotem, jak buty czy laska. Zwolniłem się więc i przez rok przepuszczałem po świecie to, czego nie zdążyłem wydać drepcząc przy swoim właścicielu. W końcu wróciłem do Londynu.

Był to najlepszy czas Sussex Gardens: pracujące dziewczyny stanowiły większość wieczornego towarzystwa, ja wciąż łąziłem po nocach, więc szybko znaleźliśmy wspólny język. Pogaduchy z dziewczynami zaowocowały bramką w jednym z „prywatnych

klubów". Potem nawet awansowałem i pilnowałem coraz to lepszych burdeli w West Endzie. Dni miałem dla siebie i kto wie, może i zestarzałbym się jako burdelowy wykidajło, ale nastąpiła era nagminnych kradzieży samochodów i zacząwszy od pilnowania, przez odzyskiwanie pojedynczych sztuk wyspecjalizowałem się w końcu w walce z amatorami cudzych porsche'ów, rollsów i mercedesów. Parę razy próbowano mnie nawet zabić, ale szczęście było po mojej stronie i wkrótce stałem się sławny. Bez żadnego umawiania się z kimkolwiek na „moim” terenie samochody przestały znikać.

Przychodziło coraz więcej coraz bardziej skomplikowanych zleceń i na fali entuzjastycznej aktywności założyłem firmę ochroniarską, zatrudniając od razu dwudziestu chłopaków. Niby wszystko było w porządku, ale z za biurka ze strachem patrzyłem na swój garnitur i krawat, a teczka pełna papierów stawała się często cięższa od złota, które miała sprowadzać. Kropkę nad „i” postawiła zwariowana na punkcie ślubu Jen oświadczając, że teraz moglibyśmy się ustatkować.

Propozycję przejęcia mojej firmy przyjąłem jak wybawienie i potargowałem się tylko dla przyzwoitości. Spłaciłem wszystkie kredyty, porozdawałem premie pracownikom i znowu ruszyłem w świat. Nie wróciłem już do Londynu. Nigdy więcej nie spotkałem Jen. Tęskniłem za nią do bólu, kiedy jednak w Valparaiso zobaczyłem statek PLO, po prostu wsiałem i przypląnąłem do Polski.

Przez pierwsze miesiące uczyłem się na nowo myśleć po polsku i pozbywałem się kompromitującego akcentu. Dzięki temu, że jeszcze w dzieciństwie czytałem mnóstwo polskich książek, a jednym z moich ulubionych pisarzy był zawsze Sergiusz Piasecki, teraz wziąłem go sobie za wzór ucząc się od nowa ojczyste go języka i już wkrótce mogłem zamawiać w restauracji wódkę w kubelku z lodem bez zwracania na siebie uwagi.

Miałem trzydzieści pięć lat i wiedziałem, do czego się nadaję, a do czego nie. I nie musiałem być znawcą Maxa Webe-

ra, aby się domyślić, że etyka protestancka, o której pisał, iż zrodziła ducha kapitalizmu, jest mi obca. Nie przemawiała do mnie obietnica zbawienia, które mogłem osiągnąć ciężką pracą. Nie przekonywała mnie moralność wysiłku w pocie czoła. Niezbadanymi ścieżkami ukształtowali mojego ducha starożytni Grecy, dla których praca stanowiła najbardziej bezpośrednie zaprzeczenie wolności: wolność i godność człowieka nie dają się pogodzić z żadnym przymusem.

Zgłosiłem się do dużej agencji detektywistycznej i po dwóch latach udało mi się ugruntować w Warszawie swoją pozycję, znajomości, wiedzę. Kiedy przyszedł czas decyzji: przystąpić na zawsze czy pójść własną drogą, podpisałem wszystkie stosowne zobowiązania, że nie będę zdradzał tajemnic ani się podszywał, i znowu „szumiały mi w głowie wichry, w oczach grały błyskawice, tańczyły mi chmury, śmiały się gwiazdy”. Pilnowałem żon, szukałem dzieci, odzyskiwałem stracone precjoza. Znali mnie policjanci i nigdy nie spotkałem się z wrogością z ich strony. Ufali mi biznesmeni i nie raz wyciągałem różnych VIP-ów z gówna. Kobiety ciągle chciały się ze mną kochać, miałem też dostatecznie dużo czasu, żeby łązić po mieście, kiedy chciałem i z kim chciałem. Nosilem czarne dzinsy na kowbojskich butach i podkoszulki bez rękawów, na które narzucałem zamszową kurtkę — w końcu Warszawa to nie Bahamy.

Kursy komputerowe były moim aktem pokory, wyciągnięciem ręki na zgodę do pędzącego świata. Bo wprawdzie dawno już wyrosłem z pomysłów na szczęście, lecz pojęcie wolności było dla mnie fizycznie namacalne, mogłem je kroić w plasterki i smakować każdy kęs.

Dwa dni przed poznaniem Zuzy skończyłem zlecenie dla dużego banku, który nagle wystraszył się, że jeden z jego ulubionych klientów być może pierze pieniądze. Oczywiście nie było to żadne „być może”, tylko jawny przekręt i kiedy przedstawiałem dowody dwóm smutnym dyrektorom, wyczułem, że do tej chwili mieli jeszcze nadzieję, że jakoś uda się to tak załatwić.

aby zatrzymać klienta i nie popaść w konflikt z prawem. Niestety, rozwiąłem ich złudzenia i teraz musieli już zgłosić gościa w odpowiednim wydziale. Toteż mimo że otrzymałem hojne wynagrodzenie, wcale nie czułem ich wdzięczności.

Poniedziałek zacząłem więc od wizyty w swoim banku, gdzie zrealizowałem czek od smutnych dyrektorów. Potem przeszedłem spacerem Hożą i zjadłem śniadanie w Sheratonie, bo akurat taką miałem fantazję. Każdy dzwonek komórki powodował dzisiaj szybsze bicie serca i każdy był rozczarowaniem. Pierwszy raz wchodząc gdzieś do środka nie wyłączyłem telefonu i odbyłem rozmowę nawet podczas śniadania. Uznałem, że ten jeden raz mogę nie myśleć o dobrych manierach. Ale Zuza nie dzwoniła.

Nie umiałem już dzisiaj cieszyć się życiem, wróciłem więc do domu. Miałem nadzieję, że torby nie znalazła i będę jednak potrzebny. Tłumaczyłem sobie, że prawdopodobnie ma szlaban i zadzwoni dopiero wieczorem, no, może po południu. Przecież na pewno ma siedemnaście lat, to tylko z pozycji mojego wieku wydaje się nieletnia. Może ma już prawie osiemnaście? W razie czego gotów byłem na nie zaczekać.

W domu zamknąłem się ze swoim komputerem. Co wiedziałem? Była za młoda, żeby ją znaleźć w dowodach osobistych czy prawach jazdy. Biuro paszportów? Możliwe, ale trudne i ryzykowne. Wymagałoby przysługi, którą ktoś gdzieś zarejestruje, a przynajmniej zapamięta. Myśl, myśl, drogi Watsonie! Co mówiła, słowo po słowie. Nic nie powiedziała! Jak najlepszej profesjonalistce udało się jej całkowicie schować za trzepotaniem rzęs. Poddajesz się? Chwila, moment. Coś jednak jej się wymknęło. Tenis. Czy warto by go wspominać, gdyby uczyła się raz w tygodniu? Stawiam na głębię jaźni, która sama wyłuskała go na wytłumaczenie owej siły pomagającej uniknąć obrzydliwstwa. No to już z górki, nawet nie trzeba się nigdzie włamywać.

Klik, klik, Polski Związek Tenisa Sportowego, seniorki. Jest i Zuzanna, lecz nie moja. Klik, klik, juniorki. No proszę. Kata-

rzyna Szczęśny, lat szesnaście. Nie mam szóstego zmysłu, ale Szczęśny to nie Malinowska.

Klik, klik. Szczęśny to Integral Computers, na giełdzie od sześciu lat, wartość firmy około miliarda złotych. Obrót w zeszłym roku finansowym ponad czterysta milionów, czysty zysk około stu milionów. Na IC składa się wiele mniejszych spółek, wszystkie zajmują się informatyką i inwestycjami.

Klik, klik: „Gala”, fotoarchiwum. Szczęśny. Nie myliłem się. Są, obydwójce. Tomasz Szczęśny: budowanie sieci komputerowych, wdrażanie systemów informatycznych, systemy bezpieczeństwa danych, komputeryzacja przedsiębiorstw i urzędów państwowych. Wielki guru od wielkich finansów i zamówień publicznych, wysoko na liście magnatów naszego kraju. Pięćdziesięcioparolatek o jasnych włosach. Biorąc pod uwagę wzrost towarzyszących mu dziewcząt, „naszych obiecujących juniorek” pewnie na wysokich obcasach, musi mieć ponad metr osiemdziesiąt. Jest i jego córka Katarzyna... W kiece za dziesięć tysięcy, ufryzowana jak własna babcia, w naszym niuku mającym chyba zawstydzić Niemczycką, z uśmiechem właścicielki całego świata — nie miałem wątpliwości: to była Zuza, biedna, skrzywdzona dziewczynka z gomułkowskich bloków na Dąbrowskiego.

Nie pielęgnuję w sobie niechęci do klasy posiadającej. Ale też nie potrafiłem powstrzymać gorzkiej myśli: dobrze ci tak.

Sprawdziłem jeszcze maile, potem powyłączałem wszystko i przez boczną ściankę szafy wróciłem do rzeczywistości. Gry i zabawy bananowej młodzieży. Musiała mieć niezły ubaw, kiedy dumnie prezentowałem przed nią swój dedukcyjny geniusz. Spróbowałem splukać absmak zimnym piwem. Na pocieszenie został mi obrazek siebie jako dobrego samarytanina. Rycerza na białym koniu. Potrzebowałem ramienia do wypłakania się. Na razie miałem tylko telefon.

— Anna? Tu Bartek Zborowski. Będę dzisiaj na Żoliborzu i chcę sprawdzić przy okazji, czy kłopoty nie wróciły.

— Bartek!... Nie, wszystko w porządku, jeszcze raz dziękuję. To miło, że dzwonisz.

Anna Godlewska była przepiękną czterdziestoletnią kobietą. Rozwiodła się niedawno i wtedy nagle zaczęły się dziwne telefony, nie tylko świńskie, ale z pogrózkami wobec niej i dzieci — zdążyła ich urodzić troje. Policja w takich sytuacjach ma twardy orzech do zgryzienia: podłączyli jej sprzęt nagrywający i zaproponowali policjantkę do mieszkania, ale przeciągające się okresy bez telefonów wykluczały zdecydowane działania operacyjne. Sprawdzili męża, sprawdzili swoją listę wariatów i rozłożyli ręce. Policjantkę znałem z treningów aikido i to ona poprosiła mnie, bym pomógł samotnej matce z trojgiem dzieci.

Anna pracowała głównie w domu, utrzymywała się z tłumaczeń, pisała też do kilku gazet. Jej były, niby spokojny biznesmen, w rzeczywistości okazał się niezłym defraudantem, w dodatku wszystko trwoniącym w agencjach towarzyskich z obrzydliwymi Bułgarkami o kostropatych łokciach i twardych piętach; teraz odsiadywał te radości w więzieniu. Patrząc na Annę, stanowiącą w proporcjach swojego ciała kwintesencję kobiecości, jeszcze raz musiałem uznać potęgę jakże rozpaczliwej i niepojętej w ludziach potrzeby samozniszczenia.

Anna miała najczystsze mieszkanie, w jakim zdarzyło mi się przebywać, i nie było w tym nic z obsesji. Była po prostu czysta, a jej niepokój o dzieci sprawiał, że moje mięśnie same prężyły się pod skórą. Zawsze trzymałem się na wodzy z klientkami, tym razem jednak od początku wiedziałem, że po wyjaśnieniu sprawy zadzwonię do niej przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Przy pomocy paru kolegów i wojskowej elektroniki dość szybko namierzyłem koniową z listy jej własnych klientów od tłumaczeń. Potem nastąpiła część romantyczna: strasznie obiliśmy gościa, boleśnie i bezlitośnie; wsadziłem mu obcęgi do ust i zapowiedziałem, że jeżeli jeszcze raz się spotkamy, to wyrwę mu ten jego świński jęzor. Czasami najprostsze metody bywają naj-

skuteczniejsze, bo zło rodzi się z demonów strachu i najłatwiej daje się poskramiać demonami groźniejszymi od własnych.

Dzień był upalny. Anna przywitała mnie w luźnym bawełnianym podkoszulku z naszym polskim orłem władczo rozpostartym na jej pełnych piersiach; oprócz niego miała jeszcze tylko kolorowe figi od kostiumu kąpielowego. Była boso i na myśl o jej czystości, o tym, że można bez niepokoju całować najtajniejsze zakamarki jej ciała... W końcu znaleźliśmy się od wielu tygodni, bardzo dużo musiała mi o sobie opowiadać, z życiem intymnym włącznie. Toteż kiedy po przygotowaniu orzeźwiających sprycerów odwróciła się do mnie i wyciągnęła rękę z drinkiem, nie odebrałem go — padłem na kolana i przytuliłem usta do jej majtek.

Była łagodna i wyrozumiała, chwilami zatracala się, a potem nagle otwierała oczy zaskoczona i wdzięczna za otrzymane doznania. Byliśmy obydwój bardzo dorośli w tych sprawach i nie traktowaliśmy tego, co się z nami dzieje, jak należnej dantyny. Musieliśmy sobie pomagać i wyczuwać się nawzajem w odpowiednich momentach, nie wstydzić się i czasem szeptem poprosić o pomoc. Gdybyśmy mieli robić to od tej pory codziennie, można by nas zatytułować poszukiwaczami zaginionej namiętności, lecz dzisiaj, ten pierwszy raz, spontanicznie ofiarowując sobie zaufanie, czułość i ciepło, byliśmy bardzo, ale to bardzo wyrafinowani.

Aż się zdumiałem, ile czasu nam to zajęło, kiedy całując poinformowała mnie, że musi już jechać, by odebrać dzieci barszkujące u matki w Izabelinie. Biorąc szybki prysznic i ubierając się, w ustach wciąż czułem jej smak. Pożegnaliśmy się krótko, życzliwym uśmiechem. Mieliśmy swoje namiary i wystarczająco dużo rozumu, aby nie domagać się następnego spotkania natychmiast, teraz, już. Jej dzieci miały za dwa tygodnie jechać na wakacje, Anna zostawała, żeby na te przyjemności zapracować. Była to miła perspektywa i dawała szerokie pole do spekulacji.

Wiedziałem, że jestem niedojrzały w mieszczańskim rozumieniu tego słowa: ciągle jeszcze miałem nadzieję, że wszystkie piękne kobiety na świecie będą mnie kochały. Potrafiłem zakochać się od pierwszego wejrzenia i czasem jeszcze w tej samej godzinie odkochać, zobaczywszy rozdeptane kapcie swojej wybranki. Kobiety takie jak Anna zdawały się bez wad i budziły we mnie dziwne tęsknoty za wspólnym oglądaniem filmów, Bożym Narodzeniem i przyjaźnią w miejsce brutalnych katharsis gwarantowanych nieokiełznanym wzajemnym pożądaniem bez zobowiązań. Podejrzywałem jednak, że nie nadaję się na ojca, a sprawdzenie, czy tak jest w rzeczywistości, nie było możliwe. Bo jeśli to prawda, to co? Powiem: „przepraszam” i wrócę do starego trybu życia?

Wsiadając do samochodu sprawdziłem pocztę głosową, bo u Anny wyłączyłem telefon. Była jedna wiadomość od zaprzyjaźnionej kancelarii prawniczej — szykowało się nowe zadanie.

Telefon zadzwonił też, zanim zdążyłem przekręcić kluczyk w stacyjce.

— Bartek?

Trudno było w to uwierzyć, ale czysty dziewczęcy głos nie zostawiał wątpliwości.

— To ja, Kasiu. — Nie chciałem, żeby dalej próbowała na mnie swoich talentów do niebezpiecznych przygód. Nie miałbym przy niej nawet cienia szansy.

— Ło! szybki jesteś! Zaimponowałeś mi! — Nie była nawet zakłopotana, śmiała się szczerze i radośnie.

— Jak tam w domu, dotarłaś w końcu?

— O tak, bez problemu. Był niedaleko.

— Torba się znalazła?

— Bartek, dzwonię, jak kazałeś. Czy pomożesz mi ją odzyskać? Nie obraziłeś się?

— Powiedziałem ci już, że schrupałbym cię z kosteczkami i martwił się tylko, że nie zostało mi na dłużej.

— Lubisz francuską miłość? — jej niewinny głos nie zmienił nawet intonacji.

— Jesteś dla mnie za młoda, Kasiu. Powinnaś to ćwiczyć na rówieśnikach.

— Daję sobie radę, nie martw się. Chcę ci pokazać, co już potrafię.

— Jesteś zepsuta. Cieszę się, że nie jestem twoim ojcem.

— Nie pomożesz mi?

— Pewnie, że ci pomogę. Ale nie uwodź mnie, bo jestem słaby i bardzo zaborczy. Zamieniłbym ci życie w piekło.

— Zobaczymy. Przyjadę do ciebie. Który to numer mieszkania?

— Dwadzieścia sześć. Nie możesz mi powiedzieć przez telefon?

— Nie bój się tak — śmiała się jak prawdziwe dziecko. Może tylko żartowała z tym rozpasaniem? — Kiedy będziesz w domu?

— Za godzinę. Ale powiedz, skąd dzwonisz? — Numer jej komórki wyświetlił się, chyba jednak nie miałyby sensu alarmowanie kolegów, żeby ją namierzali. — Może mam cię gdzieś po drodze?

— Zaczekaj.

Słyszałem, że z kimś rozmawia, lecz zakryła dłonią mikrofon i nie mogłem się nawet zorientować, z mężczyzną czy z kobietą. Pocieszające było jednak, że jeżeli ktoś obok niej stał, to cały ten bezwstyd był tylko szkolnym figlem.

— Bartek? Nie, lepiej przyjadę do ciebie, ale nie za godzinę. Powiedzmy za dwie, okay?

— Dobrze. Kto jest z tobą? — Zawsze można spróbować.

— Moja lesbijska kochanka, pa — rozłączyła się.

Ta dzisiejsza młodzież!... Anna zdążyła mi pomachać, odjeżdżając swoim sfatygowanym passatem. Ruszyłem za nią, lecz szybko skręciła w Żeromskiego w prawo, a ja wtopiłem się w korek zjeżdżający do Śródmieścia. Podłączyłem swój tele-

fon do laptopa, by sprawdzić, do kogo należy numer, z którego dzwoniła Kasia. Są pewne czynności, które po prostu trzeba wykonać, nawet jeżeli efekt jest w stu procentach oczywisty. Tak też było tym razem. Bezimienny telefon na kartę, którą można kupić w każdym kiosku.

Trzy godziny później udawałem, że czytam zaległy miesięcznik samochodowy. Po następnej godzinie, że oglądam telewizję. W końcu musiałem wyjść z domu i przeszedłem do baru, z którego mogłem widzieć kawałek ulicy z wejściem do budynku. Starłem się nie upić, ale na pewno gniotło mnie rozczarowanie. Kiedy było już całkiem ciemno, wróciłem do domu i nie zapalając światła walnąłem się w ubraniach na kanapę.

ROZDZIAŁ III

Telefon zadzwonił po północy. Ścisnąłem go całym ciałem i zanim włączyłem, spojrzałem na wyświetlacz. „Numer zastrzeżony”, ktoś dbał o to, aby pozostać anonimowym. Lecz nie z brokerem informacyjnym te numery (zastrzeżone).

— Tak? — Zapaliłem światło, podłączyłem swój telefon do laptopa.

— Zborowski, pierdolony dedektyw? — Głos był męski, młody, raczej z nizin społecznych niż z kręgu znajomych miliardowej dziedziczki.

— Mówi się: detektyw, proszę pana. — Komputer błyskawicznie przeskakiwał tysiące numerów poszczególnych sieci.

— Znasz Kaśkę Szczęsną?

— Kto chce wiedzieć? — Komputer już doprowadził mnie do centrali, teraz zażądał hasła. Znałem je.

— Jesteś z nią umówiony?

— Posłuchaj, kolego. Powinieneś zdawać sobie sprawę, że w dzisiejszych czasach jest bardzo trudno o prywatność. — Miałem już numer jego komórki. — Dlatego zadając mi takie pytania przez telefon, bądź przygotowany na to, że i tak się już przedstawiłeś.

— Nic z tego, koleś, ten numer jest zastrzeżony.

— Och, jej! Naprawdę? No to spierdoliłeś sprawę, koleś, zapomniawszy, do kogo dzwonisz. Mogę nawet namierzyć ten kibel, w którym walisz konia.

Tamten chciał chyba jeszcze coś powiedzieć, ale zdecydował się rozłączyć. Wcisnąłem „OK” na swoim telefonie. Ten sam głos odezwał się natychmiast.

— Pan Marciniak? — zdążył zapytać.

— Dwa zero, parowo. Kto to jest Marciniak?

— Kurwa mać, już nie żyjesz, ćwoku, jesteś już trupem!

— Był przerażony. Chyba zrozumiał, że faktycznie spierdolił sprawę.

— Nie denerwujcie się, obywatelu. Jeszcze nic się nie stało.

— Po raz kolejny doświadczałem satysfakcji, którą dawało mi zaskoczenie swoimi umiejętnościami osobników przekonanych o własnej bezkarności. — Ale to ty do mnie zadzwoniłeś, więc powiedz mi, dlaczego pytałeś o Kasię. Tylko to.

— Kurwa mać, przyjadę i zabiję cię!

— Ciągle jeszcze nie musimy być wrogami.

— Rozłączam się i jadę cię zabić.

— Rozumiem, gorący telefon to dla ciebie trochę za mało.

Pragniesz żywej pieśczoły. Przyjedź, ulica Wspólna sześćdziesiąt cztery.

Rozłączył się, a ja zapisałem wszystko w pamięci komputera. Miałem nadzieję, że ten burak przyjedzie. Kimkolwiek był, w czasach telefonów komórkowych mógł dzwonić stojąc już pod drzwiami, ale tym bardziej nie miałem zamiaru czekać na niego w domu. Naprawdę zaczynałem się bać o nieodpowiedzialną, bezwstydną, ciekawą tego straszego świata, a zaledwie szesnastoletnią Kasię Szczęsny.

Naprzeciwko mnie, po drugiej stronie ulicy, mieszkały razem trzy pracujące dziewczyny: Iwona, Patrycja i Andżelika. Znałszy się już parę lat, wyświadczyłem im przez ten czas kilka przysług. Najważniejszą było chyba uchronienie ich przed mafijną kolektywizacją, w czym pomogły mi sympatyczne panie z obyczajówki poprzez swoich kolegów z poważniejszych wydziałów. Żyliśmy wreszcie w demokratycznym kraju, więc politycy dokładnie związali policjantom ręce, żeby przypadkiem

nie zrobili jakiej krzywdy ich ukochanym bandytom. Dlatego mimowolną sympatię szeregowych funkcjonariuszy najczęściej zdobywałem wykonując przeciw bandzirom mile dla oka i duszy gesty, na które oni, salutujący prawu, nigdy nie mogli sobie pozwolić. Doszło jeszcze parę spraw o duże pieniądze, w których podjąłem właściwe decyzje, czym zdobyłem sobie zaufanie kilku ważnych oficerów. Starałem się go nie roztrwonić, ale wtedy chodziło o życie trzech nastolatków, toteż policjanci nie mieli moralnych problemów z uspokojeniem sytuacji. Od tamtej pory dziewczyny wpadały do mnie raz z kłopotami, raz z wdzięczności; darzyliśmy się nawzajem szacunkiem i sympatią.

Zachowując podstawowe środki ostrożności przemknąłem na drugą stronę ulicy, ściskając pod pachą laptopa.

— Bartek! — ucieszyła się Iwona. — Stęskniłeś się za moimi wielkimi...?

— To też — wszedłem i zamknąłem drzwi. — Nie pracujesz? Przecież nie pada. — Jakikolwiek rodzinny model życia na Wspólnej sugerowała telewizja, Wspólna to od zawsze był i jest pigalak.

— Obtarłam sobie stopę w nowych butach i nie chce mi się łązić. Siedzę przy telefonie. Patrycja i Andżelika krążą w tę i z powrotem. Mają dobry dzień. Jak ktoś marzy o wielkich cycach, to mi go podrzucają. Miałam już dwóch klientów, więc nie narzekam. Co cię sprowadza?

— Chcę popatrzeć na swoje mieszkanie, można?

— Jasne. Kłopoty?

Weszliśmy do salonu z wielką kanapą.

— Jeszcze nie wiem — wyjrzałem przez okno. — Zgaś światło.

— Przysuń sobie ten fotel. Chcesz lufkę?

— Daj, jak coś masz.

— Mam nawet szampana. Jeden gość przyniósł, ale był taki napalony, że nie zdążyliśmy otworzyć. Był na tyle miły, że go nie zabrał. Chcesz?

— Jeżeli ci nie żal...

— Żal? Zaraz ci zrobię taką laskę, że to tobie będzie żal, że nie chciałeś zostać moim alfonsem.

Wyszła do kuchni, a ja wyjrzałem przez okno. Nic niepokojącego. Iwona wróciła z szampanem.

— Otworzysz? — podała mi butelkę.

— Jasne. — Odkręciłem drut, wypchnąłem korek i rozlałem „szampana” do kieliszków, które Iwona trzymała w rękach.

— Zdrówko!

— Żeby nam jakiej krzywdy nie zrobili na tym okropnym świecie.

Lubiłem Iwonę. Kiedy poznaliśmy się trzy lata wcześniej, przyjechała właśnie z Sieradza i była narkomanką w takim stadium uzależnienia, że żadna z agencji nie chciała jej zatrudnić, a koleżanki wyrzucały ją nawet z Centralnego. Na szczęście spotkała Patrycję, wówczas nieletnią, która przez jakieś nieprawdopodobne, zupełnie nie do uwierzenia rodzinne koneksje dotarła do mnie i zwróciła się o pomoc. Załatwiliśmy Iwonie odtrucie, odwyk i terapię, prowadziliśmy ją na spotkania Anonimowych Narkomanów do czasu, aż doznała przebudzenia i wiedziała już, sama dla siebie, że nie chce i nie będzie więcej brać. Teraz ona stała się naszą przyjaciółką na śmierć i życie i niedługo potem zrobiła dla znalezionej na ulicy, nieprzytomnej z przedawkowania Andżeliki to, co my zrobiliśmy kiedyś dla niej. Żadna z nich nie miała jeszcze dwudziestu lat i żadna nie dawała się namówić na jakąś szkołę czy kurs. Jedyne co mogłem dla nich zrobić, to wymusić oszczędzanie pieniędzy. Nie było to wcale łatwe, ale dziś wszystkie trzy miały konta u maklerów giełdowych i wykazywały coraz większe zainteresowanie mechanizmami samonapędzającego się bogactwa. Z ich pochodzeniem i balastem rozbitych domów rodzinnych było to najlepsze, co mogłem im zaofiarować. Próbowaly też przekazać tę swoją wiedzę innym dziewczynom, oczywiście tym, które w ogóle chciały ich słuchać. Żyliśmy wszyscy

w bezlitosnym świetle, lecz o ileż łatwiej było to zaakceptować, niż z tym walczyć.

— Cieszę się, że sobie radzicie — powiedziałem szczerze.

— Och, Bartek... — Iwona musnęła ustami moją brodę. — Bez ciebie już dawno byłoby po nas. — Patrząc mi w oczy sięgnęła wolną ręką do moich spodni.

— Iwona, nie w tej chwili — pocałowałem ją, żeby nie poczuła się odtrącona. — Po prostu nie teraz.

— Cokolwiek rozkażesz — przestała mnie drażnić. — Mogę dalej oglądać telewizję.

— Dzięki! — Dolałem szampana i wyrząłem na ulicę.

Niby nic, a jednak. Po Wspólnej sunęło wiele samochodów zatrzymując się przy spacerujących dziewczynach, ale to czarne bmw przejechało, zawróciło i teraz toczyło się jeszcze raz na przestrzeni dwóch przecznic. W końcu stanęło kilka domów dalej. Tylko z obowiązku wrzuciłem numer rejestracyjny do komputera: było za dużo sposobów na anonimowe tablice. No tak, jakaś sześćdziesięcioletnia wdowa z Targówka.

Z samochodu wysiadło czterech ostrzyżonych osiłków. Rozejrzeli się, potem dwóch przeszło na drugą stronę ulicy, jeden wrócił za kierownicę, a ostatni oparł się o dach i zapalił papierosa. Spacerowicze podeszli pod mój dom, marudzili trochę ze sprawdzaniem numerów, potem długo koczowali przy domofonie. W końcu wrócili do samochodu. Pogadali, jeden z nich wyjął komórkę i przyglądając się czemuś w ręce, wystukał numer. Mój telefon natychmiast zadzwonił. Mieli moją wizytówkę!

— Zborowski.

— Cześć, pedale. Obudziłem cię?

— Niech mnie kule biją! Toż to nasz sławny pogromca detektywów! Nie sprali ci jeszcze ryja za to, że zadzwoniłeś do mnie z własnego telefonu?

— Chcę z tobą pogadać. Pewnie i tak cię rozwalimy, ale możemy spróbować się ułożyć.

— Dobra, wpadnij jutro do barku na Wspólnej. Idąc od Marszałkowskiej po prawej stronie.

— Jutro będzie za późno. Musimy pogadać teraz.

— A powiesz, dlaczego pytałeś o Kasię?

— Powiem, powiem, gnojku. Gdzie mieszkasz?

— Wspólna sześćdziesiąt cztery, mówiłem już. Ale złapałeś mnie na dupie w Konstancinie. Musisz poczekać z godzinkę.

— Dobra, dobra. Za pół godziny u ciebie. Które to mieszkanie?

— Nie tak szybko! Najpierw muszę sprawdzić, czy jesteś w moim typie.

Rozłączyłem się, a oni wszyscy wsiedli do samochodu. Jednak nie odjechali. Gdzie te czasy, kiedy to bandyci bali się rozpoznania przez świadków? Albo że radiowóz sprawdzi im dokumenty i nici z przestępstwa? Dlaczego już nikt dzisiaj nie boi się mierzyć z prawem?

Mieli moją wizytówkę. Jasne, że mogli ją mieć skądkolwiek, ale pytali o Kasię. A jej ojciec miał zdecydowanie za dużo pieniędzy, ona zaś była zdecydowanie za bardzo żądna mocnych wrażeń.

Iwona wcinała lody patrząc w telewizor. Bandyci siedzieli w aucie, przez otwarte okno w dachu ulatywały smużki dymu.

— Miałabyś może coś łatwopalnego? Benzynę do zapalniczek, rozpałkę do grilla, coś w tym rodzaju?

— Mam nawet całą bańkę benzyny. Wyjęłyśmy ją z samochodu, bo Patrycja twierdziła, że jej śmierdzi.

No to chłopcy naprawdę nie mają dzisiaj szczęścia. Ale nie było mi ich żal. Widziałem, co potrafią zrobić kijami bejsbolowymi komuś, kto się im przeciwstawi, dziewczynie, która ich nie chce. To były prawdziwe kurwy-łobuzy i sami nie mieli litości dla nikogo. Pomijając już zupełnie to, że nie przyjechali do mnie na herbatkę.

Przesypałem do miseczki kawę ze słoika. Ostrożnie przelałem do niego trochę benzyny.

— Potrzebuję jeszcze jakąś szmatkę.

— Mogą być majtki? — Iwona już trzymała ręce na biodrach pod króciutką spódniczką.

— No jasne — uśmiechnąłem się. Iwona wysunęła z nich nogi po kolei pięknymi, tanecznymi ruchami. Była to rzeczywiście najmniejsza szmatka, jaka wciąż mogła udawać majteczki. — Proszę, nie wyglądaj teraz przez okno. Potem możesz, będzie sporo hałasu. I nie opowiadaj lepiej nikomu, cośmy tu spreparowali.

— Bartek! Kocham cię i o siebie się nie boję. Mam nadzieję, że wiesz, co robisz — pocałowała mnie.

— Schowaj mi komputer, żeby jakiś klient go nie zwinął, później go odbiorę.

Postaliśmy chwilę przy drzwiach, czekając na ruch na schodach. Dwa piętra wyżej była regularna agencja towarzyska ze wszystkimi bajerami. Kiedy usłyszeliśmy schodzącego gościa, uchyliłem drzwi i wysunąłem się za nim. Razem wyszliśmy na zewnątrz i skręciliśmy w stronę Marszałkowskiej.

— Jak za te pieniądze to zupełnie fajne dziewczyny — zagadałem do faceta.

— Nie wiem, moja była trochę naćpana — spojrział na mnie błyszczącymi oczami.

— No to pewnie robiłeś z nią, co chciałeś.

Gość wystraszył się i zmył do tyłu, ja skręciłem w prawo. Szybko obszedłem kwartał domów Hożą i Poznańską, tak że przeszedłszy przez ulicę, zbliżałem się teraz do swojego mieszkania. Za rogiem przedziurawiłem nożem zakrętkę słoika, nasaczyłem majtki Iwony benzyną i przeciągnąwszy je przez dziurkę w wieczku, zakręciłem słoik. Zszedłem znowu na jezdnię, szybkim krokiem zbliżyłem się do czarnego bmw. Podpaliłem swój śmierdzący prezent.

— Za tych, co tego nie potrafią — powiedziałem głośno i jednym ruchem wrzuciłem bombkę do środka przez otwarte okno w dachu.

Benzyna rozlała się na tapicerkę i ubrania bandytów, ogień ogarnął ich ręce, twarze, włosy. Wyskakiwali na ulicę wrzeszcząc i machając rękami, klepiąc twarze i zrzucając marynarki. Ten z telefonem siedział przedtem obok kierowcy, przeszedłem więc na chodnik i wpakowałem mu pięść w splot słoneczny. Zatkalo go tak, że przestał wrzeszczeć. Podniosłem z ziemi jego ciężką kurtkę, zawinąłem mu na płonącym łbie, złapałem go wpół i pociągnąłem przez skwer. Od biedy mogło to wyglądać na ratowanie. Przetruczaliśmy na ciemne patio Romy. O tej porze wszystko było tu pozamykane. Dałem mu porządnego kopa, kiedy próbował ściągnąć kurtkę ze łba, i tak wspólnymi siłami dotoczyliśmy się razem do schowanej wśród zieleni ławeczki. Ale zanim usiedliśmy, wałęnałem go jeszcze głową o siedzisko, aż zachręściło, i dopiero wtedy go posadziłem.

— Nie mów nic i nie ruszaj się, odpoczywaj. — Nie chciałem, żeby zaczęli nas tu szukać. — Drgniesz, to zostaniesz ukarany.

Mafioso jeszcze raz spróbował sięgnąć po kurtkę, więc jeszcze raz przyłożyłem mu w ten głupi łeb.

— Zaraz się wygadasz, nabieraj sił.

Stałem na ławce i przytrzymując kurtkę bandziora, wspierałem się na palce, by dojrzeć, co się za nami wyprawia. Dwa samochody stały w poprzek drogi, a ich właściciele dmuchali z gaśnic to na bandytów, to do środka bmw. Płomieni już nie było, za to zbliżała się policyjna syrena. Gangsterzy machali teraz łapami, by roztrącić ludzi, wsiedli w końcu do dymiącego ciągle samochodu i potrącając forda jednego z dobrych samarytan z piskiem odjechali. Radiowóz zatrzymał się, zebrany tłumek pokrzykując skierował ich w pościg. Znowu włączyli syrenę i popruli za bmw. Ludzie oczywiście zostali na ulicy, dziwując się i komentując.

— No i jesteś mój — powiedziałem i zerwałem bandycie kurtkę z głowy. Wrzasnął, więc wpakowałem mu rękaw w usta. Gangster nie bardzo mógł nawet otworzyć przypalone oczy,

a całą twarz miał zalaną krwią, chyba ze złamanego nosa. Od chwili kiedy podniosłem tę jego szmatę z chodnika, czułem, że jest w niej broń; teraz wyjąłem z kieszeni samopowtarzalnego colta 0.357 magnum. W innej kieszeni znalazłem wielką gruchę tłumika.

— Jezu, to na mnie? Na jednego chudego dedektywa?
— Jeszcze raz przyłożyłem mu porządnie z łokcia. Chciał spaść, więc przytrzymałem go i posadziłem. Włożyłem mu lufę w jego zakrwawione rozdziawione usta. — Kiwnij głową, czy chcesz mówić. Jeżeli nie chcesz, od razu uwolnię cię od bólu.

Młodzieżowy bohater wielokrotnie kiwnął głową.

— Jak cię wołają?

— Śledziu.

— Kasia Szczęśny. Dlaczego zadzwoniłeś do mnie z tym dziwnym pytaniem?

— To przez tę kartę...

Charczał, kaszłał i pluł, ledwo go można było zrozumieć. Z kieszeni kurtki bandziora wyjąłem swoją wizytówkę.

— Skąd ją masz?

Śledziu wahał się. Uniosłem rękę i uderzyłem kolbą w jego złamany nos. Kat na słabszych od siebie tym razem sam rozdarł się jak stare prześcieradło.

— Zamknij się, to nie ukryta kamera — jeszcze raz przyłożyłem mu jego własną ściereę do mordy. — Po prostu mów, co chcesz wiedzieć, albo poproś, żebym cię zabił.

— Ja jestem nikiem, człowieku — płakał.

— Skąd masz tę kartę? — uniosłem dłoń z rewolwerem.

— To od niej, od tej małej zdziry. Zabrałem jej i zadzwoniłem.

— Nieprawda, bo nie byłoby tego całego rwetusu. Jeszcze raz. — Znowu walnąłem go kolbą w nos i od razu musiałem zatkać mu gębę. — Zaczynaj — odetkałem go.

— To tylko interesy, baliśmy się, że będziesz się wtrącał — chlpał dalej.

— Interesy z szesnastoletnim dzieckiem? No nie, zmuszasz mnie... — zamachnąłem się.

— Przysięgam! — ryknął zasłaniając twarz. — Pan Marciniak z nią kręci, przysięgam! To cichodajka. Dał mi tę kartę i kazał cię sprawdzić, to wszystko!

— Kto to jest pan Marciniak?

— Człowieku, nie chcesz wiedzieć.

Znowu się zamachnąłem.

— Dobra, stój! Sam sobie szykujesz kulkę. Pan Marciniak to biznesmen w branży... finansowej. Ja się na tym nie znam! Uwierz mi, że ma swoje interesy z tą małą kurwą.

— Gdzie ona jest?

— A skąd ja mam wiedzieć? Parę godzin temu była u niego.

— Gdzie?

— W Klarysewie, przy parku.

— Dokładnie — uniosłem rękę.

— Saneczkowa osiemdziesiąt! Znajdziesz.

Wszystko nagle stało się bardzo szybko. Wcześniej zarejestrowałem charakterystyczny dźwięk toczenia się szerokich opon po asfalcie przy cichym silniku pracującym na bardzo wolnych obrotach. Zdałem sobie sprawę, że to już nie pierwszy raz: ktoś krążył ulicami Barbary i Nowogrodzką. Na trzaskanie samochodowych drzwi też nie zwróciłem szczególnej uwagi, w końcu byliśmy w mieście. Dopiero jak zobaczyłem czerwoną kropkę przesuwającą się po ławce, skoczyłem do tyłu.

Śledziu zaczął kaszleć, z tym że trochę nierówno. Jego ciałem szarpnęło trzy razy, kiedy przeszły je trzy pociski z pistoletu automatycznego z tłumikiem. Potem jeszcze kilkakrotnie obok mnie trysnęły cegły. Widziałem tańczącą czerwoną linię i słyszałem już kroki zabójcy. Był bardzo blisko. Chyba nie liczył się z oporem. Po kącie padania czerwonego lasera obliczyłem pozycję strzelca. Wyskoczyłem z drugiej strony drzewa i uniosłem magnum Śledzia.

Huknęło jak z kolubryny. Zabójca poleciał do tyłu pociągnięty niewidzialną sprężyną, wypuszczając z rąk swoją broń. Podniosłem ją z ziemi, chowając magnum za pas. Wyrzałem zza budynku. Czarne bmw było ze dwadzieścia metrów ode mnie, stało na środku ulicy. Przebiegłem pochylony kilka kroków, a kiedy byłem naprzeciwko, poprułem z automatu.

Nie widziałem, czy kogoś trafiłem. Szyby w samochodzie pryskały jak na filmie, a zanim bmw ruszyło z piskiem opon, usłyszałem sporo pokrzykiwań i wrzasków. Czas zniknąć. Przebiegłem Pankiewicza i już spokojnie szedłem Jerozolimskimi. Automat zabójcy schowałem pod kurtkę. Szybkim krokiem zszedłem do przejścia podziemnego i dotarłem na Centralny, gdzie ruch ciągle był spory. Dyskretnie wrzuciłem broń do bagażowego schowka, zamknąłem go. Kiedy wróciłem na Wspólną, moja obecność nie zwróciła niczyjej uwagi. Wokół skwerku, migając światłami, stały policyjne radiowozy.

ROZDZIAŁ IV

Ćwicząc aikido pozbywasz się agresji, złości na świat i ludzi oraz niekontrolowanych wybuchów skrajnych emocji. W żadnym wypadku aikido nie zastąpi ci psychiatry, jeżeli go potrzebujesz, ale na pewno pozwala lżej znosić przeciwności losu. Po prostu nie boisz się, a niestety właśnie strach najczęściej niszczy ofiarowaną nam przez ewolucję delikatną doskonałość naszej psyche. Bo jeśli to rzeczywiście najbardziej precyzyjny mechanizm we wszechświecie, ta precyzja jest jego najsłabszą stroną. Nie dorośliśmy jeszcze do niej.

Moja przewaga nad kurwami-łobuzami wynikała nie tylko ze sprawności fizycznej — historię nie zawsze tworzą wojownicy. Największą siłą jest zawsze racja moralna i wynikająca z niej odwaga, a ja nie bałem się tych bandytów. Nie bałem się ich liczby, nie bałem się ich strzelania, nie bałem się ich gróźb ani finansowej i politycznej władzy ich mocodawców. Ktoś powiedział mi, że to dlatego, że jestem samotny, że nie mam się o kogo martwić, że jestem tak samo porąbany jak oni. Być może. Ale to nie ja kopię świat po jajach, domagając się po trupach tego, co niby miałyby mi się należeć. Za to bardzo mi odpowiada rola obrońcy uciśnionych.

W mieszkaniu sprawdziłem ustawienie komputera — mogłem się z nim łączyć ze swojego laptopa — zamknięcia szafy pancерnej i przejścia do sypialni. Zabrałem parę dysków z koda-

mi, których nie musiałem pamiętać, kilka elektronicznych drobiazgów produkowanych głównie dla wywiadów wojskowych, pozbierałem trochę osobistych rzeczy do niewielkiej torby podróżnej. Przeszedłem przez ulicę i zapukałem do swoich dziewczyn.

— Cześć, bracie! — Patrycja pocałowała mnie w policzek, wspinając się na palce. Zawsze tak mnie witała.

— Cześć, mała!

Weszliśmy do mieszkania.

— Wiesz dobrze, że nie jestem twoim bratem, i błagam cię, nie zaczynaj tego dzisiaj.

— Czy to przez ciebie psy tak dzisiaj szaleją?

— Nie wiem. Cześć, Iwona! Masz mój komputer?

— Tak, Patrycja schowała, bo jednak musiałam wyjść. Chcesz lufkę?

— Możesz coś dać na szybko. — Usiadłem w fotelu, który wrócił już na swoje miejsce. — Przynieś komputer, Patrycja.

— Już się robi, bracie. Chcesz kolację?

— Nie chcę twoich kolacji i nie nazywaj mnie bratem.

— Przyjąłem od Iwony wysoką szklankę z jakimś koktajlem na wódce. Sięgnąłem ręką do miski z chipsami. — Przynieś komputer, proszę cię.

— Już idę. Ale naprawdę nie wiem, dlaczego tak się wypierasz. — Wyszła z salonu z kpiącym uśmiechem na ustach. — Gdyby tatuś cię słyszał... — dotarło do mnie jeszcze z przedpokoju.

— Coś ty tam nawyprawiał? — Iwona była przyzwyczajona do naszych przekomarzań z Patrycją. Bardziej ciekawiły ją wydarzenia dzisiejszego wieczoru. — Psy kręcą się, jakby im kto nasrał do talerza. To prawda, że była strzelanina?

— Nie wiem dokładnie — zniżyłem głos. — Ale lepiej nie mów nic nikomu o naszej małej tajemnicy. Ja zmywam się na jakiś czas.

Weszła Patrycja z moim laptopem.

— Proszę. Co to znaczy, że się zmywasz? — Miała słuch jak radioteleskop.

— Muszę zniknąć na trochę ze Śródmieścia. Mogą o mnie pytać. Lepiej się do mnie nie przyznawajcie.

— A jak się dowiedzą, że jestem twoją siostrą? — Patrycja zrobiła minkę, którą tak uwielbiali jej pokręceni klienci.

— Jezu! To najgorszy moment na takie żarty! Możesz naprawdę wdepnąć w gówno!

— Przede wszystkim to nie są żarty. Czy Józef Zborowski nie jest twoim ojcem?

— Jest, ale nie jest twoim.

— Mogę pokazać ci metrykę.

— Widziałem już twoją metrykę. Twoja matka była portową prostytutką w Szczecinie i pieprzyła się z całym światem. Mogła wpisać, kogo chciała. Nie wiem, może wcześniej była studentką mojego ojca albo jego pacjentką?

— To skąd wiedziałam, jak cię znaleźć?

— Przeczytałaś o mnie w gazecie i skojarzyłaś nazwiska. Zarabiasz dupą od czternastego roku życia i doszłaś do wniosku, że nabrać mnie to dla ciebie luźne szelki.

Była to nasza rutynowa wymiana zdań, bez złości. Najczęściej kończyliśmy gdzieś tutaj zmianą tematu, chyba że chciało mi się rozpocząć akt drugi, dydaktyczny. Dzisiaj mi się chciało.

— Jeżeli tak bardzo pragniesz rodziny, to przypomnij sobie, że chciałem być twoim bratem. Kiedy zjawiłaś się w Warszawie, chciałem ci pomóc. Kazałem ci iść do szkoły. Tłumaczyłem ci, że tylko wykształceniem możesz zmienić swoje życie. Na pewno nie pieniędzmi ani małżeństwem z bogatym klientem, na co wszystkie po cichu liczycie.

— O tak, miałam zostać sekretarką! A może pielęgniarką?

— Ja mówię o wykształceniu, nie o rezygnacji. Możesz być astronomem i odkrywać nowe planety. Możesz być konstruk-

torem i projektować samochody lepsze od ferrari. Możesz być oceanografem i do końca życia pluskać się w ciepłych morzach. O tym mówię, Patrycjjo. Sto procent sekretarek z twojego pokolenia wolałoby wykształcenie od małżeństwa ze swoim szefem, co było marzeniem sekretarek z mojego pokolenia. Prawie żadna nie dostaje tej szansy. Że ktoś jej powie: tylko się ucz, dziewczyno, a ja będę się martwił za nas obydwójce. Chciałem być twoim bratem, Patrycjjo.

— I to mówi Bartek Zborowski, krew z krwi, kość z kości! Czemu sam nie lecisz w kosmos? Nie wymyślasz szczepionek na raka? Nie ratujesz ludzkości przed trzęsieniami ziemi? — Sięgnęła dłonią do miski z chipsami, nasze ręce zetknęły się na ułamek sekundy. — Bo należysz do przegrywających, bracie. Luzerów. Jak ja, jak Iwona, jak Andżelika. Nie masz instynktu zdobywcy. Nie chcesz go. Nie chcesz zwyciężać innych w dążeniu do celu. I ja, i ty wiemy, że nawet gdybym skończyła astronomię, do końca życia wycierałabym szkiełko teleskopu zdolniejszym od siebie. Zrobiłabym prawo tylko po to, żeby przegrywać sprawy z jakimiś podejrzanymi firmami oszukującymi klientów, których nie stać na lepszego ode mnie adwokata. A może powinnam być pierwszą kobietą wysłaną na Marsa? Odpadłabym przy wstępnych testach. Przegrywający nie musi być nieudacznikiem, mój starszy bracie. Ale musi rozpoznać jak najwcześniej, do czego się nie nadaje. I pogodzić się z tym. Tak jak ty. Jesteś naszym guru. Uwielbiamy cię.

— Nie jestem twoim bratem. Lubię was wszystkie, ale nie jestem niczym bratem. — Włożyłem laptopa do torby, wstałem. — W każdym razie zmywam się. Gdyby ktoś mnie szukał, to chyba tylko po to, żeby mnie zabić. — Wołałem, żeby wiedziały, że to nie żarty. — Jakby coś tu się działo, macie mój numer telefonu. Ale naprawdę dopóki nie wrócę, lepiej mnie nie znać.

— Więc to jednak do ciebie strzelali! — Patrycja zrobiła przerażoną minkę. Ale z nią nigdy nie było wiadomo. Rzuciła

mi się na szyję. — Nic się nie martw, bracie. Jeśli tu przyjdą, we trzy zapieprzymy ich na śmierć!

Wróciłem na Centralny i przełożyłem obydwą gnaty ze skrytki do torby. Z bankomatu wyjąłem trochę gotówki. Złapałem taksówkę i pojechałem na Stegny, gdzie na granicy z Wilanowem stał w środku niczego luksusowy wieżowiec. Jeden z klientów wyjeżdżając na dłużej do Chin, prosił mnie w ramach ogólnego pilnowania jego spraw, abym zaglądał też od czasu do czasu do jego mieszkania. Taki czas właśnie nadszedł. Środek nocy, chociaż było już całkiem jasno. Czuję piasek pod powiekami i najchętniej położyłbym się spać. Jednakże myśl o Kasi, krzywdzonej, upijanej i molestowanej, nie pozwoliłaby mi zasnąć. Przypadek nieuleczalny.

Zamknąłem drzwi na łańcuch, rozejrzałem się po jasnym, nowoczesnie urządzonym wnętrzu z grubymi wełnianymi dywanami pieszczącymi obuwie. Usiadłem na wysokim krześle przy orzechowym stole i podłączyłem się do swojego komputera na Wspólnej. Zacznijmy od podstaw. Szczęsny, adres.

Klik, klik: rzeczywiście Dąbrowskiego, ale z tej lepszej strony. Po numerze nawet rozpoznałem dom, wielokrotnie przejeżdżałem obok niego. Duży, ładny. Wyłuskałem wszystkie możliwe numery telefoniczne. Musiałem jednak poczekać jeszcze z godzinę, aż służba zacznie wstawać. Na razie miałem co innego do roboty.

Klik, klik: Saneczkowa osiemdziesiąt, Marciniak, Jacek. Nie wiele, spółka doradztwa finansowego. Może to być przykrywka, ale legalność bez zarzutu. Lat sześćdziesiąt dwa, niekarany, druga żona, dwoje dzieci, Aleksandra i Piotr. Zeznanie podatkowe na kilka milionów usprawiedliwiający giganta w Klarysewie. Wszedłem jeszcze do archiwum jednego z dzienników. Nic! Trochę o córce, która ma sklep z luksusowymi ciuchami na Nowym Świecie — też wiedziałem, który to — i prowadzi się ze sławnymi rockandrollowcami i aktorami. Ale bez żadnych kryminalnych sensacji. Raz zatrzymana za posiadanie kokainy,

zwolniona ze względu na znikomą ilość. Zresztą to już dawno temu. Dzisiaj miała... obliczmy, trzydzieści dwa lata i ze zdjęć wynikało, że jest całkiem atrakcyjną niewiastą.

Piotr Marciniak, lat dwadzieścia, student Szkoły Głównej Handlowej. No, no, jak na gangstera tata miał swoje ambicje. Chociaż zaraz, zaraz, w końcu świętej pamięci Śledziu nie stwierdził dogmatycznie, że jego pan Marciniak to tata. A dla Kasi na pewno wolałbym już najbardziej wyuzdane zabawy ze psutej młodzieży niż porwanie i pistolet skorpion. Szósta, czas budzić lud pracujący.

— Pięć, pięć, trzy, zero, w czym mogę pomóc? — usłyszałem cztery ostatnie cyfry numeru, pod który dzwoniłem. Znałem ten sposób. Zmuszał obcego do przejęcia inicjatywy i tłumaczenia się.

— Czy to mieszkanie państwa Szczęsny?

— A kto chce wiedzieć? — niemłody damski głos był jak z marmuru: twardy i nieprzejednany.

— Komisarz Kurek z komendy stołecznej policji. Mamy tutaj zatrzymaną pannę podającą się za Katarzynę Szczęsny. Twierdzi, że mieszka na Dąbrowskiego dwadzieścia i że to jest jej domowy numer.

— To niemożliwe! — marmur runął, został strach. — Kasia jest w domu, jeszcze śpi!

— Na pewno? Proszę ją obudzić i niech podejdzie do telefonu. Wyjaśnimy to od ręki. — Jeżeli jej nie ma, niechże wreszcie ktoś w tym domu zainteresuje się, co dziecko robi, kiedy nie odrabia słupków. Ciągle miałem cichą nadzieję, że rozespana Kasia opieprzy mnie za zawracanie głowy o szóstej rano. Niestety.

— Kasi rzeczywiście nie ma. Będę musiała... — strach zniknął z głosu, została troska i profesjonalizm. Jakikolwiek były jej obowiązki, podejrzewałem, że jest bardzo skuteczna.

— Czy pani jest matką?

— Nie, skądże! — Wyczułem lekki uśmiech. — Pracuję tutaj jako zarządca domu. Panie...

- Czy ma pani jakieś nazwisko?
- Owszem. Nazywam się Cecylia Głowacka. Czy dowiem się wreszcie, gdzie jest Kasia?
- Droga pani Cecylio — potrzebowałem choć odrobinę osobistego kontaktu — proszę wysłuchać mnie uważnie, bo będzie pani musiała podjąć trudną decyzję. Nie jestem policjantem, jestem przyjacielem Kasi.
- Dlaczego więc...
- Pani Cecylio! Kasia zniknęła. Była ze mną umówiona wczoraj po południu. Szukałem jej cały wieczór, nie znalazłem, miałem nadzieję, że spała w domu. Martwię się o nią.
- Jest pan jej kolegą z klasy?
- To była sugestia, abym nie obrażał jej inteligencji.
- Nie, pewnie jestem starszy nawet od pani. Nazywam się Zborowski i Kasia prosiła mnie o pomoc. Nie zdążyłem, zniknęła. Czy już wcześniej zdarzało jej się nie nocować w domu?
- Panie Zborowski, nie chcę być niegrzeczna, ale zaczytnam podejrzewać pana o brzydkie rzeczy. — Profesjonalizm wziął w niej górę, lecz nie była agresywna. — Proszę zostawić swój numer telefonu, a na pewno Kasia skontaktuje się z panem, jeżeli wciąż będzie jej na tym zależało.
- Dobrze, pani Cecylio — podałem jej swój numer. — Ale dla dobra Kasi proszę mi uwierzyć, że nie mam w związku z nią brzydkich myśli. Byłem świadkiem nieprzyjemnego zdarzenia i Kasia poprosiła mnie o pomoc. Na razie nie umiem się z tego wywiązać. Bardzo chcę, żeby wróciła do domu i powiedziała mi: odwał się, już jest w porządku. Proszę ją znaleźć, a zaproszę panią na tańce, Cecylio, i wycałuję do utraty tchu.
- Hm... Ma pan dar przekonywania, co do tego nie ma wątpliwości. Dobrze, dam panu znać, gdy sprawa się wyjaśni.
- Nie wiem jeszcze, czy się z panią ożenię, ale już panią kocham.
- Skąd pan wie, że nie jestem mężatką?
- Nie dostałaby pani tej pracy.

— Bardzo zmyślne. Do widzenia — odłożyła słuchawkę. Nikt nie lubi, gdy przypominają mu o jego samotności.

— Do widzenia, Cecyljo — powiedziałem do głuchego mikrofonu.

Gdyby „pan Marciniak” Śledzia miał okazać się synkiem Piotrusiem, to na łapanie dwudziestoletniego playboya było zdecydowanie za wcześnie, nawet jeżeli coś tam studiował. Nie ma pośpiechu. Potrzebowałem trochę atutów w tej rozgrywce. Zadzwoiłem do prawdziwego komisarza Kurka. Miałem szczęście. Właśnie kończył dyżur.

— Bartek? Spadłeś z dupy czy mąż wrócił za wcześnie?

— Ach, to żołnierskie poczucie humoru! Wiesz, że nie posuwam cudzych kobiet. Zapraszam cię na śniadanie.

— Płaci klient?

— Nie, prywatnie. Ale i tak tam gdzie zawsze.

— No, no, już się denerwuję. — Odłożył słuchawkę nie czekając na moje pożegnania. To już drugi dzisiaj.

„Tam gdzie zawsze” oznaczało hotel Bristol, gdzie znowu, po kilkudziesięciu latach przerwy, spotykali się na śniadaniach ludzie kończący zabawę lub pracę w środku mieszczańskiej nocy: bywalcy klubów, krupierzy, kelnerki, didżeje, niezabukowane hostessy i hazardziści, czasem wielkopańskim gestem płacący rachunek za całe towarzystwo. No i ja, stary wykidajło.

Wyjąłem z torby ciuchy i zostawiłem je na łóżku. Resztę zabrałem na dół, do biura ochrony, aby torbę z komputerem i gnatami włożyli do swojego sejfu. Na wszelki wypadek zatrasnąłem na zamku kłódkę na kod numeryczny. Zamówiłem taksówkę i po piętnastu minutach byłem na Krakowskim Przedmieściu. Poranne korki zaczynały się budować dopiero po siódmej.

Jędrka Kurka jeszcze nie było, a restauracja opustoszała już z nocnych śniadaniowiczów. Poprosiłem o dzbanek kawy. Kiedy komisarz przyszedł, zamówiliśmy jajka, świeże bułeczki i półmisek wędlin. Jędrzek poprosił o piwo. Był starszy ode mnie

z dziesięć lat, stracił już figurę i szesane do tyłu włosy przeredziły mu się. Ale wciąż roztaczał aurę rzymskiego cezara i nigdy nie dziwiłem się, że tak niewielu próbowało go kiedykolwiek nagiąć. Onieśmielał samym spojrzeniem. Teraz jednak roztkliwił się.

— Jak za starych pieprzonych czasów...

— Piwo o siódmej rano, łzawe wspominki! — Znaliśmy się ładnych parę lat. — Mam nadzieję, że rozglądasz się za emeryturą.

— Martw się o siebie. — Nie wyglądał na zdołowanego. — Jeszcze będziesz dla mnie biegał.

Był uczciwym pragmatykiem odpornym na pokusy swojego zawodu. Nie czepiał się tam, gdzie nie trzeba było, ale nie dawał się wciągnąć w spiralę wzajemnych wdzięczności. Polubiliśmy się już przy pierwszym wspólnie wypitym piwie.

— No, co cię tam gryzie? — Wytarł usta serwetką, co oznaczało, że można przejść do interesów.

— Jacek Marciniak. Niewinny jak aniołek. Sprawdziłem.

Jędrzek udawał, że nie reaguje: taki twardziel. Naprawdę go lubiłem.

— Po co ci to? Klient?

— Nie. Nie jestem jeszcze pewien, ale wygląda na to, że chce mnie zdjąć.

— Czy ten burdel w nocy...? — stary policjant spojrział na mnie ze złością. — No tak, przecież ty tam mieszkasz!

— Nie wiem, o czym mówisz — patrzyłem mu prosto w oczy. — Nie byłem jeszcze w domu. Jaki burdel?

— Ktoś bawił się w Bruce'a Willisa. — Widać było, że jako policjant musi umawiać się sam ze sobą, że mi wierzy. — Dwa zejścia.

— W Śródmieściu? — Chciałem mu pomóc. Swoim jasnym spojrzeniem wyrażałem czyste zainteresowanie.

— Dobra, to co z tym Marciniakiem?

Gry z Jędrkiem nie należało przeciągać.

— U mnie jest po prostu święty. Z aureolą.
— To co z ciebie za detektyw?
— Właśnie pracuję ze swoim informatorem.
— Czym mu się naraziłeś? — Miał dzisiaj dobry humor, uśmiechał się nawet.

— Jeszcze nie wiem, naprawdę. Dziewczynka zgubiła piórnik. Poprosiła mnie, żebym go znalazł. Wyszło na Marciniaka, a ten wpadł w szal albo co? Wiesz, że normalnie radzę sobie z takimi. Ale właśnie dlatego, że nic z tego nie rozumiem, przyszedłem do ciebie.

— Ty nie masz broni?

— Nie mam nawet pozwolenia.

— I to nie ty załatwiłeś tych dwóch dzisiaj w nocy przy Nowogrodzkiej?

— Nie, nie ja.

Nie mogłem powiedzieć nic innego! Nie mogłem tego zrobić przyjacielowi. Był wyraźnie zmartwiony obrotem spotkania.

— To jak chce cię zdjąć?

— Groźby przez telefon. Jeszcze nie strzela, jeśli o to chodzi.

— I to z powodu dziewczęcego piórnika? — Dawał mi do zrozumienia, że chętnie uwierzy, ale muszę się lepiej postarać.

— Tata dziewczynki ma miliard złotych i pewnie śniada teraz za ścianą — ruchem głowy wskazałem w stronę pałacu prezydenckiego. Jędrus zmarszczył czoło, lecz nic nie wymyślił.
— Jeszcze Polska nie zginęła — zanuciłem. Dotarło.

— No tak, teraz to by się zgadzało — podniecił się wreszcie. — Ja mam tylko plotki. Ale jak dasz mi coś, czym mógłbym kogoś zainteresować, to może dostaniesz taki cycek, w którym nie ma niczego innego jak tylko Jacek Marciniak.

— Nie mam dużo — odpowiedziałem uczciwie. — Kasia Szczęsny zgubiła szkolną torbę. Poprosiła mnie, żebym ją znalazł...

— Od razu poszukała detektywa? — stary góral uśmiechnął się.

- Znaliśmy się prywatnie.
- Ile ona ma lat?
- Szesnaście.
- Jezu, nie posuwasz jej, mam nadzieję!
- Jędrus! Pozwól, że ci postawię jeszcze jedno piwo, to może wtedy zejdziesz ze mnie!
- Dobrze — machnął ręką na kelnera. — Niech ci będzie — zaczął, kiedy kelner odszedł. — Gdzie jest w tym Marciniak?
- Balowała chyba z jego synem, studentem.
- No i?
- Usłysz to wreszcie, jakkolwiek nieprawdopodobnie to brzmi. Zgubiła swoją torbę. Prosi mnie, żebym po starej znajomości ją odnalazł. Jeszcze nie zacząłem działać, a tu dzwoni do mnie jakiś przydupas Marciniaka i mówi, że już nie żyje.
- Czemu sama jej nie poszuka?
- Nie wiem — wchodziliśmy na trudny teren. — Ale nie widziałem powodu, żeby jej odmówić.
- Nie zapytałeś jej?
- Oczywiście, że zapytałem. Roześmiała się.
- Co?
- Roześmiała się, po dziecinnemu. Nie było żadnego powodu, żeby jej odmówić.
- A powód, żeby jej pomagać?
- Chcesz usłyszeć, że się zakochałem?
- W szesnastolatce! — Nie miał chyba o mnie najlepszej opinii.
- Zmieniasz temat. Nie bzyknąłem jej. Ale umiała mnie poprosić. Dlaczego miałem jej odmówić? Nie słyszałem o Marciniaku do wczorajszego wieczora. Wrzuciłem go na komputer i nic. Gdyby był czysty, musiałyby być o wiele więcej. Specusłużby? Jest chroniony?
- Nie musi, jak widzisz, sam robi to najlepiej. Czego więc chcesz?

— Powiedz mi chociaż, kto to jest, do cholery? Dlaczego ja nie znam o nim plotek?

— Bo to nie twoje sfery. — Zamyślił się. — Dla ciebie to byłby tylko nowoczesny gangster działający w legalnych finansach: Liechtenstein, Kajmany, Jersey. Nieoficjalnie mogę cię doksztalić, że to zasłużony pretorianin Milewskiego, może najzdolniejszy. Sprawdź w Internecie aferę „Żelazo”. Dzięki swoim kontaktom na Łubiance ma pewnie więcej władzy niż wszystkie nasze demokratyczne rządy razem wzięte. Jak usłyszysz o krachu na giełdzie, to będzie on. Jak gdzieś tam się tłuką w Rosji czy na Bałkanach, pan Marciniak na pewno przelicza zyski.

— A jak kury przestają się nieść, a krowy nie dają mleka? Spojrzał na mnie jak na wariata. Machnął ręką.

— Ja ci mówię to, co wszyscy wiedzą.

— A dlaczego nie ma o nim nic w gazetach, w telewizji?

— Chyba żartujesz! — pokiwał głową, jakbym był pierwszym naiwnym.

— No dobra, to co z tym cykiem pełnym informacji?

Pogrzebał w kieszeniach i wyjął mały notes.

— Chcesz telefon? — podałem mu swoją komórkę.

— Za stary jestem na taki numer. — Wstał. — Zaczekaj chwilę — poszedł sobie.

Właściwie sprawa niepotrzebnie zaczynała się komplikować. Ale znowu nie były to rewelacje zagrażające bezpośrednio zesputym dziewczynkom. Stawiałem raczej na Marciniaka juniora i jego niezbyt sympatycznych kolegów. Najprawdopodobniej narkotyki — tajemnicza torba sama podsuwała to rozwiązanie. Wtedy i pistolet skorpion były na miejscu. Zabić kogoś takiego jak ja, to dla nich jak splunąć. Lecz córka miliardera z politycznymi koneksjami to nie to samo. Pewnie coś tam się pokręciło, ktoś jest coś komuś winien, ale nie powinno jej nic grozić. Tylko ten „pan”, kiedy Śledziu odebrał telefon... Do rówieśnika mówiłby po imieniu albo ksywą. Cholerka. Telefon poruszył się

w kieszeni. Ktoś próbował się dodzwonić. Nie czas na dobre maniery.

— Zborowski.

— Tomasz Szczęśny. Pan zna moją córkę?

Gdybym musiał, to przyznałbym, że замуrowało mnie na chwilę. Wrócił Jędrrek, dałem mu znak ręką, żeby usiadł i był cicho.

— Znam, panie Szczęśny. — Patrzyłem, jak przyjaciel robi miny z kpiącym podziwem. Widocznie uznał, że trzeba to uczcić, bo pokazał kelnerowi pustą szklankę.

— Co to znaczy, że Kasia zniknęła?

— Ja sam nie wiem, proszę pana. Była ze mną wczoraj umówiona i nie zjawiała się. Dowiedziałem się też, że nie dotarła do domu.

— Kim pan jest?

— Bartek Zborowski, broker informacyjny. Mam dobre referencje.

— Detektyw od szukania ludzi dla banków?

— Zgadza się.

— Czy moja córka wynajęła pana?

— Można to tak ująć.

— Jest niepełnoletnia. Powie mi pan do czego?

— Nie w tej chwili, ale to nie jest wielka tajemnica. Co do jej wieku, to nie brałem od niej pieniędzy. Poprosiła mnie o pomoc, a ja się zgodziłem coś dla niej znaleźć.

— I znalazł pan?

— Jeszcze nie. Na razie staram się znaleźć Kasię. Nie rozumiem, dlaczego nie przyszła na spotkanie.

— Może już nie potrzebowała tego czegoś. — Usłyszałem ulgę w jego głosie. — Zorientuję się, czy wszystko wróciło do normy. Pan pewnie zna moje ściśle zastrzeżone numery telefonów. Proszę zadzwonić po południu.

— Zrobię to. Czy mam na razie zaprzestać poszukiwań pańskiej córki?

— Tak chyba będzie lepiej. Kasia często zostaje na noc u koleżanek. Nie rozdmuchajmy czegoś, co by ją mogło poparzyć. Czy pan mnie rozumie?

— Myślę, że tak. Podoba mi się pańskie podejście. Ale proszę dopilnować, żeby Kasia była bezpieczna.

— To moja córka, młody człowieku! Do widzenia. — Odłożył słuchawkę nie czekając na odpowiedź. Mania jakaś!

— No, no... — Jędrak pokręcił głową. — Nie znałem cię od tej strony. Ale nie powiedziałaś mi, że ta dziewczyna zniknęła.

— Bo sam nie jestem pewien, przecież słyszałeś. Jej ojciec nie martwi się za bardzo.

— To dobrze, bo właśnie pakujesz się w gówno i masz ostatni moment na wycofanie.

— Mów.

— Są pewne osoby — rozejrzał się — a nawet instytucje — pochylił się przez stół i zniżył głos — które już od dawna szukają jakiejś skórki od banana, na której pan Marciniak mógłby się poślizgnąć. Gdybyś miał coś takiego, daliby ci order.

— O nie! — Byłem rozczarowany — Tylko nie cichociemni! Nie chcę się z nimi bawić. Zaraz zaczną mi grozić za zatajanie informacji.

— Poczekaj — uspokajał mnie machaniem dłoni — przecież znamy się nie od dziś. Powiedziałem, że nie dasz się wciągnąć. To mój dobry kolega. Zgodził się porozmawiać. Tylko tyle. Robi mi przysługę z nadzieją, że może mu to pomóc w tej jego grze w chowanego. Bez zobowiązań dzięki temu, że ręcę za ciebie. Nie przyda ci się nowy przyjaciel? — kusił.

— Przyjaciół nigdy za wiele — mruknąłem i dolałem sobie kawy. — Ale oni uważają zawsze, że wszystko im się należy, a jak się buntujesz, to ci grożą. Pieprzę takich przyjaciół.

— Być może masz niepowtarzalną okazję pomóc jednemu z nich. Prywatnie. Jako mój kumpel. Nie pięknie? — uśmiechał się. Nie byłem pewien, czy trochę sobie ze mnie nie kpi. — Mogę odwołać.

— Co odwołać?

— Spotkanie.

— Kiedy?

— Zaraz. Ja muszę się wyspać. — Oczy mu błyszczały, ale to od piwa.

— Gdzie?

— Barek na lotnisku. Teraz są tam tłumy. Podjedziesz?

W końcu nic lepszego nie miałem do roboty. Do domu wolałem nie jechać, a nie mogłem do końca życia poruszać się kanałami.

— No dobrze. Jak go poznam?

— On pozna ciebie.

ROZDZIAŁ V

W taksówce dopadł mnie wreszcie sen, nie zdołałem się jednak zapomnieć na dłużej niż parę minut. Na lotnisku znalazłem kafenię, gdzie miano mnie rozpoznać. Miałem już dość gorzkiej kawy, więc zamówiłem sok ananasowy.

— Hej! — otoczyła mnie mgielka przyjemnego zapachu i ktoś pocałował mnie w policzek.

— Hej! — odwróciłem się. No ładnie! Akurat teraz! Wiedziałem, że ją znam, ale nawet nie mogłem sobie przypomnieć skąd. Musiałem mieć głupią minę, bo dziewczyna roześmiała się. Miała śliczne ząbki.

— Nie pamiętasz mnie. A to ja jestem tym starym kolegą komisarza Kurka. A raczej córką jego kolegi. Małgorzata Ski-
bińska. Dawno temu w Londynie zabrałeś mnie na koncert Weather Report do Odeonu.

— Małgorzata... — coś mi tu ciągle nie pasowało. No jasne! — Gogi! To naprawdę ty?

— Och, proszę, nie nazywaj mnie tak. — Rozejrzała się, jakby chciała się upewnić, że nikt tego nie usłyszał. — Absolutnie niedopuszczalne! Ojciec przeciągnął tę bzdurę z niemowlęcych czasów, a ja teraz muszę ukrywać to przed kolegami. Nie daliby mi spokoju.

— Ależ mnie się to strasznie podoba! — Jakże ona wydo-
rosłała! — Zawsze mi się podobało. — Wspomnienia wracały falą. — Całowaliśmy się wtedy.

— Ale tylko ten raz. Wtedy w ogóle widzieliśmy się ostatni raz. — Gogi również mi się przyglądała.

— No tak. Nazywali się już wtedy Weather Update, nie Report. Świetny koncert.

— Jak nazywał się ten perkusista?

— Peter Erskine.

— Tak, teraz pamiętam. Nie zadzwoniłeś potem.

— Gogi! Ile ty miałaś lat? Twój ojciec by mnie zastrzelił!

— Miałam skończone piętnaście.

— A ja pewnie ze trzydzieści.

— Dwadzieścia sześć.

— Widzisz? Chciałem zwiedzać świat, nie mogłem rujnować ci życia. Miałaś się uczyć. — Ach, jakże miło było przypomnieć sobie swoją niewinność. — Czego się napijesz? Albo może chodźmy stąd, co ty na to?

— Możemy. Gdzie pójdziemy?

— Podjedźmy do mojej kryjówki. — Wcale nie miałem brudnych myśli.

— Dobrze, gdzie to jest? — Gogi o nic mnie nie posądzała.

— Na Stegnach.

— Dobrze — roześmiała się znowu. Ależ była apetyczna!

Gogi miała służbowego stilo z kogutem leżącym między siedzeniami. Po drodze powspominaliśmy jeszcze trochę. Jej ojciec był oficjelem w ambasadzie polskiej w Londynie i bardzo mi pomógł doprowadzić do porządku moje dokumenty, kiedy zapragnąłem podróżować i okazało się, że mnie nie ma. Nie istnieje. Żadnego papierka. Ponieważ zbadał moje pochodzenie, wiedział chyba o mnie więcej niż ja sam i może dlatego pozwolił mi zabrać swoją dziewiczą córkę na koncert jazzowy. Teraz okazało się jeszcze, że od lat przyjaźnią się z Jędrkiem Kurkiem!

Zatrzymaliśmy się przy sklepie na rogu Nałęczowskiej, kupiłem wodę, piwo i trochę soków, jakieś chipsy i orzeszki. W pokoju Gogi położyła palec na ustach, wyjęła swój telefon i przy-

cisnąwszy parę guzików pomachała nim po ścianach, zasłonach, lampach, a nawet pod łóżkiem i w łazience.

— No, no — pokręciłem głową z podziwem. Też to miałem, z tym że nie w telefonie, a torby z sejfu wolałem na razie nie przynosić. — To już standard?

— Tak, użyteczny. Można bezpiecznie rozmawiać przez telefon.

— Ale tylko między sobą. Bo przecież mogą namierzać tego, kto nie ma takiego aparatu.

— Sprytny jesteś — uśmiechnęła się. — No dobrze, zaczynaj.

— O nie, Gogi! Miej chociaż szacunek dla wieku. Ty pewnie już wiesz, co robię — podałem jej swoją wizytówkę. — Mike Hammer i Philip Marlowe w jednej osobie. Powiedz mi, czym ty się zajmujesz i dlaczego chciałaś się ze mną spotkać. Masz męża?

— Bartek! — pogroziła mi palcem. — Nie wolno uwodzić urzędnika państwowego na służbie. Absolutnie.

— Nie zgadzam się. — Otworzyłem piwo, podałem jej, lecz odmówiła ruchem głowy. Napilem się z puszki. — To jest prywatne spotkanie. Nie życzę sobie żadnych raportów. Jędrrek miał ci zaznaczyć: bez zobowiązań.

— Wszystko to prawda, ale...

— Gogi! — Usiadłem obok niej na brzegu łóżka. — Po prostu powiedz mi to, co możesz. I jeżeli tak bardzo tego potrzebujesz, mogę zacząć: wydaje mi się, i muszę to wyraźnie podkreślić, że tylko mi się wydaje, że niejaki pan Jacek Marciniak dybie na moje wesołe życie. Do wczoraj wieczór nigdy o nim nie słyszałem. Jędrrek, kiedy go zapytałem o Marciniaka, doszedł do wniosku, że chętnie ze mną porozmawiasz. Nawet mi nie powiedział, że to będziesz ty. Mówił o starym kumplu.

— To był mój pomysł. — Gogi była tak blisko, że znowu poczułem jej piękny zapach. — Chciałam ci sprawić niespodziankę.

— Udało ci się. Ale to znaczy, że Jędrak wie, czym się zajmujesz.

— Och, to przez mojego ojca. Jest absolutnie nadopiekuńczy. Wujek Jędrak wie, że ścigam Marciniaka od dwóch lat bez specjalnych sukcesów. Włącza więc starą gwardię i jak coś znajdują, dają mi znać.

— Jako kto go ścigasz?

— No... państwo, oczywiście.

— Gogi, przestań! ABW? Skarbówka? Jesteś w ABW?

— Och, Bartek!... — Widziałem, że się zirytowała. — Nie mam już piętnastu lat.

— Więc skoro jesteśmy dorośli, wyduś to z siebie. Przecież cię nie zdradzę — przyciągnąłem jej głowę i pocałowałem ją.

— Jesteś absolutnie niemożliwy. — Wstała z łóżka i zaczęła chodzić po niewielkim pokoju jak po celi. — To wszystko jest absolutnie wbrew regulaminowi.

— Jeżeli potrzebujesz pomocy, olej regulamin.

— Powoli — zatrzymała się, popatrzyła na mnie chwilę. Jej oczy imponowały inteligencją, ale też czaił się w nich rozpustny diabełek. Nie mogłem powstrzymać się od sprośnych myśli. — Marciniak jest spekulantem finansowym na gigantyczną skalę, z tym że nie działa jawnie — zaczęła z namysłem, by nie powiedzieć za dużo. — Stworzył sieć zagranicznych spółek od Liechtensteinu do Wysp Dziewiczych, za pomocą których, mając naprawdę ogromne środki, jest w stanie wpływać nawet na kurs złotego, samemu pozostając w cieniu. Ponieważ mamy niedługo przystąpić do strefy euro, istnieje teoretyczna, zaznaczam, czyisto teoretyczna możliwość, że wielcy spekulanci mogą pokusić się o manipulowanie naszym pieniądzem. Dlatego powstał specjalny wydział, w którym próbujemy przewidywać te procesy, a jednocześnie wkraczać tam, gdzie uda nam się udowodnić działania nielegalne, jak choćby pranie, lewe transfery, powiązania z przestępczością zorganizowaną czy handel kobietami.

— I ty tym kierujesz?

— Nie. Należę do zespołu. Z wykształcenia jestem monetarystką.

— Ale to chyba nie tylko Sprawy Wewnętrzne?

— Proszę cię, nie dopytuj się. Powiedzmy, że jest to skala... euroatlantycka.

— I nie możecie go na niczym przyłapać?

— Jest naprawdę dobry w tych przepychankach.

— Gogi, odpowiedz mi na jedno niezgrabnie sformułowane pytanie. — Ponieważ stała oparta o parapet okna, przesiadłem się z łóżka na krzesło przy stoliku. — Jędrak tajemniczo nazwał Marciniaka gangsterem. Ty już tylko spekulantem, chociaż też chcesz go za to ścigać. Czy nie może być tak, że Marciniak jest po prostu genialnym graczem, który dobrze wie, jak działa prawo, i umie się nim posługiwać? Dlaczego tak go nie lubicie?

Gogi przyglądała mi się z rękami w kieszeniach kurtki.

— Przypomnij mi, dlaczego miałabym ci o tym powiedzieć.

— Bo waszemu wszechpotężnemu, przemądrzałemu Babilonowi trafiła się wygrana na loterii: doktor No, którego nie możecie ruszyć, a jedynie łykać cichutko łyzy frustracji, nadepnął na odcisk pewnemu detektywowi z bożej łaski. A wiadomo, gdzie diabeł nie może...

— Uważasz, że dasz radę go załatwić? — roześmiała się prawie obraźliwie.

— Stop! — teraz ja się zezłościłem. Wstałem, wziąłem Gogi za dłonie i przysiadłem na poręczy fotela. Moja głowa znalazła się na poziomie jej piersi. Spojrzałem do góry. — Wręcz przeciwnie. Nikt mnie jeszcze nie przekonał, że trzeba go załatwić. Mnie jego majątek nie przeszkadza. Jeżeli się okaże, że to nie on pragnie pozbyć się mnie z tego padołu, wyślę mu pocztówkę z napisem: „Powodzenia!” — Przyciągnąłem ją do siebie i objąłem. Położyła mi ręce na włosach. — Zostawmy go na chwilę. — Wierciłem nosem jej brzuch, próbując wcisnąć się ustami

między guziki bluzki. — Jesteś taka pachnąca, że aż kręci mi się w głowie — zacytowałem.

— A pogłaskasz mnie trochę?

Zawsze wystarczał mi chociaż cień przyzwolenia. Zacząłem delikatnie, jak na filmach, otwierając usta i szukając jej oddechu. Jednak bardzo szybko przewróciliśmy się na łóżko w tych niezwykłych zapasach, jakimi są erotyczne pocałunki. Delikatność warg ustępowała ostrości zębów i poczułem smak krwi. Uszanowałem jej bluzkę, ponieważ było rano i pewnie musiała zaraz biec do pracy. Swoją energię poświęciłem na rozpięcie paska u jej dzinsów, bo to był moment, kiedy wątpliwości mogły jeszcze przewyciężyć podniecenie. Przegrałem.

— Och, Bartek! — Gogi zerwała się z łóżka. — Zawsze wiedziałam, że z tobą musi być właśnie tak. Absolutnie!

Uporządkowała ubranie, wyjęła z portfela swoją wizytówkę i rzuciła ją na stolik.

— Ale raczej nie dzwoń w ciągu dnia — zegnała mnie, znowu całując. Nie wstałem razem z nią z łóżka i teraz oczy nie chciały mi się już otworzyć. — Przyfrunę tu wieczorem, choćby świat miał się beze mnie zawalić. Załatwię też pozwolenie na wprowadzenie cię w Marciniaka. Pa!

— Bez zobowiązań! — zdołałem wymruczeć, a kiedy trzasnęła drzwiami, zasnąłem jak kamień.

Być może Kasia nie była dziewczyną dla mnie. Na pewno jednak przynosiła mi szczęście.

Część II

TALITHA KUM!

*Kochał ją król, kochał ją paż
Kochali ją oboje*

ROZDZIAŁ VI

Był jeszcze dzień, kiedy obudził mnie telefon: Jędrrek.

— Siedzisz?

Jak na policjanta miał nieortodoksyjne poczucie humoru.

— Nie, wciąż na wolności.

— No to odetchnij pełną piersią. Znaleźli tę małą.

— Jaką małą? Jędrrek, całą noc nie spałem. Kasię Szczęsną?

— Tak. Siedzisz?

— Odwal się! Leżę! Obudziłeś mnie. Cieszę się, że się znalazła, ale...

— Nie powiedziałem, że się znalazła... — zamilkł.

Poczułem straszny ból w tyle głowy.

— Boże, nie dopuść...

— Udużona.

Nie zdołałem nawet wyłączyć telefonu. Głos Jędrka przebijał się przez moją czaszkę jak wiertło udarowe.

— Cieszę się, że umiesz płakać. I współczuję ci. Ale weź się w garść, kolego, bo czekają cię ciężkie chwile. Najlepiej jakbyś przyjechał do nas od razu, z własnej woli.

Chciałem go zignorować, chciałem walić głową w ścianę, chciałem też umrzeć. Na pewno nie chciałem przestać wyć.

— Przyjedź po mnie — chlipałem.

— Gdzie?

— Pod Instytut Neurologii na Sobieskiego.
— Masz zamiar świrować? — wystraszył się.
— Przyjedź, durniu, pod Instytut! Będę płakał na ulicy — rozłączyłem się.

Instytut sąsiadował z budynkiem, w którym przebywałem, dlatego nie spieszyłem się z wyjściem. Myślą, która powoli wy-rastała z mojej rozpacz i jak gęsty bluszcz oplatała mój mózg, było: nie chcę! Nie chcę żyć w waszym świecie, nie chcę żyć razem z wami! To się po prostu nie da! Bydło! Bydło!

Nigdy przedtem nie pragnąłem tak bardzo istnienia Boga, idei zmartwychwstania. Żeby Kasia rzeczywiście gdzieś tam zo-stała otoczona opieką i żebym mógł ją jeszcze kiedyś zobaczyć.

Boże, objaw mi się, a umrę dla Ciebie choćby zaraz!

Przygarnij Kasię, a całe życie będę się do Ciebie modlił z wdzięczności!

Daj mi znak, a spędzę resztę życia na kolanach!

Wsadziłem w końcu łeb pod kran z zimną wodą i chwilę go tam pottrzymałem. Wytarłem się, zajrzałem do barku. Jakieś ciepłe świństwo z węzłem w środku. 70% — pasuje, tyle że gwint odpada. Przeląłem połowę płynu do dużego kubka i wypilem bez trzymania. Usiadłem na stolku, powtórzyłem operację i po-czekałem chwilę, aż mnie utuli. Utuliło. Mogłem już wyjść mię-dzy pierdolonych ludzi.

W radiowozie wciąż jednak nie mogłem się pozbierać i na pewno nie miałem zamiaru niczego tłumaczyć. Za to Jędrak, nie bardzo wiedząc, co zrobić z ludzkimi odruchami, które nagle zaczęły przebijać jego zawodową skorupę, tłumaczył się gęsto.

— Nie znam za dobrze inspektora, który będzie się tym zaj-mował, ale to wysokie progi. Od razu dostaliśmy prikaz, żeby dawać wszystko, co mamy. Nie mogłem cię kryć, a nawet nie musiałem, bo i tak przecież wyłożyłeś się Szczęsnemu. Powie-działem, że jej szukałeś i że sam im opowiesz dlaczego. — Po-milczał chwilę, pozastanawiał się. — Ta mała Skibińskiego też

będzie musiała się do ciebie przyznać, więc możesz dać im Marcinia bez zahamowań. A co do tej strzelaniny... — Gryzła go od samego początku. — Ja w każdym razie cię z tym nie łączę. Ale uważaj z nimi. To będą politycy bez skrupułów, nie łapsy dociekające prawdy.

— Co się właściwie stało?

— Nie wiem. Była odprawa, poszedł szum po korytarzach. Sprawę przejęła Komenda Główna. Wolałem sam cię zgłosić, zanim zaczęliby cię szukać.

Dojeżdżaliśmy już do Puławskiej, kiedy przekierowano nas przez radio do prokuratury na Krakowskim. Było mi to wszystko obojętne; co chwilę dopadał mnie straszny ból i nie mogłem powstrzymać łez. Moja własna czarna otchłań pogłębiała się i coraz mniej chciało mi się żyć i o tym gadać. Byłem winny, jakkolwiek bym sobie tłumaczył, że nie mogłem po nocy zaczepiać jej młodocianych przyjaciół, że jej ojciec sam kazał mi czekać z szukaniem, że cokolwiek się stało, pewnie nie ma ze mną nic wspólnego — byłem winny. Widziałem jej twarzyczkę i trzepotanie rzęs i nie mogłem się pogodzić z tym, że ją zabili, a my będziemy się teraz zastanawiać, kto zdejmował jej majtki. Jaki sens ma śledztwo, którego sukces ma polegać na tym, że ten, kto mi ją zabił, będzie przez dziesięć lat oglądał w więzieniu telewizję, a potem znowu wcinął schabowe, opalał się w lecie na plaży i składał życzenia świąteczne przy wigilijnym stole? A Kasia już nigdy nie będzie szeptać z koleżanką o nowym chłopaku, cieszyć się ze zdanego egzaminu z hiszpańskiego, jeździć na nartach. Nawet gdybyśmy go mogli powiesić — co mi z tego? Podobno na Atlantydzie mieli jakiś Kryształ, przez który potrafili przekazywać energię życiową winowajcy jego ofierze. Czyli my go, skurwysyna, usypiamy, a Kasia budzi się na łóżku obok. Wtedy istniałby Sens, wtedy byłoby warto. A tak...

— Nie bardzo rozumiem, co się z tobą dzieje, ale proszę cię, pozbieraj się chociaż trochę. — Jędrrek czuł się chyba niezręcznie z moimi obnażonymi emocjami. — Musisz przez to przejść

i będzie lepiej dla wszystkich, jeżeli zachowasz się jak zawodowiec. Dla niej też.

— Dla Kasi?! — poraziła mnie jego głupota. — Zupełnie cię pojechało. — Chętnie rozkwaślibym mu tę galicyjską gębę. — Wątpię, czy jestem zawodowcem. Chyba nigdy nim nie byłem.

W gabinecie prokuratora Droczyłaka — oprócz niego był tam odpowiedzialny za śledztwo inspektor Banaś z Komendy Głównej Policji, Jędrzek i ja — wzajemne prezentacje upłynęły jeszcze w miarę uprzejmie, z czasem kindersztuba znikła.

— Panowie — zaczął prokurator — przydzielono mnie już teraz do nadzorowania śledztwa, żebyście nie spieprzyli po drodze czegoś, co spowoduje, że zamiast wsadzić gościa na dwadzieścia pięć lat i zapomnieć, będziemy się potem wozić po wszystkich instancjach. Dodam jeszcze, że ponieważ chodzi o morderstwo, w dodatku na dziecku nie związanym z przestępczym marginesem, razem z inspektorem Banasiem otrzymaliśmy wszelkie priorytetowe uprawnienia zobowiązujące wszystkich, powtarzam, wszystkich obywateli naszego państwa do współpracy i pomocy. Nawet takie niejasne indywidua jak obecny tu również pan — udał, że zagląda w papiery — Zborowski.

Spojrzałem w jego bezbarwne oczka.

— Dlaczego założył pan, że nie będę chciał współpracować ani pomagać? Przecież współpracuję i pomagam policji od wielu lat. Jestem pewien, że obecni tu komisarz Kurek i nie znany mi osobiście inspektor Banaś wiedzą o mnie wystarczająco dużo, żeby oszczędzić panu zniechęcania mnie do swojej osoby już na tym etapie.

Nie wiem, czym mogłem sprawić mu przyjemność, ale Droczyłak uśmiechnął się jak kot do spyрки.

— Człowiek wie, gdzie się obudził... — zaczął i odchylił się w fotelu.

— Ale nie wie, gdzie zaśnie — dokończyłem znany cytat. — Pizda z pana, panie ładny. Widząc moją przeoraną cierpieniem

twarz wystarczyłoby, żeby złożył mi pan wyrazy współczucia i grzecznie poprosił o złożenie zeznań. Nie istniał żaden powód, żebym tego nie zrobił. Teraz może mnie pan co najwyżej cmoknąć w pompkę. Nie będę z panem rozmawiał o Kasi. — Od razu pożałowałem, że wypowiedziałem jej imię w tym pokoju.

Obydwojacy oficerowie, prawdziwi zawodowcy, patrzyli twardo w przestrzeń, jakby moja osoba w ogóle się nie liczyła. Nie rozumiałem tego, co się tu działo, coś jednak musiało być na rzeczy. Droczyłak bawił się ozdobnym sztyletem do otwierania listów.

— Gdzie pan był dzisiaj nocy?

— Pan pewnie z tych, co to uwielbiają słuchać własnego głosu. — Mój początkowy upór zamieniał się teraz w beton przeciwpancerne. — Nic panu nie powiem. Za jakiś czas pewnie będę musiał nauczyć się żyć bez niej, ale na pewno nie dzisiaj. Dzisiaj mogę spać w celi, bo na razie nie widzę w swoim życiu nic, na czym by mi zależało, i nawet gdyby się pan prokurator zesrał, to sójka i tak...

— Bartek! — Kurek nie wytrzymał.

— ...pozostanie sójką — dokończyłem.

— Przepraszam, panie prokuratorze. Bartek, wbrew temu co o sobie w tej chwili myślisz, jesteś zawodowcem i po raz trzeci dzisiaj proszę cię: weź się w garść i pozwól nam pracować.

— Czy pan jest przydzielony do śledztwa? — Droczyłak uwolnił mnie od wymyślania odpowiedzi na te pseudokoleżeńskie bzdury.

— Nie. — Kurek wytrzymał jego spojrzenie.

Wszyscy wiedzieliśmy, jakie będzie następne zdanie.

— To proszę wrócić do swoich obowiązków.

Jędrak bez wahania wstał i wyszedł z pokoju.

— Co pan robił dzisiaj w nocy? Dokładnie i po kolei.

Jeszcze raz przyjrzałem się prokuratorowi. Elegancki garnitur, modny, zbyt szeroki jak na mój gust krawat, chyba manikiur. Przyszło mi do głowy słowo „wyfiokowany”. Kiedy znudziło mu się moje milczenie, przycisnął jakiś guzik pod biurkiem

i zerkając na mój dowód osobisty, zaczął wypełniać formularz. Nie przerwał, kiedy otworzyły się drzwi i stanęło w nich dwóch mundurowych. Skończył zamaszystym podpisem.

— Aresztuję pana jako podejrzanego w sprawie o zamordowanie Katarzyny Szczęsnej.

ROZDZIAŁ VII

Ciężko było. Nie mogłem przestać myśleć o Kasi, a smród celi i szczęk zamków za plecami rodził na dodatek poczucie zniewolenia. Bałem się go, bałem się, że zacznę walić pięściami w drzwi i krzyczeć: wszystko wam powiem, tylko mnie wypuśćcie! Byłem zły na siebie, że nie dowiedziałem się, co się stało, że sam pozwoliłem się zamknąć. Ale też nie mogłem pozbyć się wrażenia, że jakkolwiek bym się zachował, i tak skończyłbym dzisiaj na Rakowieckiej. Że odbyło się jakieś przedstawienie, którego puenta została napisana, zanim jeszcze pojawiłem się w pokoju. Jędrzek powiedział, że to politycy. Jeżeli potrzebowali kozła ofiarnego, to na pewno ich wybór był znakomity: pies z kulawą nogą się za mną nie ujmie. Oto zobaczyłem kolejną pozycję dopisaną do rachunku za wolność.

Siwy facet, do którego mnie dokooptowali, próbował nawiązać rozmowę, lecz położyłem się na pryczy i odwróciłem do niego plecami. Mógł być i kanibalem, wyglądał jednak raczej na jakiegoś prezesa czy pośła. W dzisiejszych czasach to normalka.

Powoli tonąłem w samobójczym kleju obojętności na swój los. Byłem coraz słabszy, aż wreszcie naprawdę nie byłem w stanie dźwignąć żadnej z kończyn. W pamięci przewijały mi się więzienne stronice Piaseckiego, Hłaski, Dostojewskiego. Było coraz gorzej.

Mimo ciemności nie zasnąłem. Mózg zawiesił mi się, nie mogąc sobie poradzić z moim pragnieniem samounicestwienia, i co kilka sekund drukował zdanie: „Na skale czarnej spadającej w morze. Na skale czarnej spadającej w morze. Na skale czarnej spadającej w morze.”

Nagle te wyrazy pozbawione widzialnej materii zamieniły się w mojej głowie w obraz plafonu Kaplicy Sykstyńskiej, zobaczyłem ten słynny palec dotykający Adama. I przypomniało mi się zdanie jeszcze jednego pisarza, Bogdana Ruthy, którego bohater na pytanie, czy wierzy w Boga, odpowiedział: „Czasem, w nocy”. Pamiętałem, jak zachwyciły mnie te słowa, kiedy je czytałem dawno temu, jak je w sobie długo hołubiłem, dopóki nie rozmyły się w bólach i gorzale. I pomyślałem, że może dlatego tu się znalazłem, żebym zobaczył i uwierzył w Boga! Że w więzieniu właśnie ma się dokonać moje objawienie. A jak ja uwierzę w Boga, to Kasia zmartwychwstanie.

Usiadłem na pryczy — Kasia zmartwychwstanie!

Strasznie chciało mi się pić. Mimo ciemności pamiętałem, gdzie jest umywalka, i dowlókszy się do niej piłem długo i łapczywie. Potem znowu położyłem się i zacząłem szukać swojej drogi do nieba.

Kiedyś bardzo dużo czytałem. Filozofia mnie pasjonowała, wierzyłem, że jest w stanie udzielić mi odpowiedzi na większość dręczących mnie wątpliwości co do jakości mojego życia. Lecz na końcu każdej teorii, każdego przewodu była kropka, a ja zostawałem z pytaniem: no dobrze, ale co z tego? Jedynym wyjściem byłoby stworzenie własnego systemu filozoficznego, w którym sam mógłbym postawić kropkę. Spędzić jednak życie na tworzeniu niepewnej teorii po to tylko, żeby na końcu umrzeć? A w tym czasie wszyscy inni będą bzykali piękne kobiety, które mogłyby mnie kochać? Mój zapał filozoficzny zmarł równie amatorsko, jak się narodził. Teraz wyłuskiwałem z pamięci nazwiska i pojęcia, starałem się przypomnieć sobie tytuły i dyskursy.

Swego czasu uznałem, że jeżeli Bóg w ogóle istnieje, to jest we mnie, czy chcę tego, czy nie, jest mną. Że reszta to zaboron i zawracanie głowy. Nigdy nie zdołałem poczuć się bratem katolika tłukącego babę pomiędzy nieszporami a kółkiem różańcowym. Pociągała mnie gnoza, rozmowy z Panem Bogiem, lecz zawsze potykałem się o kwestię zbawienia. Jak mam teraz pozbyć się tych wszystkich zastrzeżeń, lecz nie stać się jednym z nowo narodzonych? Człowiek szukający iluminacji na siłę zawsze ląduje w głupocie lub okultyzmie. Jak odnaleźć Kryształ, który przywróci Kasi życie?...

Kiedy wyprowadzano mnie z celi do pokoju przesłuchań, każdego spodziewałbym się zobaczyć, tylko nie Gogi. Obok niej stał podobny wiekiem smarkacz w garniturze, z ogoloną na łyso głową.

— Bartek! — Przez chwilę wyglądała na wystraszoną. — Co się stało?

— Co chcesz usłyszeć? — Łzy od razu spłynęły mi po twarzy. Nie mogłem nad nimi zapanować. — Że nic? Że wszystko w porządku?...

Gogi nie rzucała się z powitaniem, w jej wzroku mieszały się lęk, troska i współczucie, jakbym przez noc zamienił się w różowego misia. Usiadłem na krześle, wytarłem twarz.

— Zabili niewinną dziewczynę tak piękną, że samym swoim istnieniem mogła zmienić świat na lepszy. Jakikolwiek był tego powód, dla mnie nigdy nie będzie na tyle ważny, by przepłaciła go życiem. Kiedy pieściłem cię, zamiast jej szukać, ona walczyła z zabójcą i nikt jej nie pomógł.

Widziałem, jak Gogi poczerwieniała. Jej kompan spojrzął na nią spod ściągniętych brwi. Mieli swoje sprawy, Kasia nic ich nie obchodziła. Mówiłem do ściany.

— Bartek, dlaczego odmówiłeś składania zeznań? — Starała się sprawiać wrażenie, że nic się nie wydało. — Przecież to nie ma z tobą nic wspólnego. Pewnie masz nawet alibi. Roz-

mawiała z wujkiem Jędrkiem i mówił, że coś się z tobą stało. Teraz widzę, co miał na myśli. O co chodzi?

— Gogi... — Miałem dosyć jej czystości, perfum, technokratycznej pewności siebie. — Zostaw mnie. Pilnuj swojej kariery. Nie znałaś jej i nic cię ona nie obchodzi, za to mnie... Jak stąd wyjdę, wcale nie będę szukał mordercy, tylko Boga. A jak go znajdę, będę błagał, żeby przywrócił jej życie.

Gogi wymieniła spojrzenia ze swoim podchujaszczym i usiadła ciężko na twardym krześle.

— Bartek, straszysz mnie, bo nie znam się na tym, absolutnie. Chcesz wylądować w psychiatryku? Po co? — Dalej nic nie rozumiała. — Ja ci w tym nie pomogę. Sprawa jest o morderstwo, w dodatku... nieważne, i dlatego wszystko, o czym dyskutowaliśmy wczoraj, jest nieaktualne. Nie muszę ci chyba tego tłumaczyć. To jest Paweł, szef mojego zespołu. — Paweł pokivał do mnie palcami dłoni, jakbym był trzylatkiem. — Przyšliśmy, żeby sprawdzić, czy mimo wszystko zechcesz z nami rozmawiać.

— Nic dla ciebie nie mam, Gogi.

— Przydalibyśmy ci się w kłopotach. Mamy mocne wejścia.

— Interesuje mnie tylko Kryształ, dzięki któremu Kasia zmartwychwstanie. Możesz mi go dać?

— Idź w cholere! — Gogi zerwała się i wyszła trzaskając drzwiami.

Paweł stał wciąż oparty plecami o ścianę. Chyba się śmiał.

Jeszcze tego samego dnia zabrali mnie na przesłuchanie. Tym razem inspektor Banaś był sam. ale nie omieszkałem zauważyć dwóch kamer w rogach sufitu i mikrofonu na stole. Policjant podał mi rękę na przywitanie, czym mnie niewątpliwie zaskoczył.

— To znaczy, że prokurator był ten zły, a pan będzie ten dobry?

— Powiedzmy, że pracujemy wedle innego algorytmu — uśmiechnął się.

— Niech mnie pan nie straszy. — Usiadłem na wskazanym krześle. — Wczoraj nie byłem pewien, czy pan w ogóle potrafi mówić, a dzisiaj od razu algorytmy? Jeszcze chwila i zamiast o zbrodni będziemy dyskutować o celach konstruowania teorii dedukcyjnych czy motywach przyjmowania aksjomatów. — Chyba zupełnie zatraciłem zdolność zjednywania sobie sympatii funkcjonariuszy prawa.

— Pan wie, że ma prawo zeznawać w obecności adwokata?

— Nie potrzebuję adwokata.

— Zaczynam powoli rozumieć, dlaczego tak różne osoby jak pani Skibińska czy komisarz Kurek dałyby się za pana pokrajać. — Wyraz jego twarzy jednoznacznie mówił, że on sam nie poświęciłby nawet złamanego paznokcia. — Pan uwodzi, czaruje. Trochę straceniec, trochę poeta, złote serce. Człowiek od razu chce się panem opiekować.

— Nie opisał pan jeszcze mojego wyrafinowanego poczucia humoru.

— O tym porozmawiamy, kiedy zostanie pan oczyszczony z zarzutów. Na razie zwracam się do pana z prośbą, aby był pan tak uprzejmy i opowiedział mi o swoim związku ze sprawą o zamordowanie Katarzyny Szczęsnej. — Czegoś się jednak wczoraj nauczył.

Nie chciało mi się już dłużej dowcipkować, więc sprawnie zrelacjonowałem mu niedzielę z Kasią spadającą z nieba i znikającą po biednej stronie ulicy Dąbrowskiego. Historia z upitą półnągą dziewczyną w autobusie szczerze go zainteresowała. Zadał sporo szczegółowych pytań, czym ułagodził wreszcie moje zawzięte ego. Epizod ze Śledziem zakończyłem oczywiście na jego pierwszym telefonie i moim chytrym odkryciu osoby Marciniaka. Patrząc inspektorowi prosto w oczy opisałem wściekłość i groźby bandyty, dodałem też swój niepokój o Kasię, którą wymienił z nazwiska.

— Ale nie wie pan, kto konkretnie do pana zadzwonił?

— Nie mam zielonego pojęcia — skłamałem.

Motywy spotkania z Jędrkiem były zupełnie jasne, więc reszta poszła już z górki. Dodałem jeszcze sugestię ojca Kasi, abym wstrzymał się z intensywnymi poszukiwaniami. Moje zeznanie, spójne i klarowne, można by umieścić w podręczniku oficera dochodzeniowego. Sprawa gangsterskich porachunków przy Nowogrodzkiej nie wypłynęła, bo i cóż ja mogłem mieć z nią wspólnego?

Banaś dosyć długo oglądał w myślach moje zderzenie z rodziną Szczęsnych.

— Czuję, że obydwaj będziemy jeszcze żalowali, że kiedykolwiek usłyszeliśmy to nazwisko — podsumował dosyć tajemniczo.

— Mam jedynie nadzieję, że już po tej samej stronie — spróbowałem ostrożnie poprzeć jego tok myślenia.

Następnego dnia dość długo nie byłem nikomu potrzebny, a upływające bezsensownie godziny, każda po trzy tysiące sześćset pojedynczych sekund, pogłębiały klaustrofobiczną potrzebę krzyku i rozbijania ścian gołymi rękami. Kompan w celi podjął kilka prób nawiązania kontaktu, lecz wszystkie utonęły w mojej rozmemlanej rozpacz. Toteż kiedy strażnik otworzył drzwi celi i wywołał moje nazwisko, byłem gotów całować go po rękach, a osobie, która zapragnęła mnie zobaczyć, obiecałem w duchu wdzięczność i posłuszeństwo. Jednakże już pierwszy rzut oka na garnitur od Zegny, okularki Cartiera i zadowolony z siebie wyraz twarzy ostudził mój zapał.

— Dzień dobry, moje nazwisko Ochorowicz — wyciągnął rękę. — Jestem prawnikiem zatrudnionym na co dzień przez Integral Computers. Pan Tomasz Szczęsny prosił mnie, abym zajął się pana aresztowaniem, ponieważ nie tylko nie wierzy w pańską winę, ale pragnie wykorzystać pańskie umiejętności w celu wyjaśnienia tragedii, która go spotkała.

„To są politycy”, przypomniały mi się słowa Kurka. Przez okno, chociaż zakratowane, widziałem niebo i słyszałem miejską krzątanicę. W drugą stronę prowadził korytarz do celi opalonej przez nawie.

— Obawiam się, że pan Szczęsny byłby bardzo rozczarowany moimi umiejętnościami — wymamrotałem, zamiast krzyknąć: „Jedźmy!” — Nie umiem tego panu, ani nawet sobie wytłumaczyć, ale zrodził się we mnie jakiś opór przeciwko marnotrawieniu czasu na szukanie winnego. Mnie to nic nie da. Ja chcę Kasi żywej.

Ochorowicz wyglądał, jakby ktoś go kopnął w przyrodzenie; wpatrywał się we mnie z rozdziawioną gębą. Chyba przestudował za mało kodeksów.

— Pan jest... niebezpieczny — pokręcił głową z niedowierzaniem. Nagle zaczął kiwać nią z aprobatą. — Jeszcze raz potwierdza się geniusz mojego szefa. Po zapoznaniu się ze sprawą wszyscy odradziliśmy mu angażowanie pana, nawet do podawania piłek. Mamy KG, mamy wielką agencję, a pan nie ma kompetencji do poruszania się w naszym świecie. Bez obrazy. Pan Szczęsny stwierdził, że właśnie dlatego, że nasza maszyna działa tak perfekcyjnie, nie jesteśmy już w stanie sprawdzić, które jej części są autentyczne, a które to podróby. Że przestaliśmy odróżniać dobrych od złych, bo wszystko działa. A ponieważ pana głównie to obchodzi, wejdzie pan jak piasek w tryby. Na krótko nastąpi katastrofa, ale w końcu podróby się wykruszą, a maszyna wróci do pracy oczyszczona i wspanialsza niż przedtem.

Teraz chyba ja rozdziawiłem gębę. W całym swoim pracowitym życiu nie widziałem jeszcze oblicza tak dumnego z siebie, tak spektakularnie pełnego samozachwytu. Nawet gdybym bardzo chciał, nie potrafiłbym mieć z tymi ludźmi cokolwiek wspólnego.

— Na czym pan jedzie? Amfetamina? Faj, chyba nie koka? — patrzyłem, jak znika blask z jego twarzy. — Jeżeli nie przewiduje pan już teraz alternatywy dla kariery poza Integral Com-

puters, to jest pan jeszcze jednym z tych młodych głupców, których pańska maszyna przemiele i wydali jak kał. Proszę mi wierzyć, że dla niej ma pan termin przydatności wypisany na czole. Niech pan go lepiej odczyta w lustrze.

— To znaczy, że nie chce pan dla nas pracować?

Mogłem równie dobrze mówić po chińsku.

— Nie, chłopcze. Ja waszą maszynę nazywam Babilonem. Sam wolę pozostać głosem wołającego na puszczy. Kiedy pogrzeb?

— Słucham?

— Co tak słabo panu dzisiaj idzie? Kiedy pogrzeb Kasi?

— W poniedziałek — zamachał rękami. Chyba rzeczywiście byłem dla niego za szybki. — Nie zmieniamy jeszcze tematu. Chce pan wyjść czy nie?

— Co dzisiaj jest? — zdałem sobie sprawę, że naprawdę nie wiem.

— Czwartek. Mogę...

— Nie chcę. Wątpię, czy ten prokurator wciągnie policję w jakieś szykany przeciwko mnie. Zwłaszcza jeżeli pański bóg zdecydował inaczej — jeszcze raz popatrzyłem tęsknie za okno. — Przeżyliśmy najazd szwedzki, przeżyjemy i sowiecki. Niech pan idzie i powie swojemu szefowi, że w życiu nie wstąpiłbym do klubu, który zaakceptowałby moją kandydaturę. Powinien zrozumieć.

— Niech pan nie będzie taki „a”, „e”, ja też zrozumiałem. Stary dowcip. I całkowicie się z panem zgadzam.

Widocznie należał do tych, którzy muszą mieć ostatnie słowo. Nie dzisiaj.

— To nie dowcip, to cytat — mruknąłem, kiedy stał już w otwartych drzwiach, przepuszczając mundurowego. — Pan oczywiście wie czyj?

— Nie mam zielonego pojęcia. — Był znowu sobą, jakby mój zły wpływ przestał działać wraz z otwarciem drzwi. — Ale jednego jestem pewien: pan mi nie powie.

Postał jednak chwilę, jakby chciał się przekonać, że się myli. Albo był po prostu ciekawy.

I znowu noc, i znowu koszmary, tym razem senne. Stałem w pałacowej komnacie tak ogromnej, że ledwo mogłem dostrzec szczegóły przeciwległej ściany. Obok mnie pojawiła się grupa aniołów, chociaż nie mieli skrzydeł — wyglądali jak dwór Franciszka Józefa. Jeden z nich (sam cesarz? arcyksiążę?) pokazał palcem w górę i powiedział, że jeżeli chcę wrócić z Kasią na ziemię, to muszę zdjąć ją własnoręcznie z gzymsu. Zadarłem głowę i zobaczyłem ją stojącą pod sufitem na wąskim kawałku ozdobnego muru: starała się utrzymać równowagę, przywierając mocno do ściany, ale nie wyglądało to dobrze. Ściana była gładka i miała co najmniej cztery metry wysokości. Chciałem powiedzieć coś brzydkiego aniołom, bo zdawało mi się, że skuteczniają sobie ze mnie podśmiejchujki, lecz Kasia chwiała się u góry, próbując zmusić swoje palce u nóg do mocniejszego uchwytu paska gzymsu. Ten oberanioł, niby zatroskany, przekazywał mi myśl, że nie mam zbyt dużo czasu, że albo się wspinam, albo Kasia spadnie. Jeszcze przez chwilę trwałem w rozpacz, że przecież żaden człowiek nie potrafi wejść po gładkiej ścianie, aż nagle stałem się jakby inną istotą. Żalność zniknęła, pojawiła się pewność, że potrafię, wiara, że nie ma dla mnie ściany dość wysokiej. Moje ręce stały się potężne i owłosione, zacząłem drzeć, zgrzytać zębami i toczyć z ust pianę. Padłem na ziemię w konwulsjach, lecz wkrótce się podniosłem i zacząłem z wolna posuwać w górę po ścianie. Dosięgnąłem gzymsu, chwyciłem Kasię i lewitując spłynęliśmy lekko na ziemię. Tu natychmiast straciłem przytomność.

Kiedy ją odzyskałem, leżałem na łożu w równie rozległej pałacowej sypialni. Daleko, przy toaletce, kierując się radami wysokiej kobiety w dziewiętnastowiecznej sukni, Kasia sporządzała dagyde, woskową figurkę. Słyszałem, jak pyta kobietę: „Co teraz?“, a ta tłumaczy jej, że musi dodać do wosku moje włosy,

ślinę, nitki z mojej pościeli i ręcznika. Kasia to wszystko miała na toaletce i sprawnie kształtowała z wosku małego człowieczka. Rozumiałem, że robi to po to, aby obudzić we mnie miłość, i chciałem zawołać ją, że nie trzeba, że kocham ją bardziej niż siebie samego, żeby przyszła tu do mnie. I zdałem sobie sprawę, że nie jestem w stanie wydobyć z siebie głosu ani wykonać żadnego gestu. Kasia odwróciła się w moją stronę, lecz kobieta uspokoiła ją, że śpię. Spojrzała też na mnie i już wiedziałem, że ona zna mój stan, że okłamuje Kasię i że na pewno stanie się ze mną coś strasznego. Usłyszałem, że wybierają się do kościoła, aby figurkę ochrzcić moim imieniem, że kobieta każe Kasi przemawiać do figurki tak, jakby zwracała się do mnie, jakby woskowa laleczka była żywą osobą. Przeszły koło łóżka, patrząc na mnie, i chociaż starałem się krzyczeć i rzucać, usłyszałem jedynie głos kobiety mówiący: „Widzisz? Śpi.”

Z bezsilności chyba znowu straciłem przytomność, bo kiedy ją odzyskałem, obydwie były już z powrotem. Zamiast toaletki w sypialni stał teraz ołtarz, bluźnierczy, z postacią anioła o pięknej twarzy, ze skrzydłami, rogami, diabelskimi kopytami, kobiecymi piersiami i potężnym prąciem. Na ołtarzu stał kielich, leżały księgi i sztylet, a na niedużym trójnogu palił się ogień. Kasia w jednej ręce trzymała figurkę, w drugiej dużą ozdobną szpilkę. Kobieta kazała Kasi kłuć figurkę w oczy, w serce, żołądek, krocze, a ta wykonywała wszystkie polecenia z ufnością i ciekawością. Każde uklucie odczuwałem w moim prawdziwym ciele, wyłem z bólu, przerażenia i bezsilności, bo oczywiście nic nie było słyhać. Kasia zadawała mi kolejne cierpienia, przypalała figurkę nad ogniem, czułem tak potworny ból, że wołałbym już umrzeć, byle tylko się skończył. Wreszcie położyła resztki wosku na złotym talerzyku i machając sztyletem krociła ją na miazgę. Eksplozja bólu była niewyobrażalna.

ROZDZIAŁ VIII

Kiedy Bartek odzyskał świadomość, ból trwał. Pałacowe komnaty zniknęły, zamieniły się w szpitalny entourage, w którym kręcili się zaafelowani ludzie. Dość długo miał wrażenie, że to ciąg dalszy poprzednich historii, aż wreszcie przyszedł moment ulgi: koszmar się skończył, właśnie się obudził. Zrodził oczywiście pytanie, co się stało, dlaczego leży w szpitalu i skąd ten ból.

— Mamy go! — usłyszał i nagle wszyscy ci ludzie spojrzeli na niego.

Poczuł palce pielęgniarki przylepiającej mu kable w okolicy serca. Stojący nad nim młody człowiek trzymał w rękach elektrody. Bartek chciał coś powiedzieć i zdał sobie sprawę, że na twarzy ma maskę, zdołał nawet poczuć chłód tlenu spływający do płuc. Jednakże ból w całym ciele nie ustawał. Uniósł rękę, sięgnął do maski. Młody człowiek, już bez elektrod w dłoniach, powstrzymał go.

— Lepiej nie.

Wyczuł upór, więc sam uchylił mu maskę.

— Strasznie boli — wycharczał Bartek.

— Gdzie pana boli? — lekarz pochylił się. — Może pan określić, co boli?

Bartek zaczął szukać swojego bólu, który nagle odpłynął jak ręką odjął, po prostu zniknął. Pokręcił głową, a lekarz opuścił mu maskę na twarz i zarządził jakiś zastrzyk. Bartek zasnął.

Obudził się jak nowo narodzony. Był całkowicie przytomny, nic go nie bolało. Zdjął maskę, zakręcił kroplówkę i wyjął igłę z wenflonu. Odczepił kable i w tym momencie przybiegła pielęgniarka, a za nią policjant.

— Co pan robi? Nie wolno panu wstawać! — próbowała wepchnąć go do łóżka.

Bartek stawiał opór.

— Czuję się dobrze, muszę iść do toalety.

— Ma pan tu wszystko — wyjęła kaczkę spod łóżka. — Nie może pan jeszcze chodzić.

— Chyba jednak mogę. — Bartek naparł na nią. Cofnęła się, więc wstał: czuł się świetnie. — Naprawdę chce się pani po mnie sprzątać? Przecież gdybym nie mógł chodzić, już bym leżał u pani stóp. Proszę mnie nie upokarzać.

— Co pan za bzdury wygaduje! — Jej zdecydowanie zelżało. Spojrzała na policjanta.

— Ja mu pomogę — zaoferował się.

W łazience Bartek domyślił się, skąd to dobre serce. Kiedy usiadł na kiblu w otwartej kabinie, policjant starannie zamknął drzwi od korytarza, uchylił okno i zapalił papierosa. Po kilku machach z przymkniętymi oczami wyciągnął paczkę w jego stronę. Bartek pokręcił głową. Dopiero w tej chwili zdał sobie sprawę, że ostatnio siedział w areszcie. Ten policjant pewnie go pilnuje.

— Gdzie my jesteśmy? Na Rakowieckiej? Na Wołoskiej? — Świadomość czasu wracała razem ze świadomością miejsca.

Policjant popatrzył na niego bez sympatii.

— Ja się z tobą kolegować nie będę — obejrzał żarzącego się papierosa. — Fajki to co innego. Jeszcze tego brakowało, żebyś mi coś wyciął. — Wrzucił niedopałek do kabiny obok i spuścił wodę.

Bartek pomyślał odruchowo, że gdyby chciał coś wyciąć, miał już pół tuzina okazji tylko w tej łazience.

— Niech pan śpi — radziła pielęgniarka układając go w łóżku. — Jest dwunasta w nocy. Rano przyjdzie lekarz i może pana puszczać — dodała dwuznacznie.

— Co mi się stało?

— Nie wiem. Przywieźli pana erką i ledwo, ledwo odratowali. Był pan już w zaświatach.

— To akurat wiem.

— Pamięta pan coś? — zaciękała się.

— Tak. Anioły z rogami, damskimi piersiami i wielkimi penisami.

— Jezus, Maria! — przeżegnała się. — Nie chcę pana straszyc — wyszeptwała pochylając się jeszcze niżej — ale to mi nie wygląda na niebo.

Bartek zamknął oczy. Cokolwiek ciekło z wiszącej torby, musiał to być niezły towar. Bo znowu zasnął bez majaków i bólu.

Obudzili go wcześniej, dając termometr do ręki. Widocznie uważali, że wie, gdzie go sobie wsadzić. Zaraz potem powtórzył z policjantem kiblową eskapadę, a po chwili zaczął się ruch jak w ulu. Przez otwarte drzwi zobaczył komisarza Kurka rozmawiającego z dwoma mundurowymi. Ten palący pożegnał się i poszedł.

— Co to było? — Jędrak przysunął sobie krzesło do łóżka.

— Ty mi powiedz. — Bartek właściwie do tej pory nie zastanowił się nad tym.

— Ja? — przesunął ręką po włosach. — To zależy, czyją wersję przyjmujemy. Minister opowiada, że krzyczałeś, rzucałeś się, nie dałeś się obudzić, a potem przestałeś oddychać.

— Minister?

— Twój kolega z celi. Nie pamiętasz go? Jak zapewniał w telewizji, że wszystko co robi to dla dobra pacjenta? Jesteś chyba jedynym chorym w tym kraju, któremu uratował życie. Skurczybyk reanimował cię aż do przyjazdu karetki. Pewnie

będzie cię teraz ciągał po sądach jako świadka swojej poczciwości.

— A co mówią lekarze?

— Lekarz. Nie chce się wypowiadać przed wynikami badań. To znaczy, że też nie ma zielonego pojęcia. Jedyne fakty, jakie masz w papierach, to zatrzymanie akcji serca. Jest jeszcze wersja prokuratora. Że nie udało ci się z psychiatrykiem, to próbujesz OIOM-u.

— Będzie mnie trzymał?

— Nie ma czasu podpisać zwolnienia. Banaś od razu chciał cię puścić. Jest sobota, więc lepiej do poniedziałku daj sobie na wstrzymanie. Zresztą wątpię, czy stąd dostałbyś dzisiaj wypiszę po takim przedstawieniu. Do celi już nie wrócisz, odbierzesz tylko swoje rzeczy.

— W poniedziałek ma być pogrzeb. — Bartkowi znowu zrobiło się smutno.

— To prawda. Będzie też manifestacja przeciwko przemocy. — Jędrzek przyjrzał mu się. — Nie mów, że się wybierasz. Po co ci to?

Bartek uznał, że nie warto odpowiadać.

— Oni są z Krakowa. W Warszawie będzie wielka msza i reszta, ale chować ją będą w Krakowie.

— Nie masz wrażenia, że coś kombinują? — w Bartku odezwał się zapomniany detektyw.

— To ci niespodzianka! — Jędrzek pokręcił głową, uśmiechając się sarkastycznie. — Oni to pół biedy. Ja cały czas nie tracę wiary, że dowiem się wreszcie, co ty kombinujesz.

— Od początku masz do mnie złe nastawienie. Dowiedz się więc, że był u mnie niejaki Ochorowicz.

— Nie znam człowieka.

— Prawnik Szczęsnego. Nie tylko chciał mnie wyciągnąć od ręki, ale tatuś proponuje mi robotę.

— Żartujesz!...

Jak na komisarza policji łatwo go było zaskoczyć.

— Absolutnie. — Bartkowi przypomniała się Gogi, schludna i pachnąca. — Uważają, że mogą im wyczyścić układ, wyłuskać kryminalne powiązania.

— No, no, piknie! To byś był taki trochę Herkules — Jędrak kpił bez przekonania. Chyba nie było mu do śmiechu. — Popatrz, już im cała policja nie wystarcza do zabawy. To co, mam lecieć po piwo?

Pomilczeli chwilę, ale góral musiał się upewnić.

— Zgodziłeś się?

— Nie.

Kiwnął głową. Bartek potraktował to jako komplement.

Msza u Świętego Michała wcale nie była taka wielka, jeżeli mierzyć ją liczbą zgromadzonych ludzi. Niby dużo, ale jak na polskie warunki bez żadnego rekordu. Młodzi, którzy stanowili większość tłumu, też nie potrafili się skupić na celu swojej obecności tutaj przez tak długi czas. Mimo czarnych opasek kręcili się w tę i z powrotem, dość szybko potworzyli na zewnątrz kościółka grupki, rozmawiali głośno i bez żenady, palili papierosy, co rusz wybuchali śmiechem. Jedyne co można było im zapisać na plus, to że były wakacje i część z nich na pewno porzuciła plaże i Mazury, aby tu przyjechać. Świadczyły też o tym ich stroje. Transparenty przeciwko przemocy stały pozwijane, dopiero później mieli przejść z nimi przez miasto.

Bartek przepchał się do przodu. Pierwszy raz w życiu uczestniczył w pogrzebie kogoś, na kim mu zależało, za kim tak bardzo tęsknił. Nie rozumiał takich pomysłów wcześniej, ale teraz sam pragnął, żeby chociaż na chwilę otworzono trumnę. Pragnął zobaczyć Kasię, mimo że rozum odrzucał sensowność wszelkiego „pożegnania”, podpowiadał o smrodzie, gniciu i robakach. Bolało jeszcze bardziej.

Kiedy rozpoznał Ochorowicza, zdał sobie sprawę, że nie ma Szczęsnego ani nikogo, kto wyglądałby na matkę. W jakiś sposób wzbudziło to jego sympatię. Ten ceremoniał miał niewiele

wspólnego z prawdziwym cierpieniem. Zwyczajowy gest, deklaracja, to wszystko. Dotrwał jednak do końca, poczekał, aż zaparkowali trumnę do samochodu. Ochorowicz podziękował wszystkim za przybycie, potem z dupcią ubraną jak pi-ejka wsiadł do saaba i pojechał za karawanem. Jacyś ludzie zaczęli pokrzykiwać na dzieciaki, kto i jak ma się ustawić, kto ma co trzymać. Śmiechów było coraz więcej. Bartek przeszedł skrzyżowanie z Dolną, za którym zaparkował swojego bristola. Wsiadł, zatrzasnął drzwi i aż go skręciło. O mało się nie porzygał. Ten świat był niewiarygodny.

Do Krakowa dojechał trzy godziny później, resztę czasu przesiedział na ławce pod cmentarną kaplicą. Czuł się jak w gorączce, od wczoraj nic nie jadł. Patrzył na zmieniające się grupy ludzi — kiedy jedni odpawali swoje modły w kaplicy, drudzy już zbierali się pod bramą, witali, ściskali, palili papierosy. Jedna trumna wyjeżdżała, drugą od razu wstawiali na mary. Przypominało to sprawnie działającą fabrykę.

Wreszcie przyjechał karawan z warszawską rejestracją. Wsiadło dwóch gości, przeszli do biura czy zakrystii. Bartek wstał z ławki, mięśnie miał napięte jak do skoku. Niewiele brakowało, a zaczęłyby sam otwierać trumnę. Zmusił organizm do najprostszego ćwiczenia relaksacyjnego, żeby chociaż fizyczne napięcie zelżało. Wciąż trwał jeszcze inny pogrzeb, w końcu przenieśli trumnę z Kasią do kaplicy. Po chwili podjechała czarna 760. Wśród wysiadających Bartek rozpoznał Szczęsnego, który ciągnął za ramię piękną kobietę. Musiała być na niezłych prochach, bo wyglądało na to, że chce stąd uciec. Szczęsny rozejrzał się, zobaczył Bartka, zmarszczył brwi. Pewnie znał jego twarz ze swoich teczek. Doszło jeszcze tylko kilka osób i wreszcie rozdzwoniły się ministranckie dzwonki rozpoczynające ceremonię. Bartek wszedł do środka.

I rzekł do nich Jezus: kto spożywa moje Ciało i pije Krew moją, ma życie wieczne, a Ja go wskreszę w dniu ostatecznym.

A oni stali jak te pizdy i oburzali się: jak on może nam dawać swoje ciało do spożycia? Ksiądz tłumaczył wiekopomne znaczenie słów Jezusa, jak to właśnie one dają gwarancję, że po śmierci spotkamy się wszyscy i będziemy żyli długo i szczęśliwie. Bartek buntował się przeciwko tej mało konkretnej tezie stawianej w sytuacji, w której szesnastoletnia dziewczyna nie ma już wyboru. Chciał podnieść dwa palce i zadać kapłanowi sporo pytań. Ten zaś kazał dalej, powoli i z uczuciem, jak to otoczeni coraz dostępniejszymi centrami handlowymi, coraz tańszymi promocjami, telewizją na stu pięćdziesięciu kanałach dwadzieścia cztery godziny na dobę i powszechnym uczuciem, że wszystko wolno, staliśmy się duchowymi anorektykami.

Bartek nie miał już wątpliwości: ksiądz mówił do niego. Zobaczył wyraźnie całe swoje życie, które stanowiło jaskrawe potwierdzenie racji zawartych w homilii. Co z tego, że na koszulce nosił portret Che, nie oglądał telewizji i starał się kupować tylko to, co konieczne?

Jesteście duchowymi anorektykami!

Taki świat i takiego siebie w nim proponował Kasi, bezzwrotny i dyszący pożądaniem. To jego świat ją zabił, chociaż sam udawał pustelnika i zwał winę na macherów od polityki. W czym lepsza była jego pogoń za miłością i seksem od ich wysiłku za pieniędzmi i seksem, za władzą i seksem?

Jesteśmy duchowymi anorektykami!

To nie żadni o n i zabili Kasię, to m y ją zabiliśmy.

Zrozpaczony wyszedł z kaplicy — nie chciał i nie mógł już słuchać, jak z łopat spada ziemia na drewniane pudło z niewinnym dzieckiem zamkniętym w środku. Pomylił drogę i zamiast wyjść z cmentarza, zagłębiał się pomiędzy groby, których zdawało się przybywać, coraz więcej i więcej, aż po horyzont nie widać było już nic innego. Musiał usiąść. Ktoś nadszedł i usiadł obok niego.

— Dlaczego nie chce pan szukać morderców mojej córki?

Bartek spojrział na Szczęsnego, który też przyglądał mu się, oceniając. Nawet nie wiedział, co mógłby mu odpowiedzieć.

— Pan ją kochał? — Szczęśny dociekał przyczyn jego stanu. — Zdawało mi się, że ledwo się poznaliście.

— Wystarczyło znaleźć się w pobliżu pańskiej córki, a cały świat się zmieniał.

— Skąd więc ta odmowa? — Szczęśny był rzeczowy, jakby tam, w kaplicy, stał przed ołtarzem pusty kufer. Ale Bartek wiedział, że nie ma prawa go oceniać. Już nie. — Przecież to pański zawód, nie zaprzeda je mi pan duszy.

— Tłumaczyłem już pańskiemu prawnikowi, że wcale nie jestem taki dobry, na jakiego wyglądam. W dodatku chyba pomieszało mi się w głowie. — Ta szczerłość miała zniechęcić Szczęśnego. — Ja teraz szukam możliwości bezpośredniego połączenia duszy z Bogiem. Wie pan, Trójca Święta, wpływ Ducha Świętego, te rzeczy. Już jestem poza szukaniem *eidos*, teraz interesuje mnie wewnętrzna przemiana i moc Boga, jeżeli słyszał pan o Bernardzie z Clairvaux. Muszę jak najprędzej znaleźć Jezusa, to może uda mi się załatwić Kasi zmartwychwstanie.

Szczęśny milczał, nie spuszczać z Bartka wzroku.

— Jest pan najbardziej irytującym człowiekiem, z jakim miałem do czynienia. Nie wierzę panu i w dodatku mam jakieś niemiłe przeczucie, że nie jesteśmy po tej samej stronie. Zaczynam tracić wiarę w słuszność swojego przekonania, że to właśnie pan potrafi dojść prawdy.

— Naoglądał się pan zbyt wiele filmów typu jeden przeciw wszystkim, a sam powinien wiedzieć, że w życiu radzicie sobie z takimi, którzy wejdą wam w drogę.

— Radzicie? Więc jednak... — Szczęśny był już zły. — Gdybym zagłębił się z panem w dyskusję, prawdopodobnie to mnie obwiniliby pan o śmierć córki.

— Oczywiście. — Teraz Bartek spojrział na niego. — Ona nie miała prawa znaleźć się w sytuacji, w jakiej się poznaliśmy. W jej szesnastoletnim życiu nie mogło być powodu do zabójstwa. Powodu nie związanego z panem. Wszystko zawsze zaczy-

na się od zadufanego, zakłamanego i aroganckiego złego ojca, a potem szuka się garbatego, co ma proste dzieci.

Szczęśny zmienił się na twarzy, poderwał i złapał Bartka za szyję. Bartek nie bronił się, nie skorzystał ze swojej znajomości aikido.

— Ty śmieciu! — Szczęśny zaczął go dusić. Opanował się jednak błyskawicznie, uderzył mocno wierzchami dłoni o jego ramiona, potem schował ręce do kieszeni spodni. — Dlaczego to ojciec musi być zły? Przecież pana porzuciła mamusia. Może powinien pan zacząć nie od szukania Jezusa, tylko mamusi? — złośliwił się stojąc nad Bartkiem. — Wiem, że takie pokręcone ofiary losu odrzucone przez matki potrafią być dobrymi kochankami. Dlatego mimo całej niestosowności sytuacji cieszę się, że moja córka nie dała się na to nabrać.

Z kaplicy zaczęli wychodzić ludzie, rozglądali się, na pewno go szukali.

— Powinien pan wrócić do żałobników. Głupoty pan wygaduje. — Bartek nagle uświadomił sobie, że być może właśnie traci okazję, aby się dowiedzieć, co tak naprawdę się wydarzyło. — Czy byłby pan tak uprzejmy i mimo wszystko powiedział mi, co się stało?

Szczęśny stanął i odwrócił się, lecz nie docenił Bartka grzeczności.

— Pan pewnie należy do tych donżuanów, co to przeczytali słownik filozoficzny tylko po to, żeby zawracać kobietom w głowach. Szuka pan Boga? Jako człowiek wykształcony coś panu powiem. Rozdzielanie ról moralnych nie przybliży pana do Samoistnego Aktu Istnienia. Proszę sobie sprawdzić akognitywizm. Jestem pewien, że tego słowa pan nie zna — oświadczył i odszedł do swoich obowiązków.

Bartek nie rozumiał go, nie rozumiał nawet, co chciał mu przekazać. Może jemu też się pomieszało w głowie na jego własny, nowobogacki sposób. Co do tego bezsensownego, ni-

komu niepotrzebnego słowa Szczęsny miał oczywiście rację — Bartek go nie znał.

Dotarł do samochodu i wystartował, przecinając chodnik i przewracając kosz na śmieci. Dwa razy przejechał na czerwonym świetle, raz zatrzymał się, lecz na przeciwnym pasie ruchu. Nie było w nim zgody na stanie w korkach. Nikt go nie zaczepiał ani nie gonił. Wyjeżdżał z Krakowa ryzykując życie swoje oraz przypadkowych staruszek, kobiet w ciąży i matek z dziećmi, gdyby akurat znalazły się na jego drodze. Pruł dalej, wyprzedzając na podwójnych ciągłych liniach, pod górkę i przy braku widoczności. Przez cały czas w jego głowie wybuchały aksjomaty księdza, słowa ewangelii zderzały się ze słowami kazania i zapętleły, domagając się logicznego wniosku. Walił pięściami w kierownicę, pragnął zmusić swój umysł do bezwzględnej wiary, doprowadzając się do coraz większej rozpacz.

Zjeżdżając ze wzgórza koło Miechowa, skrzyżowanie na Wolbrom i Raclawice przeciął mając na liczniku dwieście na godzinę i powtarzając na głos: „Kto spożywa Ciało moje, ten żyć będzie na wieki”.

W Chinach jakiś motyl zamachał skrzydłami i daleko na drodze przed Bartkiem pojawiła się jadąca w jego stronę wielka ciężarówka. Nagle wszystko stało się jasne i proste: jakkolwiek życie wieczne ma wyglądać, jedno jest pewne — dusze zmarłych nie kontaktują się z żywymi ludźmi. Jeżeli w ogóle chce sobie coś załatwić, musi przede wszystkim znaleźć się po tej samej stronie co Kasia. Bo jeżeli nie całkiem umieramy, to równie dobrze może paść na kolana przed Jezusem po śmierci zamiast w nie dającym mu już wytchnienia doczesnym życiu. Łzy spłynęły Bartkowi po twarzy na tę oczywistość, zaczął powtarzać „Jezu, ufam Tobie” i „Wierzę w jednego Boga”, odpiął pas i zjechał na lewą stronę drogi.

Znaleźli się akurat z ciężarówką na dwóch wzgórzach i rozpoczęli opadanie w dolinę z przeciwnych stron. Tamten kierow-

ca od razu się zorientował, że chyba szczęście go dzisiaj opuściło, przycisnął klakson i migał jak szalony długimi światłami. Trwało to zaledwie parę sekund. Chyba on zaczął najpierw hamować, aż w końcu zdecydował się również zjechać na przeciwny pas drogi, widząc w tym szansę ratunku. Bartek z prawą nogą wciśniętą w podłogę widział jedynie wrota do rajy. I nigdy nie zrozumiał, dlaczego tam nie dotarł.

Migające światła, wbrew intencjom kierowcy ciężarówki, zapraszały syrenim blaskiem do lepszego świata. Bartek widział już owady rozplaszczone na masce jego samochodu, lecz jakiś Rozum większy od jego własnego skrzył kierownicę — bristol przefrunął nad przydrożnym rowem i popruł przez złociste lany zbóż. Zwykły samochód pewnie dachowałby kilkakrotnie przy tej prędkości, robiąc z Bartka sardynkę, bristol jednak był w swoim żywiole, bo tak został skonstruowany przez najlepszych inżynierów z hrabstwa Avon. Może niekoniecznie jako żniwiarka, ale gwałtowne manewry samobójczego winowajcy robiły na nim akurat tyle wrażenia ile szczekające psy na jadącym konno angielskim dżentelmenie. Po prostu jechał dalej.

Kiedy w końcu zatrzymał się kierowany tym wyższym Rozumem, Bartkowi, opartemu o kierownicę i łykającemu łyż niepełnienia, nie było dane zbyt długo uważać się nad sobą. Przesieką wyciętą przez niego w zbożu nadbiegał kierowca ciężarówki. Szarpnął drzwiami i zajrzał do środka.

— Nic ci nie jest?! Nic ci nie jest? Sam jesteś? — pokrzykiwał cały roztrzęsiony.

Bartek pokręcił głową.

— Nic ci się nie stało? — dopytywał się kierowca. — Możesz wyjść? Jesteś cały?

Żeby mu sprawić przyjemność, Bartek wytoczył się z samochodu. Nogi miał jak z waty, ale udało mu się stanąć opierając o maskę.

— Na pewno jesteś cały? — Młody człowiek macał go, jakby chciał się upewnić. — Nic ci nie jest?

Bartek płakał, kiwając głową, starał się go odsunąć.

— No to teraz ci będzie! — kierowca walnął go pięścią w twarz. — Ty skurwysynu pierdolony! — bił go dalej. — Jak chcesz się zabić, to skocz z mostu, a nie morduj innych! — Bartek przewrócił się od jego uderzeń, lecz gość podniósł go i dalej łomotał pięściami. — Ja mam dwoje małych dzieci i cudzy samochód do pracy, ty bandyto pojebany! — Stracił w końcu siły i uderzał w niego jak sfrustrowana panienka. — Mam małe dzieci... — zakwilił, po czym usiadł na ziemi.

Bartek też się osunął i tak chlipali obaj ukryci w lipowym zbożu. W końcu kierowca podniósł się, przeczytał kilka razy na głos zabytkowe tablice bristola i odszedł. Długo trwało, zanim Bartek usłyszał jego odjeżdżającą ciężarówkę. Nikt więcej nim się nie zainteresował — widocznie do żniw było jeszcze trochę czasu.

Przez kilka godzin nie potrafił się zdobyć na żadne polecenie dla swojego ciała. Kiedy zrobiło się ciemno, wstał i ruszył przed siebie.

Polska to taki kraj, gdzie trudno obrócić się choćby w głębokim lesie, żeby od razu na kogoś nie wpaść. Bartek szedł przez pola, chaszcze, lasy i łąki, przekraczał rzeczki, drogi i tory kolejowe, omijał płoty i ogrodzenia i nie spotkał nikogo. Wędrował gdzieś u styku Małopolski ze Śląskiem, a może była to już ziemia świętokrzyska, w każdym razie kraj ludny, mlekiem i miodem płynący. Potykał się o bruzdy, zapadał w rowy, zaczepiał ubraniem o gałęzie i nie usłyszał swojego: „Quo vadis?”

Kiedy kolejny raz się przewrócił, zanim pozbiierał się, zdążył zauważyć, że piramida obok to nie dom ani stodoła, ale wielki stóg siana. Z literatury pamiętał, że podobno można w tym wygodnie spać. Wwiercił się więc do środka i rzeczywiście od razu usnął.

Obudził się chory. Wszystko go bolało, był gorący, spocony i tak słaby, że ledwo wywłókł się na zewnątrz. Strasznie chciał mu się pić. Postąpił chwilę na czworakach, w końcu podniósł się

i poszedł dalej. Znowu dał ubranie, niszczył buty, omijał wszystkie cywilizowane ułatwienia. Nie czuł upływającego dnia, nie liczył kilometrów. Wieczorem znalazł się w lesie, który przemierzał na przelaj do momentu, aż przestał widzieć cokolwiek. Wpadł do jakiejś dziury i tak został. Spał i majaczył, trzęsły nim dreszcze, było mu zimno i gorąco na przemian. Myśli już dawno przestały formułować się w jego głowie, jakby został pozbawiony języka. Zatracił instynkt głodu. Ale kiedy pokazało się słońce, wygrzebał się na powierzchnię i obolałe nogi znowu zaczęły nieść resztę ciała przymuszone jakimś upiornym rozkazem z nieznanego źródła.

Kraj coraz bardziej pustoszał, lasy trwały coraz dłużej. Przeciął jeszcze jedne tory kolejowe, jeszcze jedną drogę, gdzie o mało go nie rozjechał pędzący samochód z wyjącem klaksonem. Długo szedł lasem wzdłuż ogrodzenia z drutami kolczastymi, zza którego obserwowali go żołnierze. Kiedy wreszcie ogrodzenie się skończyło, znowu zaczęło się zmierzchać i w lesie było coraz ciemniej. Szedł dalej, aż las nagle skończył się i Bartek zobaczył przed sobą miasto: domy, ulice, samochody i ludzi poruszających się we wczesnym letnim wieczorze. Stał długo, bezmyślnie kontemplując to nowe doświadczenie.

Zaczął iść, tym razem stosując się do miejskich reguł. Trzymał się chodnika, przechodził po pasach czekając, aż będą wolne. Kilka osób obejrzało się za nim, kilka innych odsunęło od niego, kiedy stał przed przejściem dla pieszych. Jakaś kobieta aż się zatrzymała i usłyszała: „Aleś się zmarnował!” Jej troska nie dotarła do niego, szedł dalej. Coraz więcej samochodów jeździło po ulicach, coraz więcej reklamowych świateł chciało sprowadzić go z obranej drogi. Coraz więcej ludzi ustępowało mu z chodnika. Dotarł do dużego skrzyżowania i stanął na czerwonym świetle.

Światła wielokrotnie zmieniły się na zielone, śródmiejski szum płynnie modulował swoje natężenie, ludzie omijali go

rzucając — lub nie — niechętnie spojrzenia, a Bartek stał. Albo zakłęcie przestało działać, albo właśnie taki był jego cel. Nie odzyskał świadomości, po prostu tkwił tam nie zdając sobie sprawy, gdzie jest i co robi.

Toczący się z prędkością patrolową radiowóz minął go najpierw, potem cofnął się i zatrzymał. Policjant miał otwarte okno.

— Czego robisz z siebie słupa? Idź stąd, nie strasz ludzi.

Bartek nie odzyskał jeszcze mowy, więc słowa policjanta były jedynie częścią otaczającego go poszumu. Gadająca głowa też nie odróżniła się od migotliwego kalejdoskopu, który miał przed oczami.

— Nie dociera do ciebie? — policjant zaczynał się złościć. — Czegoś się naćpał? Idź stąd albo zaraz będziesz szczał pod zimnym szlauchem, tego chcesz?

Ponieważ Bartek nie reagował, policjant wysiadł z samochodu.

— No i dograłeś się, na dzisiaj masz już wikt i opierunek.

— Zostawcie go. — Dziewczynka pojawiła się znikąd. Była mała, drobna, wyglądała najwyżej na czternaście lat. I to tylko dzięki makijażowi i ubraniu, jakby zdjętym wprost z wojennego weterana. Na takie blondyneczki rodzice mówią przeważnie: „Mój aniołek”. Oczywiście błyszczały jej jak zapędzonemu w róg zwierzątku, a broniła się tylko bezczelnością i zachowaniem starego wyjadacza. — Nie macie już bandytów do łapania? — Ciągnęła Bartka za ramię.

— To czego się nie słucha? — W policjancie legła się obraza lekceważonego autorytetu. — Jak go Witwicki przeciągnie parę razy zimną wodą, to zaraz mu rura zmięknie. — Złapał go za drugie ramię.

— A ja powiem do gazety, jak każecie sobie robić laski, zanim nas wypuścicie. — Dziewczynka знаła swoją przewagę i nie bała się jej użyć.

Policjant oderwał od Bartka rękę, jakby go prąd kopnął.

— Zostaw — wychylił się ten drugi z samochodu. — Tylko wóz zaświnią.

Musieli zachować twarz. Dziewczynka pozwoliła im na to i wymiotło ich z piskiem opon.

— Skurwysyny — mówiła, prowadząc Bartka przed siebie. — Ale nie warto z nimi zadzierać. Potrzebujesz działki? Załatwię ci. Trochę za daleko poszedłeś, po Trzeciego Maja staramy się nie kręcić. Zaraz coś dostaniesz. Miałeś szczęście, że akurat nas wzięli do Polimpexu, to mogłam ci pomóc. Dziewczyny jeszcze zostały, ja już nie mogłam. Mówię ci, powinniśmy przestać brać, bo pozdychamy w tej pipidowie. Ty chyba też nie jesteś stąd, nie widziałam cię wcześniej... Zresztą gdzie jest napisane, że muszę wszystkich znać?... Ja to nawet chciałam iść na odtrucie, ale mi nie pozwolili. Tłumaczyłam, że jak przestanę ćpać, to przecież więcej zarobię, że będę lepiej wyglądać, będę miała więcej siły, ale oni się boją, że pewnie ich wtedy kopnę. Mówię ci, tu nie ma życia. Zabierają mi wszystkie pieniądze, tylko dają towar. Jak chciałam się dzielić po połowie, to tak dostałam, że myślałam, że już po mnie. Ale działkę ci załatwię, mam też fajnych kumpli. Mówię ci, powinniśmy przestać. O Jezu...

Obok nich zatrzymał się gwałtownie stary pomarańczowy civic pooblepiany bajerami. Zza kierownicy wyskoczył młody osiłek. Stał przed nimi i nagle popchnął dziewczynkę obiema rękami, aż się przewróciła. Ludzie przechodzili na drugą stronę ulicy.

— A gdzie ty się, kurwa, włóczysz z jakimiś ćpunami? — Stał nad nią. — Gdzie miałaś być?

— Przecież ich obsłużyłam, czego chcesz? — Dziewczynka nie próbowała wstać, zasłaniała się ramionami. — Wlewali we mnie gorzałę, wiesz, że nie mogę pić.

— Jak powiedziałem, że masz tam być, to masz być! — Zaczął ją kopać. W Bartku zdolność oceny sytuacji przebijała się z wolna przez skorupę szaleństwa, wciąż jednak nie potrafił reagować. — Nie będziesz mi tu pokazywać samowoli, bo cię,

kurwa, zabiję, rozumiesz? — Osilek nie przerywał kopania. Dziewczynka krzyczała, lecz świat nie przestawał się kręcić. Facet wreszcie skończył, rozejrzał się obojętnie, zapalił papierosa. Bartka zwyczajnie nie widział. — Dobra, daruję ci, bo jesteśmy umówieni. Weź się oporządź, dam ci działkę, to dojdiesz do siebie.

Dziewczynka gramoliła się z chodnika, pomagając sobie ścianą budynku. Poprawiła ubranie, facet obrócił ją i otrzepał z kurzu.

— No, zaraz będziesz jak nowa.

— Ja już nie mogę...

— Chodź, mam dobry towar.

Pociągnął ją i wprowadził do środka budynku, przed którym stali. Dopiero kiedy Bartek stracił dziewczynkę z oczu, uniósł głowę i po raz pierwszy od dwóch dni zaczął przesu kiwać wzrokiem środowisko. Widocznie nie mógł już bez niej żyć.

W budynku na wprost był pub mającący kolorowymi neonami w oknach i drzwiami w westernowym stylu. Wszedł do środka. Nie było wielu osób, nikt też na szczęście nie zwrócił na niego uwagi na tyle, żeby go pogonić. Dziewczynki nie zobaczył. Przeszedł przez salę i skierował się wprost do toalety. Drzwi były zamknięte.

— Zajęte! — usłyszał męski głos.

Jeszcze nie wiedział, jak bardzo jest osłabiony, więc pchnął drzwi nogą — ustąpiły. W środku dziewczynka siedziała na klozecie, alfons stał nad nią. Miała przewiązane kawałkiem gumy ramię, w zgięciu łokcia ciemniały sine plamy. Nie było jej stać nawet na zdziwienie, była obrazem rezygnacji. Facet trzymał w ręce strzykawkę — nawet laik by zauważył, że jest w niej za dużo towaru dla jednej osoby. Może wydzielał go swoim dziewczynom po centymetrze.

— Czy ty, kurwa, śmierci szukasz albo kalectwa, matole jeden? — wykrzywił się w złości.

Bartek zrobił z dwóch palców znak „V” i wsadził je w oczy osiłka. Kiedy ten wrzasnął i złapał się za twarz, drugą ręką wyjął mu strzykawkę. Popchnął jego głowę, aż uderzyła o ścianę, i przytrzymując wbił mu igłę w tętnicę szyjną, dopychając tłoczek do końca. Kiedy go puścił, facet wyglądał, jakby miał basedowa. Zamachał rękami i zaczął się osuwać na podłogę. Obserwowali go z dziewczynką, jak kopie powietrze i podskakuje chwilę na tyłku, wreszcie zastygł z oczami jak welonka. Dziewczynka uniosła głowę, przyjrzała się Bartkowi. Potem powoli rozplątała gumkę z ramienia i rzuciła ją obok alfonsa. Wstała, ale od razu przygięła się, łapiąc za brzuch, odczekała chwilę i ostrożnie wyprostowała. Przytrzymała się Bartka, jeszcze raz popatrzyła na zdechłego bandytę.

— No to będzie polka w Radomsku... — Przykucnęła, wciąż obejmując brzuch. — Wyjdź szybko i skręć w lewo, ja cię dogonię. Lepiej, żeby cię tu nie dorwali. — Ponieważ Bartek nie ruszał się, wstała. — Idź już, ja dam sobie radę, musisz zniknąć. — Wciąż stał, więc obróciła go do wyjścia i wypchnęła. — Idź, zaraz cię dogonię.

Bartek przeszedł przez pusty pub i popchnął kowbojskie drzwi. Skręcił w lewo, zrobił kilka kroków. Na przystanku stało parę osób, lecz ławka była wolna, więc usiadł. Od razu wokół niego zrobiło się luźno. Podjechał autobus, ludzie przemieszali się i został sam. Po chwili dziewczynka usiadła obok niego.

— To nawet dobry pomysł, podjedziemy kilka przystanków. — Zapaliła papierosa. Chowając paczkę do torebki zawahała się, potem wyjęła z niej gruby rulon zwiniętych banknotów. Pokazała go i od razu włożyła z powrotem. — I tak więcej mi ukradł. Ale przyda się nam na nowej drodze życia. Musimy stąd wiać.

W autobusie kierowca zaprotestował na widok Bartka, lecz dziewczynka naskoczyła na niego jak stara przekupka. Płaci za bilety i nie życzy sobie komentarzy. Jej trajkotka była nie do pobicia, toteż kierowca zrezygnował. Nie jechali długo, więcej czasu zajęło im dojście. Był to zniszczony budynek stojący po-

między szkieleciami porozbijanych szklarni, a wszystko dziko zarośnięte.

— Kiedyś to wreszcie luną pod jakiś hipermarket, ale na razie coś im nie pasuje. — Mówiła w autobusie, mówiła, kiedy szli, mówiła przez cały czas. — Nie ma dojazdu czy coś tam, zresztą wszystkie fabryki są z drugiej strony miasta i tamte markety wygrały już na starcie. — Prowadziła ścieżką pomiędzy badylami. — Fajne lokum, zobaczysz, i ludzie też fajni.

W innym momencie życia Bartek pewnie spierałby się z nią nad jakością tego przybytku lepiałego się od brudu i śmierdzącego ludzkimi odchodami. Ale kiedy tylko weszli, jego wzrok nie zatrzymał się na ludziach, do których dziewczynka teraz mówiła, lecz na zwalonych na zasyfionym stole, pootwieranych pudełkach po pizzy, bo w każdym walały się ponadgryzane kawałki. Zaczął w nich grzebać i połykał wszystko, co tylko dało się pogryźć. Znalazł jeszcze zimne frytki i kawałek ogórka, który spadł na podłogę. Rozgrzebywał dalej śmietnik na stole, kiedy podszedł do niego młody człowiek; podał mu bułkę i kawałek kielbasy. Widocznie Bartek stanowił atrakcję dnia, bo inni też zaczęli wyciągać ręce a to z jabłkiem, a to z torebką herbatników, dostał nawet prawdziwą kanapkę z masłem i pokrojonym pomidorem. Ktoś podał mu puszkę piwa, które wypił duszkiem, dostał więc jeszcze butelkę z wodą. Wrzucał to wszystko w siebie, aż zrobiło mu się niedobrze.

Po odkryciu głodu i pragnienia przyszła kolej na wycieńczenie. Zakreśliło mu się w głowie, nogi odmówiły posłuszeństwa. Ktoś przytrzymał go i posadził na krześle turystycznym. Dziewczynka zauważyła, że z jego dziurawych butów leci krew, i wspólnymi siłami udało im się je zdjąć. Bartek jeszcze ludzi nie rozróżniał, powoli jednak docierały do niego głosy, zaczynał rozumieć słowa. Dostał jakiejś trzęsawki, narzucili więc na niego cuchnący rygami koc. Słyszał, jak dziewczynka upiera się, że on potrzebuje działki, słyszał, jak ktoś wielokrotnie nazywa ją Śnieżką. Jeden z chłopaków wyjął ramiona Bartka spod koca

i pokazał jej, że nie są klute. Pytał go, co bierze, co chciałby dostać. Bartek nie umiał sformułować słów, chciał pomóc sobie rękami. Zrozumieli opacznie jego wyciągnięte kończyny, toteż po krótkiej naradzie jeden z fachowców zawiązał mu pasek i postukawszy w zgięcie łokcia palcami, wstrzyknął jakieś ciemne świństwo. Pokój natychmiast zniknął w oślepiającej cichej eksplozji, która po chwili złagodniała i utworzyła świetlisty korytarz. Bartek widział poruszające się w nim cienie, słyszał harmonijne zaśpiewy. Zniknęło jego cierpienie i wszelkie pragnienia, przestał odczuwać swój byt — ogarnął go stan błogości. Bo przede wszystkim zniknęła i przestała go boleć pamięć.

ROZDZIAŁ IX

Bartek nie wiedział, ile czasu dane mu było trwać w nirwanie — nie obrażając uczuć religijnych buddystów — bo kiedy wrócił do swojego aktualnego wcielenia, wokoło panowały ciemności i głucha cisza. Siedział zastanawiając się, gdzie jest. Przypomnił sobie dziewczynkę i squatterów oraz zastrzyk z narkotyku. Przypomnił sobie swoją wędrówkę. Przypomnił sobie wypadek i pomyślał o bristolu, czy jeszcze żyje i czy go kiedykolwiek zobaczy. Przypomnił sobie Kasię, a potem Gogi, Annę, Marzenę, Barbarę, Małgorzatę, Izę, Agatę, Lidię, Jen, Claire, Susan, Marianne, Pauline, Vivienne, Julię, Michelle, Catherine, Lindę, Isabelle, Conchitę, Elizabeth, Jo-Anne — przypomniał sobie słowa poety Paula Eluarda, że nic nie dorówna nieszczęściom kochania. Czy rzeczywiście na tym polegał cały problem? Że własna matka okazała się zwykłą suką, samolubną zdzirą, więc on ugania się za miłością? I stąd, że jest jej nieodrodnym synem, bierze się jego fatalizm dotyczący tego, co stało się Kasi? Nie ma jej? Przepadło, musi natychmiast szukać dalej. Co tak naprawdę się stało?

KIM TAK NAPRAWDĘ JEST?

A może jest już martwy, tylko jeszcze o tym nie wie? Ta myśl coraz odważniej opanowywała jego świadomość. Może to właśnie tak wygląda? Sumienie absurdalnie zawieszona w ciemności i pustce, a piekłem jest pamięć i wieczna tęsknota?

Na wprost niego otworzył się prostokąt światła i stanęła w nim przezroczysta postać: kościotrup w białej szacie. Zrobiła krok, osunęła się wzdłuż framugi i padła na podłogę. Ta śmierć chyba nie przyszła po niego.

Bartek powoli jednoczył się ze swoim ciałem, a o sukcesach informowały go nocyceptory: bolało go wszystko. Unosił zwi-sające ramiona i miał wrażenie, że łamią mu obojczyki i pękają w łokciach. Bał się ruszyć głową, ponieważ czuł, że zesztyn-niały kark może odmówić współpracy i trzaśnie z hukiem. O nogach lepiej nie mówić: stopy zapaliły się, kiedy zaszurał nimi po podłodze, w łydkach wybuchały petardy, a w mięśniach ud do głosu doszły mrówki, i to w ataku *grand mal*. Musiał na-tychmiast coś zrobić, żeby nie zwariować.

Siedział na czymś nisko przy ziemi. Nie miał dość siły, żeby poderwać dupę, więc zaryzykował i przechylił się na bok. Nie zrobił nawet dużo hałasu, lecz wszelkie próby odzyskania po-stawy wyprostowanej wyciskały mu łyzy z oczu. W końcu się powiodło. Rwęce, łupiące i zdawało się połamane nogi były tylko dodatkiem do palących żywym ogniem podeszew bosych stóp. Gdyby stanie bez ruchu dawało jakkolwiek ulgę, Bartek prawdopodobnie wrósłby tam w ziemię.

Po kilku latach dotarł do uchylonych drzwi i leżącej w nich postaci. O schylaniu się nie było mowy, więc uklęknął przy niej. Poznał ją — to była dziewczynka, która go tu przyprowadziła i koniecznie chciała podzielić się z nim działką heroiny. Ga-dająca maszyna, Miss Słowotok. Była przezroczyście blada, z czarnymi dziurami zamiast powiek i ust. Bartek miał niejakię pojęcie o pierwszej pomocy, zostało mu jednak wystarczająco rozumu, by wiedzieć, że dziewczynce potrzebny jest szpital, a nie usta-usta. Przyłożył dwa palce do jej szyi. Coś tam się działo, ale tak słabo, że równie dobrze mogły to być jego poboż-ne życzenia.

Była bardzo lekka, lecz dzisiaj dla Bartka dźwignięcie z klęku jej trzydziestu kilo to było spore wyzwanie. Korzysta-

jąc z futryny prostował się powoli. Postanowił nie krzyżeć, chociaż nie miał się kogo wstydzić. Kiedy stanął prosto, ze łzami w oczach zaczął nucić fanfary. Wyrzwał na zewnątrz. Miał przed sobą kilkaset metrów czarnej drogi. Nie wiedział, jak fachowo nazywa się materiał, którym ją wysypano, ale od razu zobaczył te miliony czekających na niego porowatych kamyczków.

Szedł, płakał i marzył o skrzydłach. Nie poddał się — w nagrodę dotarł do rozgrzanego do czerwoności asfaltu. Samochody mijaly go, wściekle trąbiąc, ale stanął na środku szosy i okręcił się, demonstrując wszystkim zapłakaną twarz i zwisającą na rękach dziewczynkę. Taka pieta z epoki telenowel o siermiężno-polskich klanach.

W jazgocie klaksonów mijali go, nawet nie zwalniając, ci wspaniali prawdziwi Polacy w swoich pędzących błyszczących maszynach. Na pewno co drugi miał przyklepione do deski rozdzielczej zdjęcie Papieża. Obok krzyżyka. Wreszcie z piskiem opon zatrzymał się mały fiat. Takie już było dzisiaj jego szczęście. Wskoczyła z niego kobieta, bez zbędnych pytań obiegła samochód i otworzyła drzwi od strony pasażera. Chciała odchylić siedzenie, lecz Bartek posadził małą z przodu, a sam przeszedł na drugą stronę i wsunął się za fotel kierowcy.

— Co się stało? — dopiero jadąc zapytała kobieta.

Spodobała mu się od pierwszego wejrzenia. Po trzydziestce, szczupła, o ładnej twarzy w oprawie spiętych do góry, ciemnych włosów.

— Jest narkomanką, chyba przedawkowała. Nawet nie wiem, czy żyje.

Kobieta pottrzymała przez chwilę małą za przegub.

— Żyje. — Obejrzała się na niego. — A co z panem?

— Chyba też żyję. Proszę nie zwracać na mnie uwagi. Domyślałam się, że wie pani, gdzie jest szpital?

— Jadę tam do pracy. Jestem pielęgniarką — wciąż zerkała do tyłu. — Nie wygląda pan najlepiej.

— Proszę mi wierzyć, że czuję się jeszcze gorzej, niż wyglądałam. Ale dam sobie radę. Ratujcie tę małą. Od razu zeznaję, że nic o niej nie wiem, ani co brała, ani... — Przypomniał sobie nagle. — Została pobita i skopana. Chyba wczoraj.

— Szpital zawiadomi policję — zauważyła, być może ostrzegawczo.

— Nie szkodzi — dotknął kieszeni spodni. Portfel był na miejscu. — Mam dokumenty i dobrą opinię w miejscu pracy.

— Pan nie jest stąd?

— Nie jestem. Przechodziłem tylko... — zamknął oczy.

Po kilku minutach jazdy zatrzymała samochód, wysiadła, odchyliła siedzenie.

— Da pan radę wysiąść? Pomoże mi pan?

Bartek wyczołgał się i wyprostował. Budynek wcale nie wyglądał na szpital.

— Co pani wyprawia? To jakiś bazar!

— Proszę przestać wydziwiać i pomóc mi. — Przytrzymała małą, która chciała wypaść na chodnik. — Powiedzmy, że OIOM jest... z tyłu sklepu.

— Przesadzacie, naprawdę. — Dźwignął dziewczynkę, jego bose stopy natychmiast przypomniały o swoim istnieniu. Wyszli do budynku i minawszy kilka straganów dotarli po schodkach do pomieszczenia, które przynajmniej mogło udawać szpital. Wreszcie Bartek mógł położyć małą na łóżku. Zleciało się sporo osób, niektóre coś robiły, inne po prostu zaspokajały ciekawość. Lekarz, któremu właścicielka malucha klarowała sytuację, nawet nie usiłował kryć niechęci, w końcu zaczął wydawać polecenia. Samarytanka zaczęła gonić koleżanki z pokoju, wzięła Bartka za ramię i wyprowadziła na korytarz.

— Panu też trzeba pomóc — spojrzała w dół. — Chodźmy, opatrzę pana.

— Nic mi nie jest. — Bartek przysiadł na parapecie. — Ten doktor nie wyglądał na przekonanego. Może powinna pani tam wrócić.

— On ma taki styl, ale to dobry lekarz, uratuje ją, jeżeli tylko będzie to możliwe. A pan niech skończy z odgrywaniem twardziela i pozwoli obejrzeć swoje stopy. — Jej głos wydał mu się oschły i wojujący. — Chce pan stąpać jak baletnica przez resztę życia?

Wygrała. Obraz siebie jako baleriny w białej spódniczce pomiędzy podobnymi łabędzicami nie pozwolił mu na dalszy opór. Bartek zaśmiał się i przeszli do następnego pokoju.

— Jak pani na imię?

— Bożena. — Narzuciła biały fartuch na sukienkę. — Tyłko błagam, proszę nie mówić, że chciałby pan, żebym była pańską dziewczyną. Proszę się położyć, będzie mi wygodniej pracować.

— Jesteś pełna niespodzianek, Bożeno. — Zaskoczony jej wystąpieniem ułożył się na leżance. — Ja mam na imię Bartek i tylko dlatego, że masz pod ręką ostre metalowe narzędzia, nie powiem ci: popatrz w lustro, co odrzekłbym w normalnych warunkach na tak agresywne odrzucenie. Co ja ci zrobiłem?

Nie odpowiedziała. Unosiła jego nogi po kolei, oglądając je uważnie.

— Będzie bolało — stwierdziła. Na szczęście bez satysfakcji. Obmacała mu jeszcze kończyny, wspólnym wysiłkiem zdjęła resztki koszuli. — Przydałby ci się prysznic, bez dwóch zdań.

— To znaczy, że śmierdę? Nie krępuj się, przeżyję. A czy w takim razie nie mógłbym skorzystać z prysznicza w szpitalu? Zanim opatrzysz mi nogi? Potem będzie mi trudno.

— To nie schronisko, zresztą wątpię, czy takowego potrzebujesz. Zadzwon do domu, niech ci przywiozą kaptcie i koszulę.

Nalała do miski ciepłej wody, wysypała do niej jakiś proszek, tabletkę, wlała kieliszek płynu i dodała kilka kropel pipetką. Bartek pomyślał, że strasznie ciężko jest się z nią dogadać.

— Bożena, nie złość się na mnie. Nie chcę, żebyś została moją dziewczyną. — Cholera wie, czy mówił to, co powinien, czy wręcz odwrotnie.

— Usiądź na krześle. — Przysunęła je blisko kozetki, pomogła mu wstać, chociaż nie było to potrzebne. — Wymocz najpierw nogi, potem je oczyszczę i opatrzę. Muszą być zabandażowane. Jeżeli nie chcesz leżeć, potrzebne ci będą miękkie pełne buty, najlepiej za duże adidasy.

— Z tym akurat nie powinno być problemu. Obok sali operacyjnej widziałem dobrze zaopatrzone stoisko.

Jego dowcip nie robił na niej żadnego wrażenia.

— Masz komórkę czy chcesz pożyczyć? — stała już w drzwiach, a on siedział jak ck wojak z nogami w miednicy.

— Nie mam komórki i nie chcę pożyczyć. Mam kartę i chcę cię prosić, żebyś wybrała dla mnie z bankomatu trochę pieniędzy. Potem poproszę cię o kupienie tych adidasów. Jeżeli mają być za duże, to proszę o numer 47.

— Nie chcesz zadzwonić? Jasne, stara żona już ci się znużyła. Jestem pewna, że szybko znajdziesz młodszą.

— Bożeno, straszysz mnie — nie żartował. — To mi przypomina „Misery”.

Nie podjęła tematu i wyszła, a Bartek zastanawiał się, czy są gdzieś jeszcze na tej ziemi normalni ludzie. Co stanie się z naszą rasą, jeżeli już teraz każdy jest tak pomyłony? Dzisiaj Pan Bóg nie powinien szukać dziesięciu sprawiedliwych przed spuszczeniem na nas swojego ognia, ale dziesięciu normalnych. Może to poprawiłoby kondycję moralną społeczeństwa? „Znajdźcie mi dziesięciu normalnych, a nie dokonam zniszczenia przez wzgląd na nich.” Drzwi otworzyły się i weszła kobieta w białym fartuchu.

— Co pan tu robi?

Była na pewno warta oszczędzenia przez gniew Boży.

— Odpoczywam po przejściach. — Przyglądali się sobie bez spuszczenia oczu. Fajni ludzie zawsze się rozpoznają. — Pani Bożena kazała mi nie ruszać się stąd.

— A co się panu stało?

Podeszła bliżej i wzięła go za rękę. Oglądała brudne pokaleczone dłonie, czarne palce z połamanymi paznokciami. Zanim

Bartek zdążył zareagować, odciągnęła mu powieki i zajrzała do oczu. Obmacała też głowę.

— Nic mi nie jest oprócz pokaleczonych stóp. Gdyby pani koleżanka nie nazwała mnie baleriną, nie zawracałbym wam w ogóle głowy.

— Coś tam by się znalazło. — Już mierzyła mu ciśnienie. — Bożena? Ona nie jest niczyją koleżanką. Pan coś zażywa? Nie wygląda pan na narkomana.

— Wreszcie ktoś poznał się na mnie.

— A, to pan znalazł tę małą? — Osluchiwała jego serce. — Nie jest z nią dobrze. Powinni ją odesłać erką do Łodzi, ale tu nikt nie podejmie takiej decyzji. Więcej teraz księgowych niż lekarzy.

Bartek przyglądał się jej z ciekawością. Cienki fartuch nie radził sobie z wielgachnymi piersiami, za to zachwalał rudymenty talii i zgrabne nogi kumulujące się w tak pięknych pośladkach, że można by dla nich zdobywać Troję. Koło czterdziestki, inteligentna, szczęśliwa, a nie udająca szczęście. Rzadki okaz.

— Jak pani to robi? — zaryzykował pytanie.

— Co robię? — nie zdziwiła się, uśmiechnęła.

— Pani jest szczęśliwa — oskarżył ją.

— Oczywiście! — roześmiała się. — A pan nie jest?

— Chyba jeszcze niedawno byłem. — Wydało mu się to tak odległe jak w zeszłym wieku.

— Przede wszystkim proszę się doprowadzić do porządku. Od razu lepiej się pan poczuje. — Otworzyła białą szafkę, wyjęła torebkę i podała mu klucze. — Zapamięta pan adres? Rabinowicza osiemnaście. — Dołożyła dwadzieścia złotych. — To na taksówkę, stoją pod szpitalem. Ja wrócę wieczorem, proszę coś zjeść, odpocząć.

Bartek trzymał klucze z pieniędzmi w wyciągniętej ręce, a minę miał taką, że kobieta jeszcze raz roześmiała się i zamknęła jego dłoń.

— Bożena jest świetną pielęgniarką — wesoły chochlik zatańczył w jej oczach. — Ale lepiej niech pan jej o tym nie mówi.

— Właśnie uratowała pani ludzkość przed gniewem Bożym.

— To chyba dobrze, prawda?

W drzwiach minęły się z Bożeną, powiedziały sobie cześć. Bartek ledwo zdołał schować klucze i banknot do kieszeni w spodniach. Wszedł też policjant. Bożena rozpakowała okropne podróby reeboka i kolorowy podkoszulek.

— Kosztują trzydzieści złotych, mam nadzieję, że stać cię. Zapłacisz, jak wybierzesz pieniądze z bankomatu.

— A jak ucieknę?

— To ja zapłacę.

Ona chyba w ogóle nie знаła się na żartach.

— Starszy aspirant Maślanko — wkroczył przedstawiciel władzy. — To pan znalazł tę narkomankę?

— Tak. Ale nie znam jej, nie wiem nawet, jak się nazywa.

— No, tyle to akurat my wiemy. — Policjant przysunął sobie krzesło, otworzył notes. — Ma pan jakieś dokumenty?

— Mam. — Bartek sięgnął do kieszeni po portfel. — Ale w nagrodę niech mi pan powie, jak ona się nazywa. To chyba nie tajemnica? — podał mu prawo jazdy.

— Nie, dlaczego? — Maślanko zmarszczył brwi. Chyba nie znalazłby się w wybranej dziesiątce. Na pewno pasował do Bożeny. — Zuzanna Skoczyńska, lat piętnaście.

— Zuzanna?... Zuza?... — Bartek odczuł niemal fizycznie ukłucie zaskoczenia, które szybko zgęstniało w smutek: tym imieniem przecież przedstawiła się Kasia, zanim odkrył, kim jest naprawdę.

— Tak — policjant nastroszył się jeszcze bardziej. — To w końcu zna ją pan?

— Nie znam — zrobiło mu się dziwnie, jakby miał zemdleć.

— Chodź, połóż się. — Bożena podtrzymywała go, kiedy przenosił się na leżankę. — Opatrzę cię przez ten czas.

Starszy aspirant Maślanko powtarzał na głos jego personalia, które przepisywał do notesu.

— No to co tam się wydarzyło?

— Sam nie wiem, od czego zacząć... — Bartek poczuł napływ emocji sprzed wypadku, z pogrzebu, więzienia. Znowu poraziła go bezradność, brak przywracającego życie Kryształu. — Może opowiem tak: szedłem drogą, pani Bożena powie panu którą, a naprzeciwko szła ta dziewczynka. Na moich oczach zemdlała, podniosłem ją, a pani Bożena zatrzymała się i przywiozła nas do szpitala. To wszystko.

— A skąd pan się wziął na tej drodze w takim stanie, na bosaka?

— Nie wiem — odparł po chwili milczenia. Bo cóż mógł powiedzieć?

— Ale nie przybył pan do nas z Atlantydy?

Bartek zeszywniał: ogarnął go dziwny stan, jakby zamarzał od kończyn w górę. Potem poderwał się i usiadł.

— Czy pan, kurwa jego w dupę jebana mać, oszalał? Dlaczego z Atlantydy?

Policjant podniósł się z krzesła i cofnął o krok. Odłożył notes, a zamiast niego podniósł radio.

— Niech pan zostanie na tej leżance, oszczędzi pan wszystkim kłopotów.

— Dlaczego z Atlantydy? — mowa ciała Bartka była jedną wielką groźbą.

— Ta prostytutka opowiada, że pochodzi z Atlantydy. — Bożena aż wyciągnęła ręce, żeby rozładować napięcie. — Dokładnie, że jest królowną z Atlantydy.

Tego było już za wiele. Najpierw kula wody stanęła Bartkowi w gardle, potem wypełniła mu resztę pustej głowy. Bożena i Maślanko patrzyli na niego z niepokojem. Bartek położył się i odwrócił do nich plecami. Cokolwiek sobie myśleli, nie

dzwonili do wariatkowa, nie zadreżczali go pytaniami. Coś tam szeptali, ale zostawili go w spokoju. Kiedy mógł już mówić, poprosił Bożenę, aby skończyła opatrywać mu stopy. Odwrócił się do policjanta.

— Niech pan zadzwoni do komisarza Andrzeja Kurka z komendy stołecznej w Warszawie. To mój kolega, więc niech pan go nie straszy. On panu powie o mnie wszystko, co pan chce wiedzieć.

ROZDZIAŁ X

Bożena pomogła Bartkowi naciągnąć podróby na obandażowane stopy.

— Spróbuj, jak ci się będzie chodzić — wciąż go podtrzymywała. — Zrobiłam ci takie onucki: jak najmniej bandaża.

Chodziło mu się śmiesznie, ale — o dziwo — prawie zupełnie bez bólu!

— Jesteś czarownicą — pochwalił ją zaskoczony.

Policjant uwierzył mu na słowo, że nie wyjedzie, dopóki nie wyjaśni się sprawa królowy z Atlantydy. Może pomogło mu w tym prawo jazdy Bartka, które zatrzymał.

— A tak na marginesie — poprosił Bartek spacerując pod okiem Bożeny — jak już będzie mi pan zakładał teczkę, może dowie się pan, co się dzieje z samochodem marki Bristol na zabytkowych tablicach, który zostawiłem w polu przy drodze numer siedem, Kraków-Warszawa, gdzieś w okolicach Wodzisławia.

Policjant notował wszystko skrzątnie.

— Naprawdę przyszedłeś do nas na piechotę? — Bożena wreszcie ukazała ludzkie oblicze. Bartek zauważył, że ta odrobinka zwykłej ciekawości od razu dodała jej urody i młodzieńczego wdzięku.

— Nie pamiętam wszystkiego, ale chyba tak — uśmiechnął się.

— To był wypadek? — policjant wyciągał wnioski po swojemu.

— Niezupełnie. Wyleciałem z szosy z powodu zbyt dużej prędkości.

Przyjęli to do wiadomości. Bożena została gdzieś wezwana, Bartek poczłapał z policjantem za plecami do OIOM-u. Po jakimś czasie wyszedł do nich ten mało sympatyczny lekarz.

— Nic wam teraz nie powiem. Jest nieprzytomna i nie wiem, czy się obudzi. A może jutro będzie już sama oddychać? Nic więcej nie potrafię dla niej w tej chwili zrobić. — Odwrócił się, by odejść.

— Czy gdybym był bogaty — zawołał za nim Bartek — mógłbym jej jakoś pomóc?

Lekarz spojrział na niego z niesmakiem.

— Tak. Niech pan dokończy budowę nowego szpitala.

— Miałem na myśli dzisiaj. Może należałoby ją przewieźć do Łodzi?

— Może. Ale gdyby zapytał pan najpierw o zdanie lekarza, odpowiedziałbym: lepiej jej nie ruszać. Oczywiście zawsze może pan zasięgnąć drugiej opinii — skrzywił się złośliwie i odszedł.

Policjant wyszedł razem z Bartkiem na zewnątrz, podeszli do stojącej taksówki.

— Jeżeli pana stać, to proponuję hotel w zamczku. Spodoba się panu.

— Dam sobie radę. — Bartek umieścił ciało na tylnym siedzeniu samochodu. — Niech pan nie zgubi mojego prawka.

Maślanko nie odchodził, więc Bartek spytał taksówkarza o bankomat.

— Jest po drugiej stronie ulicy — kierowca wyciągnął rękę. — W urzędzie miasta.

— Podjedźmy tam.

— A potem?

— Zobaczymy.

— Klient nasz pan — ucieszył się nie wiedzieć czemu taksówkarz. Pożegnali się z policjantem jak starzy kumple.

Bartek wyjął z bankomatu tysiąc złotych, oddał pieniądze za buty, skarpety i podkoszulek, potem objechał taksówką kilka sklepów. Kupił prawdziwe reeboki, bokserki Schiessera, spodnie i koszulę Levi'sa. Z kosmetyków poprzestał na szczoteczce do zębów, nożykach i piance do golenia. Zobaczył postój, więc pod pretekstem obiadu w restauracji naprzeciwko zwolnił taksiarza. Studiując menu wywieszane w oknie poczekał, aż odjedzie. Wsiadł do kolejnej taksówki i kazał zawieźć się na Rabinowicza. Kobiety, która może uratować ludzkość przed gniewem Bożym, nie wolno lekceważyć.

Było to osiedle domków jednorodzinnych tak zwyczajnych, że już bardziej zwyczajne być nie mogły. Na budynku z numerem osiemnastym wisiały dwie tabliczki: Jerzy Stępień lekarz psychiatra przyjmuje i Halina Stępień lekarz urolog, też przyjmuje. Dopasował klucze do furtki i drzwi wejściowych. W środku widać ktoś chciał zrobić z tego artystyczne gniazdko, ale chyba w którymś momencie zdudziło mu się albo zabrakło wolnego czasu. Jeden dziewiętnastowieczny pejzaż, dwa antyki, mały pers, zdjęcie Piłsudskiego z 1921 roku.

W łazience Bartek pozdejmował metki z nowych rzeczy, rozebrał się ze starych ciuchów. Rzeczywiście śmierdziały. Napuścił wody do wanny, wlał sporo bąbelków. Wsunął się siedzeniem do kąpieli, stopy zatrzymując w górze, na brzegach wanny. W takim rozkroku poddał się błogości istnienia, ale nie mógł też przestać myśleć o dziewczynce, dla której przeszedł piechotą sto dwadzieścia kilometrów.

Wypucował się, przebrał. Kiedy rozczesał mokre włosy i skończył się golić, ze zdziwieniem obejrzał w lustrze swoją twarz: niby ta sama, a coś nie tak. Zestarzał się? Przybyło mu zmarszczek? Opalił się? Wyszlachetniał? Nie umiał tego sprecyzować. Otworzył drzwi na taras, żeby jednak nie robić sensacji, wciągnął leżak i usiadł na nim w pokoju, twarzą do słoneczka.

Znowu było mu dobrze i znowu królowna z Atlantydy siała zamęt w jego myślach.

Obudził się z uczuciem, że gra główną rolę w koszmarze, którego akcji nie pamięta. Naprzeciwko siedziała w fotelu doktor Halina Stępień, która przyjmuje.

— Skąd ty się tu wzięłaś? — Bez białego fartucha traciła trochę ze swej perwersyjnej atrakcyjności. W dalszym ciągu jednak nie wyglądała na mieszkankę przysiółka, w którym nie ma gdzie pokazywać brylantowej kolii.

— A jak ty tu wylądowałaś? — Bartek musiał odchrząknąć, więc sięgnęła do torebki i podała mu drażetkę gumy do żucia. Nie wróciła już na fotel, tylko klękła przy leżaku.

— A co, chcesz mnie stąd zabrać? — Muskała ustami jego wargi, głaskała skronie i policzki, wreszcie wsunęła język między jego zęby. A Bartek w tym momencie odkrył jej tajemnicę: ona wciąż była nastolatką! Przecież ostatni raz całował dziewczynę żującą gumę chyba jeszcze w szkole!

Przewrócił ją na podłogę, podniósł bluzkę i wyluskał ze stanika jej wielkie piersi. Kochali się jak wariaci, jej **młodość** była widocznie zaraźliwa. Gdy tracił siły, przewracał się na plecy, a ona walczyła wtedy dalej, za niego i za siebie. Bartek pomyślał o jej mężu i o tym, że sam ożeniłby się z nią jeszcze dzisiaj, nawet gdyby miała go zdradzać. Byłby jej wdzięczny za każdą noc, którą zechciałaby z nim spędzić, a potem mógłby czekać na nią, stawiając pasjanse.

Co takiego zrobiliśmy kobietom, myślał szukając jej wdzięcznych, choć przekornie zawstydzonych oczu, że już prawie żadna nie chce się dzisiaj kochać bez pytania o zawód, pensję i czy jesteś żonaty? Dlaczego społeczne przyzwolenie ma rozpaczliwa, beznadziejna w swej samotności masturbacja — takie jest życie! — a zapytanie na ulicy obcego faceta: „Przepraszam, czy chciałby pan kochać się ze mną?” jest całkowicie i absolutnie poza wyobrazeniem bez względu na wiek. płeć i wykształcenie?

Kochali się na cześć zachodzącego słońca, kochali się w nocy; budzili się po to, żeby się znowu kochać. O świcie, kiedy jeszcze raz okazało się, że słońce nie zaszło za daleko, osiągnęli takie poczucie bliskości, jakby już nic nigdy nie miało ich rozłączyć. Bartek po raz kolejny dowiadywał się, że moralność nie musi być zaprzeczeniem wolności. Że Pan Bóg nie po to nam to stworzył, żebyśmy teraz wybrzydiali, krygowali się i stawiali warunki.

O szóstej rano kupił w pobliskim sklepie świeży chleb, tuzin jaj i wędzony boczek. Zjedli tę górę jajecznicy przegryzając pomidorami, ogórkami i popijając pachnącą kawą z gorącym mlekiem. Halina zadzwoniła do szpitala, by wypytać o Zuzę. Bartek postanowił się zdeklarować i kupić jej pierścionek. A jak będzie trzeba, to potykać się z jej mężem, pieszo lub konno, na miecze, kopie albo topory.

— Czy ty się kąpiesz we krwi dziewic? — głaskał jej zmarszczki.

— O co ci chodzi? — jej oczy wciąż się śmiały. — Przecież piersi mam obwisłe, a tyłek miękki jak ciasto.

— Gadanie — pocałował ją. — To tylko grawitacja. Wielkie piersi nie mogą sterceć jak nadmuchane kondony, a z tym twardym tyłkiem to też jakieś nieporozumienie. Pisarz sobie żartował, a ludzie zaczęli się do tego modlić. Mnie chodzi o to, że w każdej zmarszczce, w każdym geście, każdym odezwaniu się niesiesz radość. Pewnie masz dzieci...

— Dwoje.

— ...a zachowujesz się jak panienka. Nie wolno dawać kluczy obcemu facetowi. Czterdziestolatki nie całują się do utraty tchu, nie trzymają się za rączki.

— Powinnam być pewnie jak Bożena? — roześmiała się.

— Ona jest przynajmniej prawdziwa! — Bartek całował jej śmiech. — Piękna, owszem, ale zgodnie z metryką jest nieszczęśliwa, niespełniona i nienawidzi mężczyzn obwiniając ich za swoje nieudane życie. Pierwsze, co zauważyłem, to

jak zanika jej rysunek ust. Niedługo zostanie tylko zaciśnięta kreska.

Śmiała się tak serdecznie, że szkoda było czasu na zajmowanie się nieszczęciami innych. Bartek nie mógł wprost nasycić się jej radością, chciał się nią zarazić, wyssać ją z niej, powodować, żeby kobieta, która była jej źródłem, nie przedstawiała być szczęśliwa. Po jego ostatnich przeżyciach była niczym antybiotyk, przywracała go życiu jak matka przebacząca marnotrawnemu synowi. Nie mógł jednak zapomnieć o samozwańczej królownie.

— Co ja zrobię z tą małą?

— Ma trochę szczęścia. Poznam cię z pewnymi ludźmi. Sami starają się sobie pomóc, sami stworzyli ośrodek dla takich jak ona. Niedaleko stąd, w lesie. Własnymi rękami i za własne pieniądze go zbudowali, wyposażyli. Teraz starają się sprowadzić zawodowców od leczenia. Jeszcze pół roku temu musiałabym ci powiedzieć: zabierz ją stąd. Dzisiaj będzie miała gdzie się podziać, jeżeli tylko zechce, co wcale nie jest takie pewne.

— Wiem. Ale niechący mam trochę doświadczenia.

— To dobrze.

— Chciałbym odebrać cię doktorowi Jerzemu Stępniewi. Czy mogę cię o niego zapytać?

— Mój mąż jest moim najlepszym przyjacielem. Nie potrzebuje tyle seksu co ja, a ponieważ razem z dziećmi tworzymy zgraną rodzinę, gdyby teraz wszedł, przeprosiłby za najście i zapytał, czy czegoś nam nie potrzeba. Sam najlepiej czuje się stojąc na szczycie góry, na którą wspinał się przedtem kilka dni z narażeniem życia. W tej chwili jest w Himalajach.

— A ty?

— Kiedy najlepiej się czuję?

— Tak.

— Kiedy widzę, jak moje dzieci chowają się bez skaz emocjonalnych, bez lęku i chamstwa. Kiedy słucham, jak rozmawiają ze swoim ojcem na poważne tematy. I kiedy śmieją się ze

mną do rozpuku — patrzyła Bartkowi w oczy. — Parę lat temu mieliśmy kryzys małżeński i przyznałam się, że potrzebuję więcej seksu, niż mam w domu. Mój mąż całując mnie po rękach błagał, żebym go zdradzała, żebym nie traciła radości życia i nie krzywdziła naszych dzieci.

Ktoś zadzwonił ze szpitala, że Skoczyńska obudziła się i próbowała uciec. Bartek z Haliną ubrali się błyskawicznie, wskoczyli do małego peugeocika i po paru minutach byli na miejscu. Nie było już tego niesympatycznego lekarza, przywitała ich starsza pani w białym fartuchu.

— Pozrywała wszystko i szła do wyjścia — referowała — tam się przewróciła, ale jak próbowaliśmy jej pomóc, wyrywała się i krzyczała.

— Jest przytomna?

— Tak, dałam jej domięśniowo dziesiątkę relanium.

— Można z nią rozmawiać? To pan Zborowski z Warszawy, chce jej pomóc. — Halina przedstawiła Bartka.

— Może pan iść. Dobrze by było, żeby została jeszcze trochę w szpitalu, przynajmniej dopóki jest na głodzie. Sama nie da sobie rady, a ja nie mogę jej nic przepisać. To przecież dziecko.

— Dziękuję pani — Bartek złapał ją za rękę i pocałował. — Wreszcie ktoś zauważył, że to nie prostytutka ani narkomanka, ale dziecko. Jeżeli wszyscy zgodzimy się z tym, może jednak uda się ją uratować.

— Zabawny pan jest — uśmiechnęły się obydwie. — Ale ma pan rację. Niech pan próbuje.

Bartek wszedł do sali. Zuza nie wyglądała najlepiej, obok łóżka siedziała pielęgniarka czytająca „Życie na Szczycie” pełne zdjęć telewizyjnych gwiazd. Przywitał się, przysunął sobie krzesło.

— Pamiętasz mnie?

Zuza przyglądała mu się niechętnie, na pewno go nie kojarzyła.

— Wygląda pan na jakiegoś jehowę, który będzie mnie nawracał. — Jak na piętnastolatkę miała ciekawe poczucie humoru.

— Sam chciałem się nawrócić. Coś ci powiem na ucho, pozwolisz? — pochylił się. — W pubie, w kiblu?... Twój narzeczony, co ci skopał jak futbolówkę? — szeptał. Położył też dyskretnie palec na ustach.

— Pan jest z policji? Ja nic nie pamiętam — odwróciła głowę.

Cholera, aż tak suknia zdobi człowieka?

— Jechaliśmy potem autobusem — Bartek mówił już bez konspiracy — poszliśmy do twoich kolegów i wstrzyknęliście mi kompot — uniósł ramię z niewielkim siniakiem w zgięciu łokcia.

Patrzyła na niego ze strachem.

— Odkuleś się — zrobiła okrągłe oczy. — Ładna koszula.

— Co ci się stało? Przecież nie bierzesz byle czego?

— Sama nie wiem — zastanawiała się.

— W każdym razie będziesz przesłuchiwana. Znasz Maślankę?

— No pewnie — skrzywiła się. — Jeszcze jeden dureń.

— Będzie cię pytał, skąd miałś towar, i o tym podobne rzeczy.

— Poradzę sobie. A co, oni nie wiedzą? Razem piją piwo. — Była za dorosła jak na tak małe miasteczko.

— Lepiej nie wyskakuj z takimi mądrościami. Będą cię też pytać o inne rzeczy — Bartek mrugnął.

— Ja nic nie pamiętam — zrozumiała go. — Jestem nieletnia, mogą mi naskoczyć.

— A jego koledzy?

Było to dobre pytanie, bo straciła rezon.

— Zabierz mnie stąd — chciała wstać.

— Zaczekaj — przytrzymał ją, przycisnął do prześcieradła. Pielęgniarka nie oderwała się od swoich kolorowych plotek.

— Aż tak niebezpiecznie chyba nie jest. Mogę posiedzieć tu z tobą, jeśli się boisz. Najważniejsze pytanie, to co dalej. Chcesz przestać?

— Mogę spróbować — nie było w niej entuzjazmu. Może to i lepiej, że nie oszukiwała? — Ale dla mnie nie ma tu życia. Jeżeli nie chcę do nich wracać, to nawet nie mam gdzie spać.

— Nie obraż się, ale muszę cię o to zapytać. Co z twoimi rodzicami?

Zuza odwróciła głowę i długo nic nie mówiła. Potrzebowała czasu.

— Słyszałaś o tym ośrodku w lesie?

— A oni by mnie przyjęli? — zareagowała bardzo szybko.

— Dlaczego mieliby cię nie przyjąć?

— Nie wiem. Wszystkich nie biorą.

— Nie znam ich osobiście, ale rozmawiałem z jedną lekarzką. Twierdzi, że byłoby to dla ciebie najlepsze wyjście.

— Może... — Nie ucieszyła się. Albo była już zmęczona.

— Pójdę teraz, ale będę się tutaj kręcił. Jeżeli zechcesz, pojedę tam z tobą. — Bartek pogłaskał jej małą dłoń. Zdziwiła się.

Na korytarzu Maślanko rozmawiał z Haliną.

— Witam pana asprokole — Bartek wyciągnął do niego rękę.

— Aspiranta — poprawił go odruchowo, ale grabę uściśnął. Pogrzebał w teczce i oddał Bartkowi prawo jazdy. — Znalazł się pański samochód. Jest na parkingu policyjnym w Miechowie.

— Nie wierzę! — ucieszył się Bartek. Bardzo się ucieszył. Tak bardzo, że niewiele brakowało, a uściśkałby tego aspiryna z wiecznym marsem na czole. — Ma pan u mnie flaszkę, piwo, cokolwiek pan zechce. Może być zaraz.

— Nie ma takiej potrzeby — mars na policyjnym czole jeszcze się pogłębił. — Podziękowania niech pan przekaże kierowcy tej ciężarówki, pod którą chciał pan wjechać. Martwił się o pana i zameldował o tym załodze radiowozu. Ściągnęli wóz

i teraz marnują czas szukając pana w Warszawie. Powiedziałem, że pan zgłosi się do nich.

— Zgłoszę się, ma pan moje słowo — Bartkowi gęba sama się śmiała. — To najlepsza wiadomość od chwili, kiedy odzyskałem pamięć. — Zamiast policjanta wycalaował Halinę. Oczywiście tylko w policzki, ale Maślance i tak się to nie spodobało.

— Komisarz Kurek prosi pana o telefon. Co z pańską komórką?

— Nie wiem. Chyba zgubiłem. Mogła też zostać w samochodzie.

— Mam jeszcze kilka ważniejszych pytań. Pani doktor — zwrócił się do Haliny — czy znalazłby się jakiś pokój, gdzie mógłbym z panem porozmawiać?

— Chodźcie do mnie. O tej porze nikogo tam nie będzie.

Wyszli na zewnątrz, do innego wejścia. Halina wzięła klucze od portiera i wpuściła ich do gabinetu.

— Będę się kręcić na oddziale, poszukaj mnie.

— Znacie się prywatnie? — policjant starannie zamknął drzwi.

— Pani doktor pomaga mi odzyskać dawną osobowość.

— Myślałem, że to jej mąż jest psychiatrą.

— Ależ wy tu lubicie się podglądać — pokręcił głową Bartek. — Zwariowałbym u was już po tygodniu.

— Czy zna pan Romana Bułeckiego, pseudonim Buła?

— Panie aspirancie, to, że wy znacie wszystkie swoje pieprzyki w intymnych miejscach, mnie nie dotyczy. Ja tędy tylko przechodzę.

— Był alfonsiem Skoczyńskiej. Został przedwczoraj zabity. Pan już wtedy tu się kręcił, chcieli pana zgarnąć, ale puścili z tą małą. On ją skopał na środku ulicy, a zaraz potem nie żył.

— Oj, bo się pogniewamy — Bartek pogroził mu palcem. — Jeżeli był jej alfonsiem, to powinien siedzieć co najmniej z dwóch paragrafów, a nie kopać ją na ulicy.

Maślanko podszedł do okna, żeby sobie powzdychać.

— Dlatego nie biorę pana na komendę, to byłaby puszka z Pandorą — martwił się tak bardzo, że Bartek nie chciał go ośmieszać.

— Dorzuciłbym panu jeszcze dyrektorów Polimpexu, gdzie zamówili sobie, pewnie u pańskiego Bułeckiego, dzieci do pierdolenia.

Maślanko spojrział na Bartka przestraszony.

— A poza tym jeżeli ganiają pana do szpitala w sprawie narkomanki, to na pewno nie zajmuje się pan zabójstwem.

— Zastępuję koleżankę — chyba się zaczerwienił. — Jest lato, sezon urlopowy. — Położył wreszcie swoją teczkę na leżance, sam usiadł obok. — Komisarz Kurek dobrze mi radził, żebym się trzy razy zastanowił, zanim wyciągnę formularz. Pan się naprawdę nikogo nie boi? — był już przetrącony, jak każdy człowiek zależny od konkretnego układu.

— Proszę mi opowiedzieć coś o tej dziewczynce. Chcę jej pomóc.

Pogrzebał w swojej tezcze, wyjął tekturowe okładki. Chwilę sam czytał, zanim zaczął mówić.

— Pochodzi z Częstochowy, z rozwiedzionego domu. Matka bezrobotna, ojciec w Australii, ojczym próbuje jakichś akwizycji. Wyrzucili ją z domu za puszczenie się i narkotyki, niby tylko w słowach, ale ona przyjechała tutaj z jakimś niezidentyfikowanym Profesorem, lat około dwudziestu. Jest już u nas od... — szukał — pięciu miesięcy. Dwa razy ją odsyłaliśmy, ale wracała w ciągu dwudziestu czterech godzin.

— Jej Bułecki na pewno łatwo nie zrezygnował. Skąd to wszystko macie?

— Mieliśmy kiedyś psycholożkę.

— I co?

— Zabrali etat do województwa.

— Nie ma rodzeństwa?

— Ma — znowu czytał. — Przyrodniego brata, lat dziewięć.

— Poznał ich pan?

— Nie należało to do moich obowiązków — chyba znowu poczuł się urażony. — Ja jestem zwykłym dzielnicowym i mam co robić.

Nie było sensu się kłócić.

— A skąd wzięła się ta Atlantyda?

— Nie mam pojęcia.

ROZDZIAŁ XI

Minęło kilka dni.

Bartek kochał się z Haliną, przesiadywał godzinami u Zuzy, starając się ją wesprzeć w ciężkich chwilach. Dwa razy udało mu się zapobiec jej ucieczce, a raz podaniu narkotyku przez kolegów z pałacu. Wyprowadził ich na zewnątrz i walcząc z pragnieniem przemocy bezpośredniej, starał się im wytłumaczyć, że mogli ją zabić. Nie bali się go i nic do nich nie docierało; byli arogancy, lekceważący, kpili z niego. Potrzebował informacji, więc w końcu spuścił z tonu i przyznał się do trawy i kwasu. Szybko podchwycili ton współnictwa; mieli już w głowach majonez zamiast mózgów i słuchając ich żalosnych wywodów Bartek stwierdził, że są jak ludzie wysmarowani gównem, którzy pogardzają resztą świata nie wiedzącą, jak to jest cool, gdy ma się ufajdaną mordę. Miał wrażenie, że to ich gówno przylepia się do niego, lecz twardo prowadził dialog, aż wreszcie mógł niezauważenie dotrzeć do swojego pytania.

— Dlaczego nazywacie ją „Śnieżka”?

Myśleli długo, wspierając się komentarzami.

— No bo mówi, że jest królowna. Królowna Śnieżka, przyswajasz?

— E tam, już w podstawówce robiła chłopakom loda w kiblu na przerwie — śmiał się drugi. — Dlatego.

— Skąd wiesz? Jesteś z Częstochowy? — Resztką woli Bartek powstrzymał się, żeby ich nie podusić. Co się ze mną stało? myślał. Nigdy wcześniej nie byłem taki krwiożerczy.

— Nie, ale one przyjechały tu we dwie. Chwały się.

— Ale Zuza twierdzi, że jest królową z Atlantydy — próbował dalej Bartek.

— Jaka Zuza?

— Śnieżka ma na imię Zuzanna. Nie wiedzieliście?

— Zuzanna? Ale bzdura! — mieli niezły ubaw. Co też się działo w tych ich głowach!

— No to co z tą Atlantydą?

— Mówiła coś — kombinowali. — Ale nie wiadomo, o co jej chodziło.

— Królowa z Atlantydy — podpowiadał Bartek.

— Czekaj! Pamiętam! Raz rzeczywiście naćpała się i mówiła te bzdury o „starym kraju”. Że pokutuje za grzechy, że źle używali jakiegoś Kryształu...

— I siły psi!

Musiało to być bardzo śmieszne, bo aż poklepywali się z radości na samo wspomnienie. Wymawiali to na dwa sposoby, odgrywając kłótnię. Jeden mówił psi, jak przymiotnik od psa, drugi zaprzeczał, poprawiając go komicznie na psi, jak w literze z greckiego alfabetu.

— Co to jest psi?

— Zwariowałaś, człowieku? Nawal się z nią, to się dogadacie. Siła psi...

— Nie psi, tylko psi. — Śmiejąc się, odeszli bez pożegnania.

Bartek pojechał z Haliną do ośrodka w lesie. Zgodzili się przyjąć Zuskę, jak już szpital ją odtruje. Zawiozła go też do Miechowa, gdzie po długich a ciężkich wyjaśnieniach policjanci zaakceptowali w końcu wiadomość, że w jego zabytkowym trzydziestolatku zepsuł się „na chwilę” układ kierowniczy. Spisali protokół, a w tym czasie jeden menel na ochotnika pucował

bristola za kilka złotych. Wreszcie wyszli całą grupą na podwórko. Nikt nie krył podziwu na widok angielskiego dzieła sztuki, tylko Halina posmutniała.

— Zawsze znajdzie się jakiś samochód ze starego życia — zacytowała. Było to ich pierwsze pożegnanie i nie bardzo wiedzieli, jak dodać sobie odwagi.

Bartkowi przyjemnie było znowu poczuć się kierowcą, przyjemnie było znowu wziąć życie we własne ręce, nawet jeżeli na razie toczył się powoli za peugeocikiem Haliny. Telefon zadzwonił, zanim Bartek był na to gotowy.

— Żyjesz? — Jędrak nie bawił się w sentymenty.

— Żyję, ale co to za życie.

— Kiedy wracasz?

— Za parę dni.

— No to nie wariuj już bardziej.

— Spróbuję.

Nadszedł wreszcie dzień, kiedy Zuzka była gotowa przenieść się na odwyk. Zdążyła zdobyć sobie sympatię załogi szpitala i teraz wszyscy pochliipywali, życząc jej szczęścia na nowej drodze życia. Ludzie z ośrodka mieli przyjechać po nią, ale Bartek tak to zorganizował, żeby mieć ją dla siebie chociaż przez godzinę. Zostawił w szpitalu wiadomość, że zabiera ją na obiad do Arkadii i że tam będą czekać. Już wcześniej razem z marsowym aspirynem odebrał jej rzeczy z mieszkania Bułeckiego, kupił jej też trochę nowych ciuchów, dla lepszego samopoczucia. Nie chciał, żeby paradowała w miniówce i glanach. Idąc teraz spacerkiem do restauracji Zuza rozglądała się wokoło, jakby dawno jej tu nie było. W parku zaproponowała, by na chwilę usiedli na ławce.

— Boisz się?

— Przecież nie mam czego — patrzyła na swoje machające w powietrzu nogi.

— Wałkowaliśmy to już tyle razy. Posiedzisz tam do końca wakacji, a potem zdecydujesz, czy chcesz jechać do matki

czy do mnie. Obiecali mi, że pierwsi będą z nią rozmawiać, najgorsze odwałą za ciebie. Jak będzie trzeba, ja też z nią porozmawiam.

— Nie wolałbyś mnie wypierdolić i dać mi parę złotych na drogę?

— Zuzia, mnie to nie szokuje, ale innym może być przykro. Będą myśleli, że tracą dla ciebie czas. Spróbuj uwierzyć, że jesteś jeszcze dzieckiem i nie będziesz się z nikim pierdolić co najmniej przez najbliższy rok. A ja chcę być twoim przybranym ojcem, pamiętasz?

— Posuwasz doktor Stępniową?

— To nie twój interes.

Bartek miał nadzieję, że fachowcy z ośrodka będą mieli więcej cierpliwości niż on. Bo za każdym razem doprowadzała w rozmowie do tego, że ręce mu opadały i miał ochotę najpierw je rozłożyć, a potem umyć. Bał się też, że kiedy domyśli się, iż czegoś od niej chce — nawet jeżeli jest to coś tak absurdalnego jak informacje na temat Kryształu z Atlantydy — poczuje się oszukana. Postanowił wziąć byka za rogi choćby po to, aby zejść z tych ciągle powracających asocjacji seksualnych

— Dlaczego nazywasz siebie królową z Atlantydy?

Zuzka milczała wierząc się na ławce.

— A dlaczego cię to interesuje?

— Rozmawiałem z twoimi kolesiami, wyśmiewali się z ciebie, a ja uważam, że to bardzo ciekawe. Przeczytałaś o tym w „Bravo”?

— „Bravo” nie pisze o takich rzeczach — uśmiechnęła się z wyższością. — O Atlantydzie trzeba poczytać u Platona. — Zabrzmiało to tak paradnie, że Bartek chciał się poddać już na starcie.

— Zuza, nie obraź się, ale gdybyś twierdziła, że jesteś córką papieża, to prędzej bym w to uwierzył, niż że czytałaś „Dialogi” Platona. Nie przebrnęłabyś przez pierwszą stronę.

Spojrzała na niego z zaciekawieniem.

— „Ale kiedy w nich cząstka Boża wygasła” — jej okropnie dorosłe oczy patrzyły z porażającą wyższością — „dlatego, że się często z wieloma pierwiastkami ludzkimi mieszała, i ludzka natura zaczęła brać górę, wtedy już nie umieli znosić tego, co u nich było, zrobili się nieprzyzwoici i kto umiał patrzeć, ten widział już ich brzydotę, kiedy zatracali to, co najpiękniejsze pośród największych dóbr.”*

Bartek oczywiście nie znał Platona na pamięć, ale i tak nieźle go nastraszyła. Poczul się bezradny. Zwłaszcza że po skończonej tyradzie odwróciła się i dalej machała nogami siedząc na ławce, jakby nic się nie stało. Pomyślał, że jeżeli bawi się z nim, to jest bardziej przewrotna, niż byłby w stanie uwierzyć. I nie wierzył.

— Co to jest Kryształ z Atlantydy?

Znowu popatrzyła na niego, jakby był pacjentem, a ona знаła tajemnicę jego choroby.

— To wielki błękitny diament, który zbiera energię słoneczną. Mój ojciec potrafi posługiwać się nią.

— Twój ojciec w Australii?

— Nie — nie zrobił na niej wrażenia. — Mój prawdziwy ojciec, król Atlantydy.

— Masz z nim kontakt?

— A co, potrzebujesz energii Kryształu?

— Tak.

— Chcesz kogoś uzdrowić?

— Nie, ożywić.

Pomyślała chwilę.

— To jest możliwe.

— No więc masz z nim kontakt?

Pokręciła głową.

— Nie w taki sposób, żebyś zrozumiał.

— To znaczy, że nie możesz mi pomóc?

* Platon "Timaios, Kritias", tłum. Władysław Witwicki.

— Pomogę ci. Ale przecież nie tutaj, nie w tej chwili.

— Dlaczego? Masz do niego dostęp czy nie?

— Nie.

Bartek zrozumiał wreszcie, że to pierwsza sensowna odpowiedź w ich rozmowie. Odzyskał poczucie rzeczywistości, jakby w kinie zapaliło się nagle światło. Dopiero w tej chwili zauważył, że mijają ich ludzie, na przystanku zatrzymał się autobus, na ławce naprzeciwko całuje się para młodzieży, a kobiecie prowadzącej wózek z dzieckiem pękła plastikowa torba i rozsypały się owoce. Pomyślał, że będzie tęsknił za Haliną i że powinien zadzwonić do Anny, nim znajdzie sobie nowego męża. Może starzał się i potrzebował kobiety kochającej i wyrozumiałej, a zwariowane nastolatki podobały mu się już tylko z przyzwyczajenia? Ta tutaj zresztą wedle jego kryteriów, nie była nawet nastolatką. Panna Patyczkówna.

— Chodź, postawię ci obiad, zanim po ciebie przyjadą.

Było mu bardzo źle na świecie.

Część III

PENTEUSZ

*Lecz srogi los, okrutna śmierć
W udziale im przypadła*

ROZDZIAŁ XII

O wschodzie słońca płakali z Haliną. Bartek błagał ją, by nie zatraciła swojej kosmicznej radości życia. Przyznała, że on jakąś jej cząstkę na pewno zabierze ze sobą, lecz nie namawiała, aby został, bo mąż będzie dopiero za tydzień. Po raz pierwszy w życiu nie docenił tego jako Wielkiej Mądrości. Wyobraził sobie, jak po nim sprząta, bierze prysznic i jedzie odwiedzić dzieci na koloniach. I śmieje się z nimi do rozpuku. Skorzystała z niego uczciwie, dała mu w zamian, ile tylko potrafiła. To jedynie on nie miał do czego wracać.

Jechał do Warszawy powoli, sprawdzając w telefonie napęczniałą pocztę głosową. Najwięcej było rozczarowanych klientów, dzwonił zmartwiony Jędrzek, niezbyt zmartwiona Gogi. Patrycja informowała, że nikt się nim nie interesuje i może przyjeżdżać, kiedy zechce. Była też, jak na zamówienie, wiadomość od Anny: dostała dwa bilety na koncert w środę i jeżeli nie ma ważniejszych zajęć itd. Ta środa już pewnie minęła, lecz poddała mu myśl, że wieczór w operze może być dobrym wstępem do oświadczyń w drogiej restauracji. Czyli jak się komuś raz poprzestawia w głowie, to już chyba na zawsze.

W Warszawie najpierw odstawił samochód do zaprzyjaźnionego warsztatu, potem zajrzał do mieszkania, przywitał się ze swoimi pracującymi koleżankami, poszli coś zjeść, by uczcić jego powrót, wreszcie podjechał do Wilanowa odebrać torbę

z komputerem z biura ochrony budynku, w którym ją zostawił. Pożartowali z ochroniarzami chwilę nad jej ciężarem, ale trzymał taksówkę i musiał jeszcze pozbierać swoje rzeczy z góry, więc szybko załatwili sprawę. W domu pomyślał, że czas najwyższy zadzwonić po sprzątaczkę, i położył się do łóżka. Czuł się chory. A może tylko niewyspany.

Nazajutrz wciąż się snuł. Wypił kilka piw z Jędrkiem, opowiedział mu w skrócie swoją odyseję. Epizod z Bułeckim w damskiej toalecie oczywiście pominął, chociaż nadmienił, że Maślanko wypytywał o jego śmierć. Sam był tylko zdziwiony tym, co zrobił. Zabił już drugiego człowieka i nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia. Na uparte go potrafiły przecież obronić Zużę bez tak ostatecznego rozwiązania.

Wyjaśnić mógł to sobie tylko na dwa sposoby. Albo jest człowiekiem upośledzonym moralnie i coś jest nie tak z jego systemem wartości — psychopata, nie bójmy się tego słowa — albo, jak bohaterowie komiksów, został obdarowany licencją na zabijanie w ramach walki dobra ze złem. Czuł się archaniołem z karzącym mieczem sprawiedliwości, bo tak odczłowieczona kanalia jak BułECKI wyróżniała się nawet w przestępczych annałach. Gwałcić pokaleczone emocjonalnie dzieci, szprycować je narkotykami i jeszcze sprzedawać podobnym sobie zbrodźcom? Wskażcie mi następnego BułECKIEGO, a drugi raz zrobię to samo, myślał.

Zadzwonił do Teatru Wielkiego, lecz mieli letnią przerwę, natomiast w filharmonii okazało się, że mimo sezonu urlopowego ma szczęście: na gościnny występ przyjeżdżali wiedeńscy z muzyką Weberna, Schönberga i Mahlera. Biletów już nie było, ale zapytał o sponsorów przedstawienia i skontaktował się ze znajomym z telekomunikacji. Oczywiście dostali swoją pulę i mógł wziąć tyle biletów, ile potrzebował, bo niewiele osób korzystało z darmowej oferty kulturalnej. Częsty przypadek dzisiaj — my zabijamy się o bilety na jakieś wydarzenie, a potem pierwsze rzędy świecą pustką.

Anna ucieszyła się z jego telefonu: bardzo chętnie wybierze się na koncert. Bartek zarezerwował więc stolik w bezsensownie drogiej restauracji niedaleko filharmonii i położył po mieście, zaglądając do jubilerów prowadzących komisę. Jego tragifarsa zapętlila się, kiedy kupił piękny zabytkowy pierścionek ze szmaragdem. W porównaniu z obrączkami spod sztancy był pewnie drogi, ale już w zestawieniu z nowym samochodem oddawali go, można powiedzieć, za półdarmo. Na takie właśnie sytuacje wymyślono, przeklinane dopiero później, karty kredytowe.

Po Annę podjechał taksówką odpowiednio wcześniej, żeby zdążyli wypić po drinku w barku Adrii. W wieczorowej sukni wyglądała pięknie, staro i mimo niewielkiej różnicy wieku między nimi bardziej przypominała jego matkę niż narzeczoną. Ale Bartek zacisnął zęby i zakręcił pudełkiem od jubilera w kieszeni. Wieczór był ciepły, toteż panna młoda zadysponowała sobie margherię, dla Bartka barmanka przyrządziła z ginu klasyczne martini. Anna skądś się dowiedziała o jego kłopotach, dlatego chciała go pocieszyć zapraszając na koncert jazzowy — jak miło! — on ograniczył się do informacji o pracy poza Warszawą. W filharmonii sięgnął po jej dłoń i chyba ją tym zdziwił, chociaż obdarowała go uśmiechem. A kiedy w restauracji podnieśli kieliszki z prawdziwym szampanem, wystartował do swojego biegu po zdrowie.

— Muszę przyznać — Anna delektowała się wieczorem — że nie spodziewałam się po tobie takich manier. Zupełnie jak w amerykańskiej powieści z lat trzydziestych: drink przed spektaklem, kolacja po. Normalnie jeżeli już gdzieś się wybiorę, muszę szybko lecieć z powrotem, żeby mama zdążyła na ostatni autobus. Dzisiaj będzie musiała przenocować u mnie. Ale jak jej opowiem, jak traciłeś na mnie fortunę — zakręciła kieliszkiem — to mi pewnie wybaczy.

— Anno... — Bartek położył pudełko na stole. — Ostatnio dużo wydarzyło się w moim życiu i wiele myślałem, co zrobić z resztą, która mi została. Jestem tak klinicznie samotny, że gdy-

by coś mi się stało, nie mieliby nawet kogo zawiadomić. A co do tych wydarzeń... też nie miałem komu się poskarżyć, opowiedzieć. I nie chcę już tak żyć. Odkąd cię poznałem, często zastanawiałem się, jak by to było budzić się codziennie obok ciebie, spędzać razem święta, jeździć na wakacje...

— A dzieci?

— Dzieci? — zbiła go z pantaląku. — Przecież masz już dzieci.

— No właśnie, troje — uśmiechała się. — Czasami choruje jedno, czasami wszystkie. Rano trzeba pilnować, żeby zjadły śniadanie, wieczorem sprawdzić lekcje i pokój, żeby po umyciu zębów nie jadły pochowanych słodczy. Często płaczą, kłócą się i przybiegają po werdykt. Bez przerwy trzeba je chwalić wbrew logice i główkować, co tu mądrego powiedzieć, żeby nie musieć ich karać...

Nie miała chyba zamiaru skończyć. Bartek przerwał jej i otworzył pudełko.

— Anno! Czy zostaniesz moją żoną?

Jeżeli myślał, że zacznie pisać i pokazywać pierścioneł wszystkim dookoła, to nie mógł się bardziej pomylić. Wyglądała, jakby ją opluł. Nawet rozejrzała się, czy ktoś to widział. Zamknęła szybko pudełko i schowała pod jego dłoń.

— Kiedy cię dzisiaj zobaczyłam, przeraziłeś mnie, tak bardzo się zmieniłeś. — To już druga, która patrzyła na niego jak na różowego misia. — Nie chcę myśleć o tobie, że jesteś głupim czy złym człowiekiem. Bartek! Potrzebujesz psychiatry. W tej chwili szaleństwo z ciebie wręcz emanuje. Gdybyśmy nie siedzieli w publicznym miejscu, uciekłabym ze strachu. — Po chwili odważyła się jednak dotknąć jego ręki. — Co się stało?

Ponieważ Bartek zdawał sobie sprawę, że zrobiła się z niego płaczliwa mimoza, nie mógł jej odpowiedzieć.

— Czy to dlatego, że zabili tę dziewczynę?

Milczał w dalszym ciągu. Podszedł kelner. Anna odwołała ucztowanie, poprosiła o rachunek za szampana.

— Chciałabym ci pomóc, ale mam za dużo obowiązków. Jestem matką i bardzo szybko rozczarowałbyś się małżeństwem ze mną. — To miało go pewnie pocieszyć. — Niewiele uwagi mogłabym ci poświęcić, a w nocy najczęściej pragnę się po prostu wyspać. Możesz zapłacić? Ja nawet nie mam tyle na karcie. Ponieważ dzieci są małe, chciałabym jeszcze poznać kogoś, kto pomógłby mi je wychować. Ale musiałyby, oprócz mnie, bardzo, ale to bardzo je kochać. Ty ich nawet nie spotkałeś.

W taksówce milczeli przez całą drogę, pod domem poprosiła, żeby ją odprowadził.

— Podzwonię jutro od rana i znajdę ci dobrego psychologa. Pamiętaj, że jeżeli sam nie zechcesz sobie pomóc, wysiłki innych też się zmarnują.

W końcu Bartek rozchorował się naprawdę. Nie odebrał telefonu od Anny, skasował informacje, które mu zostawiła. Jego pracujące koleżanki wezwały lekarza, donosiły mu rosółki i wyciśkały sok z pomarańczy. Znowu gorączkował, majaczył, nie wiedział, gdzie jest. Wreszcie któregoś dnia obudził się zdrowy i z wielką potrzebą działania. Wyrzucił Andżelikę, która akurat go pilnowała, pozamykał wszystkie zasuwę i przeszedł do swojego centrum dowodzenia.

Wrzucił do komputera hasło „Atlantyda”, posiedział nad nim pół dnia i nie znalazł nic ciekawego. Ale kiedy zmienił je na „Atlantis”, otworzył się przed nim świat tak gigantyczny, że aż dziwne, iż mieścił się w Sieci. Naprawdę nie przypuszczał, że może być tylu wariatów, którzy w dodatku koniecznie chcą przekonać innych, że zajmują się Atlantydą w sposób naukowy. Bartek przynajmniej wiedział, że zwariował. Oni machali do niego z radością i wołali: „Witaj w klubie”.

Czytał o zjawiskach psi i zdolnościach psi, dowiedział się, że uważająca się za Atlantydkę Zuzia nie jest wcale wyjątkiem. Są ich tysiące rozrzuconych po świecie, a także całe narody, jak

choćby Baskowie czy Irlandczycy. Mimo wszystko wątpił, czy ktokolwiek z nich potrafiłby zacytować Platona z pamięci.

Przeniósł się z laptopem do pokoju, bo dziewczyny waliły pięściami w drzwi i nie chciały odejść. Spędził w tym zwarowanym, maniakalnym świecie parę dni, lecz ani trochę nie zbliżył się do rozwiązania zagadki swojej pielgrzymki do królowej z Atlantydy. Myślał o wycieczce do Częstochowy, ale co by mu dało znalezienie dialogów Platona pod poduszką i informacja matki, że Zuzia zawsze była dziwna? Albo nauczycielki, że przygotowywali szkolne występy o zaginionych ładach i Skoczynska z I b grała księżniczkę z błękitnym kamieniem? W dodatku z góry ich nie lubił. Normalna dziewczyna w normalnej szkole, jeżeli koleżdy namawiają ją do zrobienia laski w kiblu, powinna z płaczem polecieć na skargę. Dlaczego Zuza nie miała się komu poskarżyć?

Ze świata zatopionych świętyń, piramid i trójkątów bermudzkich był już tylko klik do świata kolektywnej pamięci, pola morfogenetycznego i świadomości jako „zmiennej ukrytej”, a nie „egocentrycznej idei”. A do każdej z tych niewydarzoneści doczepione było nazwisko jakiegoś poważnego naukowca, najlepiej noblisty. Tak jakby uznanie szwedzkiej akademii mogło chronić przed szaleństwem. Geniusz ma swoją cenę. Ilu wielkich pisarzy, filozofów, kompozytorów kończyło w domu wariatów lub z własnej ręki? Nie umniejsza to ich dzieła, unaocznia cenę, jaką trzeba zapłacić za kolegowanie się z Panem Bogiem. Nie wszyscy geniusze umierają młodo, niektórzy kawał życia spędzają w kaftanie bezpieczeństwa. Podobno Einstein przed śmiercią ogłosił kilka ciekawostek. Nie unieważniają przecież prawdy, że $E=mc^2$. "Beethoven był tak głuchy, że myślał, że ma luje." Dlaczego wielki fizyk czy biolog nie może nagle uznać, że wyskakują z niego diabełki? (Tylko nie na stół! Tylko nie na stół!) Wierzyć można sobie we wszystko, jeżeli pozwala nam to przetrwać tych kilkadziesiąt lat bólu i niespełnienia. Ale po co zaraz zakładać encefalograf do komunii? Albo kłaść trupa na

wadze, by stwierdzić, że dusza ludzka waży tyle to a tyle? Bartkowi przypomniał się plakat, który wisiał w gabinecie jego ojca, zanim wyjechali do Stanów. W gwiazdnej przestrzeni w okienku statku kosmicznego uśmiechnięta twarz Gagarina i wielki radosny napis: „Boga niet!”

Zgasił komputer i walnął się do łóżka. Musiał odespać te kilka nocy spędzonych przed monitorem.

Obudził się, bo zdawało mu się, że widzi mężczyzn kręcących się po mieszkaniu. Nie kojarzył przez chwilę, sen to czy jawa, wtedy jeden z nich wyszedł, a drugi usiadł przy stoliku, nalewając coś do szklanki: Szczęśny, wykształcony filozof, który potrafi nawet nazwać różnicę stosunku do Boga pomiędzy wielbicielami świętego Franciszka i świętego Tomasza — Bartek nie omieszkał przestudiować jego encyklopedycznej prowokacji.

Udając, że go nie widzi, Bartek wstał, przeszedł do łazienki. Ludzie, którzy wchodzą do czyjeś mieszkania bez zaproszenia, spodziewają się głośnych protestów i mają przygotowane aroganckie odpowiedzi. Bartek nie miał zamiaru robić Szczęśnemu tej przyjemności. Być może drzwi nie były zamknięte na klucz, ale gdyby zapukał, na pewno by go obudził.

Przechodząc przez pokój w drodze do kuchni Bartek pierdnął sobie zdrowo, skomentował to głośno: „Od razu lepiej!” Włączył czajnik, radio, zrobił kawę. Usiadł naprzeciwko Szczęśnego i zaczął przeglądać zaległą prasę.

— Wie pan, na czym polega mój problem? — Cokolwiek Szczęśny sączył, przyniósł to ze sobą w butelce bez nalepki. Zdążył nawet postawić drugą szklankę. Bartek poczuł zapach dobrej whisky głaszczący mu nablonek węchowy. — Ja po prostu nie wierzę, że mogłem się tak diametralnie pomylić. W ocenie pana, oczywiście. W mojej pracy powierzam obcym ludziom sumy, za które można kupić wyspę na Pacyfiku, wiedzę, która mogłaby zrujnować mnie i moich bliskich. Ocena tych ludzi, zanim oddam się w ich ręce, jest najbardziej podstawową umie-

jętnością, bez której nie osiąga się sukcesu. I oprócz tego co o nich czytam lub słucham, na koniec zawsze kieruję się intuicją i nigdy mnie ona nie zawiodła. Dlatego wciąż trudno mi uwierzyć, że pan nie prowadzi ze mną jakiejś gry, że w pana szaleństwie nie ma metody. A moje obawy dotyczą głównie tego, czy nie sprzymierzył się pan, lub — uniósł palec — nie zamierza sprzymierzyć z moimi przeciwnikami, z ludźmi, którzy zabili moją córkę. — Wpatrywał się w oczy Bartka z intensywnością wariata. Podobne przyciąga podobne. — Nie mogę zrozumieć, dlaczego nie chce pan lub udaje, że nie chce, pomóc mi odnaleźć morderców Kasi.

— I co to panu da? Pozabijamy ich wszystkich i ze spokojnym sumieniem znowu weźmie się pan za zarabianie pieniędzy? A ja za majątek otrzymany od pana kupię sobie tę wyspę? Dlaczego tak trudno panu zrozumieć, że ja chcę Kasi żywej? Nie cieszyłby się pan, gdyby mi się udało?

Wściekłość, która zmieniła twarz Szczęsnego, mogła przstraszyć. Wstał, włożył rękę do kieszeni i natychmiast wpadł do mieszkania koleś ze spluwą. Rozglądał się nerwowo po pokoju, lecz mierzył w Bartka.

— Jeszcze nic się nie stało. — Szczęśny z trudem wypowiedział te słowa zeszytyniałymi ustami. Wyjął rękę z kieszeni i pokazał niewielkie urządzenie z guzikiem. — Ale kiedy następnym razem cię wezwę, zastrzel tego człowieka bez wahania. Martwił się będę później.

Koleś przyjrzał się Bartkowi, schował pistolet i wyszedł.

— Jeżeli jeszcze raz usłyszę o zmartwychwstaniu — palec Szczęsnego ciął powietrze — to będzie pan je sobie załatwiał z tamtej strony.

Bartek chciał złapać go za ten paluch i wywalić za drzwi, ale myśli, że znowu zamiast się czegoś dowiedzieć, będzie konkurował z tabaką w rogu, powstrzymała pragnienie.

— Ja naprawdę w końcu pana znenawidzę. — Szczęśny usiadł, wychylił szklanekę trunku. — Nawet nie umiem sobie

przypomnieć, kiedy ostatni raz ktoś doprowadził mnie do takiego stanu. Uważam się za pokerowego mistrza, a pan po raz drugi obnażył słabości mojego warsztatu.

— Więc dlaczego wciąż się pan do mnie łąsi? Czego pan chce?

— To nie jest skomplikowane. Kiedy poznał pan Kasię, to była próba porwania. Niestety, za późno się o tym dowiedziałem. Pan od razu połączył to z konkretną osobą i tylko możemy żałować, że żaden z nas nie wiedział wtedy, co się dzieje. Marciniak jest groźny i nie wierzę, że policja go ruszy. Dlatego potrzebuję pana. To wszystko.

— Prawie. Bo popełnia pan zasadniczy błąd w rozumowaniu. Marciniak wiedział, że ja wiem. Jeżeli mimo to nie cofnął się przed zabiciem Kasi, ja powinienem był zniknąć w tym samym momencie. Po mnie nikt by nie płakał, zero ryzyka. Dlaczego tego nie zrobił?

Szczęśny obracał pustą szklankę w palcach.

— No widzi pan? Jest pan dobrym detektywem. Ale znowu mnie pan oszukuje. Dlaczego? Przecież Marciniak wysłał ludzi, żeby pana zabili. Tylko pan okazał się lepszy.

Na wszelki wypadek Bartek wołał się nie odzywać.

— O co panu chodzi? Przecież nie o pieniądze, bo to ja przychodzę do pana. Nigdy w rozmowie nie padła żadna kwota, więc złożę propozycję teraz. Przeznaczyłem dla pana milion złotych, ja płacę podatek. Może je pan mieć przelewem w ciągu minuty, gotówką jutro rano. Za mało? Proszę powiedzieć: „Chcę dziesięć milionów”. Załatwimy to. Akcjami, inwestycjami, trochę to potrwa, ale otrzyma je pan, powiedzmy, w ciągu roku. Dlaczego chowa się pan za tą pseudoreligijną obsesją?

— Jeżeli odpowiem, pana przydupas mnie zastrzeli. Pan nie chce mi uwierzyć...

— Nie i kropka. Odmawiam.

— ...a ja po prostu muszę to załatwić na swój sposób. Tak, żeby to Kasia wygrała, nie pan. — Patrząc na niego Bartek wy-

straszył się, że Szczęśny przyciśnie swój guzik. — Te kwoty, które pan wymienia... Równie dobrze mógłby mi pan proponować metr ziemniaków. Albo dwa metry. Dopóki pan tego nie zrozumie, nie dogada się pan ze mną.

— Więc czego pan chce? — zabrzmiało to prawie rozpaczliwie. — Co Kasia ma wspólnego z Atlantydą? Czego pan szukał w tym komputerze przez trzy dni?

Obydwoj byli fachowcami, więc pytanie, skąd o tym wie, miało się z celem.

— Podobno na Atlantydzie mieli Kryształ, którym potrafili przywracać życie zmarłym gwałtowną śmiercią.

Szczęśny ukrył twarz w dłoniach. Długo siedzieli w ciszy.

— Pan nie odpuści?

— A spodziewał się pan czegoś innego? Pan pragnie przyjaciela, ja nim nie będę. Intuicja naprawdę pana zawiodła.

— Dałem panu osiem punktów na dziesięć możliwych.

— A te dwa?

— To za brak ambicji. Teraz mogę powiedzieć: patologiczny brak ambicji.

— Nie zna mnie pan. Istnieją inne światy oprócz pańskiego. Niech pan przestanie gardzić moim, to wtedy być może przygarne pan i powiem: „tato”.

Szczęśny zerwał się przewracając krzesło i wyszedł trzaskając drzwiami. Po kilkunastu sekundach wszedł z powrotem. Bartek zdążył już zapomnieć, że Szczęśny jest z tych, co to muszą mieć ostatnie słowo. Inaczej wiercą się całą noc w łóżku, nie mogąc zasnąć.

— Ale z tymi oświadczeniami to pan przesadził. Myślałem, że pańska potrzeba matki ma bardziej finezyjny, filozoficzny charakter. A pan tak ordynarnie chciał się schować pod zapaską.

— Nie rzucę panu kijka, więc może pan przestać merdać.

— Malaga, Cumbre Torrequebrada, Calle Quilla 5. Jest teraz sama. Bardzo się postarzała.

Takim jak on trzeba pozwolić wygrać, żeby się od nich uwolnić.

Po jego wyjściu Bartek czuł się jak kandydat na świętego, któremu pokazują gołe baby. aby sprowadzić go z obranej drogi. Obejrzał piersiówkę, którą Szczęsny zostawił, powąchał zawartość. Wlał trochę do szklanki, z której tamten pił, spróbował.

W porwanie Bartek wierzył. Kasia uciekła, była pijana, cuda się zdarzają. Ktoś może chciał z tego skorzystać, ktoś inny przedobrzył, ktoś czegoś nie dopatrzył i udało się jej. W to, że Śledziu & Co przyjechali potem, aby go zabić, uwierzyć było mu już trudniej, lecz ostatecznie jeżeli uznali, że wszedł im w drogę, to taktycznie decyzja nie musiała być trudniejsza niż w stosunku do komara. Ale że później, bez względu na najbardziej nieszczęśliwy splot okoliczności, najczarniejszego pecha, kosmiczny zbiór przypadków oraz największy bałagan zdecydowali się zabić córkę magnata i zostawili gdzieś zwłoki na własną zgubę — w to od początku nie mógł uwierzyć. Była, owszem, jedna możliwość: kiedy dzwonił do Bartka, Kasia już z jakiegoś powodu nie żyła. Tym bardziej jednak nikt nie miał prawa nigdy jej odnaleźć. Powinni byli udawać porwanie do końca i uzyskać wszystko, co zamierzali.

Bartek wiedział, że mimo obecności gangsterów na każdym kroku zdecydowana większość zabójstw w dalszym ciągu dokonuje się w Polsce w czterech ścianach rodzinnych domów. A on nie nadawał się na Herkulesa Poirot, detektywa rezydenta. I dlatego nie miał zamiaru zaprzyjaźnić się ze Szczęsnym. Nie wiedział, czemu Szczęsny tak do niego Ignie, i niewiele go to obchodziło. Coś kręcił, bez dwóch zdań, tyle to się Bartek domyślał. Chciał go zabrać na biegun północny w momencie, gdy Bartek jechał na południowy. Może chciał go zjeść po drodze?

Ale jego whisky wypił ze smakiem.

Kusiło go oczywiście, by zadzwonić do Jędrka, dowiedzieć się wreszcie szczegółów. Były to jednak grzeszne pokusy odrywające go od głównego celu: spotkania z Kasią. Byłoby to

przyznanie się do porażki, zaakceptowanie nieodwołalności tego świata. A Bartek nawet w najczarniejszych momentach nie miał zamiaru się na to zgodzić. Nie umarła dziewczeczka, ale śpi i koniec.

ROZDZIAŁ XIII

Telefon dzwonił, a Bartek czekał, aż włączy się automatyczna sekretarka.

— Dzień dobry, moje nazwisko Michoń. Jestem proboszczem parafii...

Bartek poderwał słuchawkę: wyglądało na to, że Pan Bóg dalej miesza w swojej retorce jak najprawdziwszy alchemik.

— Zborowski, słucham.

— A, to pan już osobiście? Dzwonię, bo powiedziano mi na policji, że może pan pomóc mi w pewnej delikatnej sprawie.

— Bardzo chętnie. Mogę być zaraz, to nie będzie musiał ksiądz opowiadać dwa razy.

— Nawet bym się nie odważył mówić o tym przez telefon. Proszę przyjechać... — ksiądz podał adres, który kilka minut później Bartek przekazał taksówkarzowi; była to duża parafia na Ursynowie. Odnalazł mieszkania księży i przycisnął guzik domofonu, „pierwszy od góry”.

Proboszcz miał już swoje lata. Jakieś straszne zmartwienia przyginały go do ziemi, lecz nawet one nie potrafiły przytłumić inteligencji i poczciwości w każdym słowie czy geście. Był to już drugi ksiądz na drodze Bartka w ciągu krótkiego czasu, a potrzeba natychmiastowej konsultacji sprawiała, że Bartek musiał tłumić podniecenie, aby pozwolić sprawom następować we właściwej kolejności.

— Od dawna już moim największym hobby jest Internet — zaczął proboszcz, kiedy usiedli przy kawie w jego malutkim mieszkanku. — Spędzam w nim większość wolnego czasu, ale też jego sporą część poświęcam na uczenie młodzieży posługiwania się komputerem i korzystania z Sieci. Mam wielu przyjaciół, zaufanie rodziców i parafian i nagle ktoś chce to wszystko zniszczyć. Proszę zobaczyć, moja skrzynka jest przeładowana, a zatrzymałem to tylko dlatego, żeby pan mógł sobie obejrzeć.

Bartek otwierał kolejne maile — wszystkie były na ten sam temat: jedna dziewczynka, dwóch chłopczyków z wujkiem, trzy dziewczynki i on jeden albo ona jedna i ich szczęście. Na deser była dziewczynka z pieskiem i dwóch ośmiolatków z jednym łysym pięćdziesięciolatkiem.

— Proszę sobie wyobrazić, gdyby ktoś to zobaczył... — Ksiądz miał łzy w oczach, a Bartek nawet nie chciał sobie wyobrazić uciechy młodych dziennikarek, że oto złapały jeszcze jednego czarnego z ręką w nie swoim rozporoku. — Zgłosiłem to na policji, ale zareagowali niezbyt entuzjastycznie, odsyłali mnie od Annasza do Kajfasza, wreszcie kazali czekać. A ja nie mogę pracować, spać i tylko myślę, kiedy bomba wybuchnie. Bo przecież ktoś to robi w jakimś celu, nie dla zabawy. Jeden z policjantów podał mi na korytarzu pańskie nazwisko. Może pan mi pomóc?

— Nie tylko mogę, ale dodam: proszę już przestać się martwić. Jak często następuje atak?

— Różnie, co kilka dni. — Proboszcz wciąż nie wyglądał na pocieszonego.

— No to za kilka dni będzie ksiądz miał problem z głową. — Bartka nagle ogarnął stan podobny do euforii: rozpierała go żądza działania, pewność siebie profesjonalisty. — To nawet nie jest trudne, tylko kłopotliwe. — Przerwał grzebanie we flakach komputera, rozejrzał się po pokoiku trzy na trzy. — Ktoś będzie musiał tu siedzieć przez cały czas. Jeżeli w nocy nic się nie dzie-

je, to może ksiądz spać we własnym łóżku, ale od rana musi ktoś tu być. Trzeba go będzie karmić.

— Niech siedzi, ile potrzebuje, tylko czy... potrafi zachować dyskrecję?

— Potrafi. To zawodowi hakerzy, bo muszą wtajemniczyć dwóch, z tym że ten drugi zostanie u siebie. Nie raz już współpracowaliśmy i nie będzie dla nich sensacją treść tych maili, a jedynie przebiegłość dowcipnisa. Zgadza się ksiądz?

— Nie mam przecież wyjścia. Mam nadzieję, że pan wie, co robi. — Jego wątpliwości mogłyby urazić kogoś bardziej ambitnego, lecz Bartek wiedział, że wypływają z lęku, długotrwałego stresu i olania przez policję.

— Doświadczenie podpowiada mi, że żaden zawodowiec nie marnowałby umiejętności na stresowanie księdza. Stawiam na któregoś z parafian.

Bartek zadzwonił do swojej młodzieży i opowiedział w skrócie, co będą robić.

— Z tego co widzę, facet podłącza twardego w kawiarniach internetowych i myśli, że jest nieuchwytny — rozmawiali we trzech równocześnie. — Luka niech przyjedzie tutaj i zastawia pułapki, a ty, Bojo, będziesz go asekurował, gdyby „listonosz” był na tyle dobry, żeby zorientować się, że go namierzamy. Ja tradycyjnie będę krążył po mieście. — Jeszcze raz Bartek zajrzał do flaków komputera. — Z tego co widzę, to jest jedna okolica: Ursynów, Sadyba, Wilanów, raz Gocław, może odwiedzał chorą ciocię. Aha, Bojo, ksiądz był na policji. Spróbuj się zorientować, czy nie pelengują go teraz bez jego wiedzy, żeby pozalać własne interesy. Jeżeli tak, to jak skończymy, pozwolę ci pożartować sobie z nimi.

Bartek odebrał z warsztatu samochód i przez dwa dni objechał większość kawiarni internetowych na Mokotowie. Porozumiał się z właścicielami, badając ich stosunek do zabaw tajemniczego „listonosza”. Pozbierał numery komórek młodych ludzi

przesiadujących tam całymi dniami i rozdzielających komputery klientom. Atak nastąpił trzeciego dnia około południa z ulicy Grójeckiej.

Bartek podjechał tam tak szybko, jak mógł. Nie tracąc czasu na parkowanie zostawił samochód z włączonymi światłami awaryjnymi. Wbiegł do środka, przyglądając się po drodze ludziom, którzy go mijali. W kawiarence dał dziewczynie za ladą swoją wizytówkę i wytłumaczył, o co chodzi.

— Niemożliwe! — zdumiała się. — To taki miły starszy pan. Mówił, że chce ściągnąć jakiś film oświatowy dla klubu seniora. — Stanęli przy monitorze, z którego korzystał. — Ale uwinął się w kilka minut, wyszedł dosłownie przed chwilą. Powiedział, że chyba zapomniał zgasić gaz pod zupą.

Bartek poprosił ją, by wyrzała z nim na zewnątrz, może miły starszy pan jeszcze kręci się w pobliżu.

— Niższy od pana, koło sześćdziesiątki, trochę grubszy i łysy z przodu. Niebieska koszula z krótkimi rękawami i zwykłe ciemne spodnie, chyba sandały — mówiła, gdy rozglądali się po ulicy. — Taki typowy emeryt, nawet miał plastikową torbę z zakupami.

Bartek zostawił ją i poszedł w stronę skrzyżowania z Bitwy Warszawskiej. Na Mokotów tramwaje stąd nie jeżdżą, ale oglądał mijane przystanki. Jeżeli bisurman przyjechał tu tylko po to, żeby załatwić sprawę, powinien wracać jednym z dwóch autobusów z przystanku pod bazarem. Jeżeli był szczęśliwym posiadaczem czterech kółek — w końcu nie każdy emeryt musi jeździć tramwajami — lub wcisnął się w bazarowe alejki, nie uda się go wypatrzeć. Poza tym Bartek musiał zabrać samochód z ulicy, zanim zablokuje pół Warszawy.

Przez dwa dni nic się nie działo. Luka przybierał na wadze na księżowskim wikcie, a Bartek cierpliwie poszerzał swoją sieć. Którejś nocy Bojo odkrył, że maile księdza są przeglądane,

prawdopodobnie przez policję. Bartek akurat znowu przyciskał proboszcza, żeby jednak spróbował przypomnieć sobie jakiś konflikt ze swojego bezgrzesznego życia, kiedy usłyszeli dzwonek domofonu.

— Policja — ucieszył się ksiądz wpuszczając ich.

— Luka, idź z tym ciastem do kuchni — polecił Bartek. Miał przeczucie, że nie przyszli im gratulować obywatelskich działań. Zajął miejsce Luki przy komputerze.

Było ich dwoje, jak w telewizyjnym serialu. Ksiądz przyjął ich ufnie, przeprasząc za ciasnotę i przedstawiając Bartka, zanim zdążyli tego zażądać.

— Poproszę o jakiś dokument tożsamości.

Bartek podał mu dowód osobisty razem z wizytówką.

— Jaki jest powód pańskiej obecności tutaj?

— Studiujemy sobie z księdzem Matsuo Bashó w oryginale. Ćwiczymy liczenie sylab. Wie pan, że naprawdę nazywał się Matsuo Munefusa?

— Państwo w sprawie mojego zgłoszenia? — wciąż cieszył się proboszcz.

— Niech zgadnę — dla Bartka było już jasne, że nie przyjechali po to, żeby pomagać. — Przyszliście poinformować księdza, że bez jego wiedzy siedzicie w jego komputerze, prawda? Przyszliście go przeprosić, okazać zezwolenie prokuratora i zapewnić, że jesteście już na tropie sprawców.

— Przez takich jak pan nie możemy łapać przestępców — zaperzył się twardziel.

— A kogóż to łapiesz w tej chwili, durniu? — roześmiał się Bartek. — Dlaczego nie przyjęliście od księdza zgłoszenia?

— Bo już było zgłoszenie — wyrwało się policjantce. Zamilkli od razu, ale łatwo było zrozumieć resztę.

— No tak, ten życzliwy zdążył już nadać wam księdza...

— Pan niszczy naszą wielomiesięczną pracę! — skamlała komisarka. — Przez pana...

— No to aresztuj mnie.

Ksiądz przysłuchiwał się im, kręcąc głową od jednego do drugiego jak na meczu tenisowym. Żeby znaleźć wyjście z impasu, Bartek opowiedział im, co się naprawdę dzieje.

— Mieście na tyle rozumu, żeby przyjąć od księdza oficjalne zgłoszenie o przestępstwie — zakończył. — Musi być jednoznacznie pokrzywdzony, a nie podejrzany. A kiedy za parę dni przywożę wam sprawcę, aresztujecie go i wystąpicie o podwyżkę. Zgoda?

— Moglibyśmy pana oskarżyć... — Dziewczynie chyba za bardzo imponował testosteron.

— Daj spokój — przerwał jej kolega. — Załatwmy to jak najszybciej.

Akcja ruszyła następnego dnia: „listonosz” atakował ze służewskiego blokowiska. Bartek miał już numer komórki właściciela punktu.

— Emeryt? Łysiejący?

— Zaczekaj... Jest, faktycznie starszy gość.

— Gdyby miał ci uciec, powal go na ziemię i trzymaj do mojego przyjazdu.

— Kurczę, a jak coś mu się stanie?

— Nic mu nie będzie. To tylko parę minut. — Bartek jechał już Waryńskiego. — Jak cię zmienię, znikniesz, biorę wszystko na siebie. Uwierz mi, to naprawdę cwany skurczybyk.

— Ma broń?

— Przestań, czegoś się najarał? Ma twardziela pełnego pornografii. Zrobisz dobry uczynek.

— Oho, gość się zbiera.

— Dobrze. Pozamykaj na chwilę, co musisz, i wyjdź przed nim. Jestem już na Puławskiej. Naprawdę będę za parę minut.

— A jeżeli wsiądzie do samochodu?

— To rozbij mu szybę, zabierz kluczyki. Nie stękaj. Jesteście na ulicy?

— Idziemy Wałbrzyską w stronę metra. O cholera, w metrze nie działają komórki!

— To go przewróć na schodach. Nie bój się, już do was skręcam.

Bartek przejechał jeszcze kilka przecznic i stanął przy zejściu do metra. Wyskoczył z samochodu, rozejrzał się. Na wprost niego szedł łysiejący staruszek w niebieskiej koszuli z krótkim rękawem i reklamówką w ręce. Sześćdziesiątkę to on skończył już dawno. Tuż za nim rozpaczliwie wskazywał go paluchem chłopak od Internetu.

— To ten? — zapytał Bartek do komórki, też pokazując go palcem. Chłopak kiwnął wiele razy głową, żeby nie było wątpliwości, rozłączył się i uciekł. „Listonosz” zatrzymał się niepewnie.

— Słucham?

— Do ucha ci nadmucham. — Bartek złapał go za ramię i pociągnął do samochodu.

— Co... co...?! — zaskowyczał starszy pan.

— W piździe dno.

Bartek otworzył drzwi, wepchnął go do środka, przeskoczył nad maską i też wsiadł. Wcisnął centralny zamek. Silnik mruczał cichutko, szumiała klimatyzacja, z radia koił VI kwartet Bartoka. Na zewnątrz matki śpieszyły gotować dzieciom strawę, ojcowie pracowali, żeby zapewnić im byt, społeczeństwo budowało pokój. „Listonosz” przyglądał się Bartkowi, nie oparł się też, by nie obejrzeć wnętrza samochodu.

— Ja już cię gdzieś widziałem — nerwowo głąskał przed sobą skórzaną tapicerkę, lecz w jego głosie nie było strachu. I to tykanie, z jakąś dziwną wyższością. Bartek skądś znał ten ton. — No tak, parę dni temu kręciłeś się jak kot z pęcherzem pod bazarem na Banacha. To już wtedy mnie szukałeś? — zdziwił się.

Ruszyli. Za dominikanami Bartek skręcił w Wilanowską i pojechał na Konstancin. Nic nie mówili. Bartek starał się od-

czytać coś z wyrazu twarzy emeryta, nie rozumiał jego całkowitego braku strachu. I tych spojrzeń. Ciekawość? To było coś więcej. Może był nienormalny, ale... Złośliwość! To było takie judzenie w tonie i spojrzeniu. I Bartek przypomniał sobie, skąd to zna: tak odzywają się milicjanci w polskich filmach o tamtych latach. Możemy cię zamknąć, zgnoić, rozstrzelać, zerznąć, możemy zrobić z tobą wszystko, co nam się spodoba. Ten facet jest byłym milicjantem?!

W Jeziornej skręcił w stronę Wisły. Po paru minutach otaczały ich tylko pola i chaszcze, potem już same chaszcze. Zatrzymał samochód przy wale przeciwpowodziowym, zgasił silnik, wysiadł. Otworzył drzwi pasażera i czekał, aż „listonosz” sam wyjdzie.

— Co ty kombinujesz? — Nie zamierzał wsiąść, więc Bartek złapał go za ramię i wyciągnął. — Nawet nie wiesz, w co się pakujesz! — emeryt drugą ręką przyciskał do piersi reklamówkę.

Bartek wciągnął go pochyłą dróżką na wał, potem popychając sprowadził w dół na drugą stronę. Stanęli na skarpie: pod nimi silnym prądem rwała rzeka, otaczały ich jedynie krzaki i olszyny. Bartek wyrwał mu siatkę i rzucił na ziemię. Z tylnej kieszeni spodni wyjął mu portfel, z bocznych klucze na kółku i pudełko amlopinu. Z reklamówki wysypał chleb graham, margarynę, dwie cebule, kabel USB i twardy dysk zewnętrzny o pojemności 250 giga. Staruszek przyglądał się tym poczynaniom bez protestu, wciąż z tą cudaczną, radosną złośliwością. Bartek obejrzał portfel. Dowód osobisty na nazwisko Henryk Parciola, prawo jazdy, dowód rejestracyjny dziesięcioletniego fiata 126p, mnóstwo pozapisywanych karteluszków, jeden mniejszy od drugiego, i legitymacja ORMO w twardych okładkach, z ostatnim stemplem z 1990 roku.

— ORMO? — Bartek coś tam kojarzył, ale słabo. — Ochotnicza Rezerwa Milicji Obywatelskiej? — czytał. — Co to jest?

— To prawdziwi Polacy.

Choć ta deklaracja brzmiała dumnie, wypowiedziana została z niepokojem. Ormowiec patrzył na manewry Bartka z legitymacją, a jego ręce odruchowo wyciągały się w jego stronę, jakby chciał odebrać mu coś, co mógłby zepsuć.

— Ale ORMO już nie ma — zauważył Bartek, aczkolwiek przez chwilę sam nie miał co do tego pewności.

— Bo wszystko zniszczyli żydzi. — Parcioła wciąż patrzył na jego ręce.

Z głębin pamięci Bartek wyciągał i kojarzył fragmenty najnowszej historii, lecz cały czas coś mu tu zgrzytało.

— Jeżeli wszystkiemu winni są żydzi, to czemu przyczepiłeś się do księdza?

— Kler to też żydzi. Gdzie mogą lepiej się zamaskować?

— A prałat Jankowski? — Bartek zdziwił się szczerze. Czyżby nie był na bieżąco?

— Żyd.

— Radio Maryja?

— Wszystko żydzi.

— A Giertych?

— Giertych?... — zawahał się. — Giertych zawsze rozumiał, że bez Związku Radzieckiego nie ma wolnej Polski. Tak, Giertych może być prawdziwym Polakiem. Jeżeli nie zaprzeda się żydom. — Jego wzrok wciąż jak przyklejony śledził małe okładki w Bartka rękach.

No cóż. Bartek raz jeszcze przyjrzał się historycznej pamiętce, potem przedarł ją na pół i wrzucił w rwący nurt rzeki. Staruszek zawył i padł na kolana na skraju skarpy. Bartek podszedł i kopnął go.

— Skacz! — Miał nadzieję, że nikt tego nie widzi.

— Coś ty zrobił, coś ty zrobił?! — powtarzał z rozpaczą starzec na kolanach, patrząc, jak Wisła unosi jego skarb.

Bartek popchnął go nogą. Parcioła wrzasnął i zleciał ze skarpy czepiając się krzaków. Na dole rosło sporo badzewia, żeby miał się czego złapać i nie dał się porwać prądowi rzeki, a Bar-

tek zadał sobie pytanie, czy skoczyłby go ratować, gdyby mu się nie udało.

— Nie umiem pływać! — darł się przerażony emeryt.

— To giń, kanalio! — Bartek przykucnął nad nim. — Wiem, że nigdy nie przyznasz się do tego, co zrobiłeś, więc oto gniew Boży wymierza ci sprawiedliwość.

— On zabrał mi żonę! — staruszek już nie krzyczał, ale charczał, tracił siły. Bartek położył się na samym brzegu, złapał go za fraki i wyciągnął. Patriota-idiota leżał mokry, malutki i bledy, trzymając się za serce. Ale jego ormowska wyższość utopiła się, *quod erat demonstrandum*.

— Co ty pieprzysz, matole, jak ksiądz mógł zabrać ci żonę? — Bartek stanął nad nim, prezentując gotowość do powtórzenia eksperymentu.

— Zostawiła mnie — rozplakał się starzec — zostawiła mnie przez niego.

Bartek podniósł z ziemi jego tabletki i podał mu. Emeryt pokręcił głową.

— Już brałem rano. Teraz dopiero wieczorem. Mam przy sobie, bo byłem w aptece, ale tego nie bierze się na zawołanie, tylko...

— Co z tą żoną? — Bartek nie miał zamiaru wysłuchiwać historii jego choroby.

Ormowiec pochlupał jeszcze trochę, wyrównał oddech. Bartek złapał go za ramiona i posadził opartego o drzewo.

— Najpierw mówiła, że to przeze mnie syn nas nie odwiedza — staruszek wytarł łzy rękami. — Potem że nie chce żyć bez miłości. I cały czas chodziła do tego kościoła, a jak wracała, to wciąż mi powtarzała, że wczoraj ksiądz powiedział to, a dzisiaj tamto. I w końcu wyprowadziła się do siostry, jak tylko tamta owdowiała.

— Skąd znasz się na komputerach?

— Nauczyłem się od syna, jak jeszcze z nami mieszkał.

— A skąd masz pornografię?

— Od kolegi, on ma s e k s-s z o p a.

No i proszę, pomyślał Bartek, czyż zwykle ludzkie życie nie jest warte greckiej tragedii?

— Nie lepiej było pochodzić z żoną do kościoła? Ile lat życia jeszcze ci zostało? Paryż wart był mszy, mógłbyś to zastosować do swojego małżeństwa. I nie żreć się z synem. Nie wołałbyś ich przeprosić? Porozmawiaj z księdzem, może wycofa skargę.

— Przecież to żyd.

— W takim razie powiem ci, co zrobimy. — Bartek chciał jak najszybciej stamtąd odjechać. — Zawiozę cię na policję, a ty opowiesz im o wszystkim, co namotałeś. Jako koledzy powinni cię zrozumieć — dodał trochę bez sensu, choć może właśnie dlatego mogło to do niego dotrzeć. — Jeżeli zaczniesz się wykręcać, przywiozę cię tutaj jeszcze raz i spuszczę z wodą.

— Nie mam po co żyć — wymamrotał starzec.

Bartek wołał się nie zastanawiać, czy dotyczyło to jego rodziny czy utraconej ormowskiej legitymacji.

Wydzwonił telewizyjnych komisarzy i zawiózł im Otella z postkomunistycznym kompleksem. Opowiedział im, co Parciola wymyślił, oświadczył też, że wie, iż każdy sąd wypuści go od razu. Trzeba jednak, by zrozumiał, że się stoczył, że stał się przestępcą. Powinien trochę posiedzieć, zaliczą mu to później na poczet kary. Dużo na niego nie było, ale można zacząć od posiadania i rozpowszechniania pornografii dziecięcej, dołożyć zniesławienie i fałszywe oskarżenie. Policjanci mieli prokuratora, który to podpisze, choć po znalezieniu adwokata stara gnida i tak wyjdzie ze względu na wiek i stan zdrowia.

Dzień pracy zbliżał się do fajrantu.

Jeszcze przez komórkę Bartek zwolnił swoich hakerów, przy czym kazał Luce wyczyścić przedtem komputer księdza tak, żeby nie został nawet ślad po osiągnięciach socjalistycznego człowieka. Uzgodnił wcześniej z komisarzami, że ksiądz nie musi trzymać u siebie tak wybuchowego materiału dowodowego

— mieli pełnego romansów soula ormowca, mieli Bartka, Luke i Boja jako świadków. Zasugerował dziewczynie, by podczas przesłuchań spróbowała namówić starego durnia do kupienia kwiatów żonie i pogodzenia się z synem.

Pojechał na Ursynów i opowiedział proboszczowi, komu zawdzięcza swoje nieprzespane noce. Oczywiście duchowny nie kojarzył ani osoby, ani nazwiska. To już nie te czasy, kiedy księża znali swoich parafian osobiście, tłumaczył się zakłopotany. Nie pomaga nawet chodzenie po kolędzie. On i tak wychodzi do ludzi, stara się ściągać do swojej świetlicy dzieciaki z podwórek. Starsze już się nauczyły wyśmiewać go i lekceważyć. A rodzice tradycyjnie nie mają na nic czasu.

— Niech pan sam powie... — Stres mijał, za to kumulowało się poczucie zaplątania, udziału w winie. — Jak można nie mieć czasu dla własnych dzieci?

— Z lenistwa. Z ignorancji i chamstwa oczywiście również, ale głównie z lenistwa. Przecież ja muszę żyć, pracować, robić karierę, przecież to właśnie dla dziecka! Od wychowania ma być szkoła, kościół, a pilnować tego powinno państwo. Ja też mam prawo wypić, zabawić się, mieć trochę spokoju we własnym domu! Przecież tak ciężko pracuję!

— Pan ma dzieci?

— Nie. — Bartek pomyślał o dzieciach Anny.

— A rodziców?

— Maaam... jak każdy. Ale nie utrzymujemy kontaktów.

— Co też pan opowiada? — proboszcz załamał rękę.

— Ojciec jest lekarzem, naukowcem gdzieś w Stanach. Nie przypominam sobie nawet jednego osobistego pytania, które by mi zadał w dzieciństwie. Kiedy rozchodzili się z matką i to ona poszła z domu, zamknął się w swoim pokoju, pił i nie wychodził przez kilka dni. Nie wiem, co tam jadł, ale ja chodziłem głodny, dopóki matka mnie nie zabrała. Parę razy próbowałem zwrócić na siebie jego uwagę, ale byłem chyba jak powietrze, w ogóle mnie nie zauważał. Biedny tatuś musiał strasznie cierpieć, praw-

da? Matka niedługo potem znalazła sobie kogoś jeszcze lepszego, mieszkaliśmy już w Anglii, a kiedy powiedziałem, że nie chcę znowu zmieniać kraju, zostawiła mnie na ulicy. Naprawdę. Dom był już sprzedany, a ona stwierdziła, że ją obraziłem. I wyjechała. Nie widziałem ich już... niech policzę... ojca dwadzieścia cztery lata, a matki dwadzieścia dwa.

Ksiądz wyglądał, jakby nie mógł wydobyć z siebie słowa. Bartek uśmiechnął się na znak, że to już go nie rusza, że nie należy do tych trzydziestoparolatków, którzy wciąż obwiniają o wszystko rodziców. Przypomniał sobie, że już raz opowiadał tę historię jednej pani z opieki społecznej w Londynie, która bardzo chciała, żeby skończył szkołę średnią. Powiedziała wtedy, że Bartek jest jak chodząca bomba zegarowa.

No cóż, i tak nie miał zamiaru jechać do Malagi, usiąść w jakimś barze na Calle Quilla i obserwować wejścia domu numer pięć. Nic go to nie obchodziło.

— Może łatwiej będzie teraz księdzu zrozumieć moją sprawę — wciąż uśmiechał się do niego. — Potrzebuję cudu zmarłych. Trochę już ksiądz mnie poznał, więc odłóżmy na razie kwestię, czy zwariowałem czy nie, zapewniam też, że nie jest moim zamiarem bluźnić. Chcę, żeby zmarła osoba zmarłych powstała, i traktuję to bardzo poważnie.

— Niepotrzebnie robi pan te wszystkie zastrzeżenia. Pańskie pragnienie jest zupełnie zrozumiałe.

Bartek musiał przyznać, że nie tego się spodziewał. Raczej kłótni, walki, zrządzenia ze schodów w najgorszym wypadku, w najlepszym zbycia okolicznościową formułką. Czyżby pozwolił tracić nadzieję? Czas upływał, trumna gniła, a on wciąż był w lesie. Nazwanie jego żądania rozsądnym przekroczyło oczekiwania, poczuł się jak petent, który trafił wreszcie do właściwego okienka.

— Czy pan jest ochrzczony?

— Nie wiem. — A jednak trudności. — Czy to ma jakieś znaczenie?

— Podstawowe! — zdumiał się proboszcz. — Czy osoba, która zmarła, była ochrzczona?

— Też nie wiem. — Początkowa radość rozmywała się w formalnościach. — Chował ją ksiądz, więc pewnie była.

— A pan nie pamięta swoich rodziców chrzestnych? Rozmowy na ten temat?

— Nie, chyba nikogo takiego nie było. Nigdy nie chodziłem do kościoła.

— To od razu panu powiem, że od tego będziemy musieli zacząć. Czy znane jest panu pojęcie historii zbawienia?

— Jeżeli znaczy coś więcej niż same słowa, które słyszę, to raczej nie.

— To termin na określenie zamysłu Bożego, planu wypełniającego się w czasie konkretnymi etapami od momentu stworzenia człowieka. Najważniejszym punktem tego planu było przybycie Chrystusa i powołanie społeczności Kościoła, w którym każdy może znaleźć nowe życie, dostąpić zmartwychwstania i w końcu życia wiecznego. Pana potrzeba zmartwychwstania ukochanej osoby jest jeszcze jednym dowodem na to, że życie ludzkie domaga się wypełnienia, a marzenie człowieka o samowystarczalności jest tylko złudzeniem, megalomańskim urojeniem.

Bartek wcale nie czuł się pocieszony.

— Ale to oznacza, że do końca swoich dni tu, na ziemi, już nie zobaczą się z Kasią.

— Dlaczego? Są miejsca w Polsce i na całym świecie, gdzie może pan się udać i błagać o cud. Nigdzie nie jest powiedziane, że pan go nie dostąpi, wręcz przeciwnie, wiele osób codziennie go doznaje. Kościół tego nie wyklucza. Może pan też skierować się do ludzi, którzy twierdzą, że są w stanie przywołać zmarłych, okazywać bliskim ich wizerunki. To jest właśnie pana wolna wola. Ale ponieważ przyszedł pan do mnie po radę, udzielię jej panu najprostszymi słowami, jakimi potrafię. Pana spotkanie z Kasią zależy tylko od pana osobistego stosunku do

Chrystusa. Czy będzie pan twierdził, że był to fajny ziomal, którego załatwili dwa tysiące lat temu, czy też uwierzy pan, że Bóg zrealizował w Nim absolutne dobro każdego człowieka. Że stworzył panu warunki, w których może pan dorosnąć do pełnego człowieczeństwa. I że pokonał śmierć po to, aby pan miał pewność, że Kasia żyje i że pan ją spotka.

Było już ciemno, kiedy Bartek wyszedł od księdza. Wieczór był ciepły, pachnący wielkim miastem, na krótkiej drodze do samochodu minęły go trzy zakochane pary. Wrócił do Śródmieścia, odstawił bristola na parking. W Tokaju kupił trzy czwarte luksusowej. W domu z szafy pancерnej wyjął magnum Śledzia. Zajrzał do magazynka — osiem nabożów wciąż tkwiło na swoich miejscach. Wprawdzie nie czyścił go, odkąd rewolwer trafił w jego ręce, ale nie miał wątpliwości, że nie trzeba będzie wzywać karetki na ratunek. Kaliber 0.357 nie zostawia pola do popisu nawet najzdolniejszemu chirurgowi.

Bartek usiadł na kanapie, nalał sobie szklanę ciepłej wódki, wypił. Sprawilo mu to dużą przyjemność. Normalnie wolałby ją z zamrażarki, ale dzisiaj ta jej temperatura zawierała w sobie jakąś ostateczność, polską męskość, heroiczny gest. Zimna to będzie w zimie. Lubił smak wódki i nie przeszkadzały mu sezonowe niedogodności. Uniósł rewolwer do twarzy. Miał nieprzyjemny zapach mechanika z warsztatu samochodowego. Wylał łufę papierowymi chusteczkami, dokładnie, kilkakrotnie. Odłożył na stolik, nalał jeszcze jedną szklanę wódki, wypił. Pooddychał trochę, podniósł rewolwer. Kończ waść, wstydu oszczędź! Trzeba to robić szybko, bez kombinowania. Odbezpieczył i włożył łufę do ust.

ROZDZIAŁ XIV

Rozległ się dzwonek do drzwi. Mój Bóg nie miał dla mnie litości.

Czar prysł i chociaż dzwonek nie powtarzał się, i tak napiętnował sytuację groteską. Dorosły facet siedzący w fotelu z rozdziawioną japą, żeby mógł się w niej zmieścić kawał śmierdzącego żelastwa. Odłożyłem broń i przycisnąłem głowę do kolan. Chyba nawet parę razy uderzyłem o nie czołem. To wszystko było takie pogmatwane, tak boleśnie nieczytelne. I nie mogłem się z tego w żaden sposób wyzwolić. Dlaczego?!

Dzwonek zaterkotał raz jeszcze. Dopiero teraz zwróciłem uwagę, że nie do takiego dźwięku się przyzwyczaiłem. Moje pracujące koleżanki waliły w guzik różnymi rytmami, wielokrotnie, jak do pożaru. Ktoś obcy, kto się przyplątał, też przyciskał go po to, żeby go usłyszano. Ten dzisiejszy szmer był jakby dzwonkiem nie do końca, jak po prośbie, nieśmiałym i bez nadziei na efekt. Zerwałem się i otworzyłem drzwi silnym szarpnięciem.

Stała w nich Zuza.

— Przyjechałam — wzruszyła ramionami. Jedną łopatkę unosiła wyżej niż drugą. Patrzyła na mnie bez pewności, czy dobrze zrobiła.

— Chodź. — Podniosłem jej torbę, zaprosiłem ruchem głowy. Podeszedłem do stolika, przykryłem rewolwer gazetą i zaniołem do sypialni. Wrzuciłem do pierwszej lepszej szuflady.

— Chciałeś się zabić? — Zuza patrzyła na mnie z ciekawością.

Widocznie miała oczy dookoła głowy. Poza tym gdybym ja zobaczył u kogoś broń na stoliku, wcale nie pomyślałbym najpierw o samobójstwie; w końcu tyłu bandytów dookoła. Ale ona była z Atlantydy i już raz uratowała mnie przed pędzącą ciężarówką.

— Chcesz coś zjeść? — Sam poczułem się głodny. Wciąż przeszkadzała mi w kąciakach oczu wilgotność zaplątana jeszcze we wcześniejszym życiu. — Mogę zadzwonić na Poznańską po pizzę, jest bardzo dobra.

— Zadzwoni. — Rozglądała się po mieszkaniu. Zdążyłem pomyśleć, że czeka mnie wycieczka do Częstochowy i przekonanie jakichś matolów, co jest dobre dla ich córki. A oni będą myśleli tylko o seksie i pewnie wezwą policję. I Zuza znowu wyląduje na ulicy. Ale to jutro, dzisiaj poojcujmy sobie do woli. Akurat była blisko.

— Cieszę się, że przyjechałaś — objąłem ją i przytuliłem całym ciałem. Była taka malutka. Ona też objęła mnie ramionami w pasie i tak postaliśmy sobie chwilę. Pocałowałem ją gdzieś obok noska. — Chcesz się wykąpać, przespać? Pizza zaraz będzie.

— Bueno, hombre. — Czego oni ich w tym ośrodku uczyli, hiszpańskiego? Usiedliśmy na kanapie i półleżąc Zuza opowiadała mi, co tam robili i jak szybko jej się to znudziło. — Nie każdy, kto bierze, musi być od razu uzależniony. Może ja wcale nie jestem?

— O tym przekonamy się bardzo szybko. Tyle że szkoda twojego młodego życia. Nie każdy, kto przychodzi do ośrodka, chce przestać brać. Niektórzy chcą tylko przeczekać kaca. Zamiast słuchać życzliwych ćpunów, powinnaś uwierzyć terapeutom. Jeszcze nie wymyślono nic lepszego od programu dwunastu kroków. Jak coś nowego się pojawi, na pewno dowiemy się o tym.

— Ale tam Bóg Boga Bogiem pogania! Puść się gałązki, a Bozia cię uratuje — przedrzeźniała. — Tam są takie bzdury, nie czytałeś tego.

— Akurat czytałem. I nie pytaj mnie, na czym to polega, ale ten program uratował życie tysiącom takich kalek jak ty w samej tylko Polsce, a milionom na świecie. — Wcinaliśmy kawałki pizzy z owocami morza, popijaliśmy colą. — A jeszcze nie ma nikogo, powtarzam, ani jednego cwaniaka, któremu by się udało przestać bez tego programu. Nul, zero. Więc jeżeli pozwalają ci zrzucić winę na Pana Boga, to widocznie ma to ręce i nogi. On cię w to wpakował, niech On cię teraz wyciąga. Zapewniam cię, że nie trzeba do tego być wierzącym, trzeba tylko na prawdę chcieć przestać. Poznam cię z dziewczyną, która o mało nie umarła w biały dzień, na środku ulicy. I to ona ci powie, że dopóki nie jesteś gotowa zjeść choćby własnego gówna, żeby przestać, to znaczy, że ciągle masz nadzieję na ćpanie bez konsekwencji, bez degrengolady. Wolna wola.

— Moglibyście wymyślić coś mniej obrzydliwego — wstrzymała się z oblizywaniem palców. Czuję, że to nie wszystko, że coś tam jeszcze chowa. Pech, że moje pracujące koleżanki akurat porozjeżdżały się na wakacje. Byłem z tym sam.

— Zuza, ja cię tam na siłę nie wpakuję, leczyc możesz się też chodząc na zajęcia z domu. W Warszawie jest ośrodek w każdej dzielnicy. Naprawdę chodzi tylko o to, czy chcesz.

— I tu też mi powiedzą: przestać brać? Przecież to takie proste. Trzeba tylko zmienić całe swoje życie — znowu kogoś przedrzeźniała.

— Po pierwsze, nawet ja słyszę w tym poczucie humoru, być może wisielcze, ale zawsze. Po drugie, miejże litość i sama powiedz, czy to nie logiczne? Chciałabyś, żeby na zajęcia dowoził cię Buła? A po zajęciach jechałabyś do... co to było, PolimpeXu? — roześmialiśmy się obydwójce. — Nie buntuj się tak. Przynajmniej tam wreszcie nikt nie chce cię wykorzystać.

Spojrziała na mnie szybko i uciekła z oczami. No nie! Tylko znowu nie jakiś „profesor”!

— Zuza, ja wiem, że ty stamtąd zwiłałaś, terapia tak szybko się nie kończy. Zbyt łatwo ulegasz wpływom mężczyzn starszych od siebie. Nie wiem, skąd się to bierze, nie jestem wykształcony. Używają cię jak worka na spermę, a ty godzisz się na to wołając: kto następny? I jeżeli namówił cię do ucieczki jeden z tych popaprańców, to damę słowo, że połamię mu obie ręce i będą mu koledzy wsadzali czopki z heroiną w dupę!

— Widzisz? — zerwała się z kanapy. — Jesteś taki sam jak wszyscy — złapała swoją torbę.

— No nie, tylko mi nie mów, że on tu gdzieś na ciebie czeka. — Ja też zerwałem się z kanapy, stanąłem na drodze do drzwi. — Jak słowo damę, czy ty naprawdę masz mnie za jelenia? Co się dzieje z wami, gówniarzami? Człowiek chciałby wam nieba przychylić, a wam ciągle mało. — Nagle załamałem się. Wróciłem na kanapę. — Chcesz, to idź. — Wyjąłem portfel. — Bierz, czterysta złotych. Możecie się najebać do zesrania — rzuciłem pieniądze na stolik. — Masz już dwóch ojców, po co ci trzeci?

Nalałem sobie wódki, przechyliłem, popiłem colą. Niezły przykład dla młodzieży.

Zuzka stała z torbą w ręce i sapała jak byczek Fernando. Zdążyłem wypić jeszcze jedną porcję, wstałem.

— Idę spać. Rób, co chcesz.

— Ciągle jeszcze potrzebujesz Kryształ z Atlantydy? Zatrzymałem się.

— Nie wiem. Chyba się poddałem.

— Nie możesz się poddać. Nie ty. Czy w tym dwumilionowym mieście znalazłbyś drugą osobę, która wierzyłaby, że można kogoś wskrzesić? Nie. Jesteś jedyny. Nie poddawaj się, a ona wróci do ciebie.

— Znowu robisz z siebie dziwadło, a ja miałem ciężki dzień. Wypiłem prawie pół litra. Muszę to odespać.

Przeszedłem do sypialni. Zdjąłem buty, spodnie i koszulę, walnąłem się na łóżko. Słyszałem, jak Zuza kręci się po domu, rozpinając torbę, bierze prysznic. Usłyszałem, jak zamyka zasuwę. A potem nagle zjawiała się w sypialni. Miała na sobie T-shirt i majtki. Położyła się obok mnie. Objęła mnie ramieniem.

— Zuza, nie chce mi się powtarzać po raz dziesiąty...

— Spróbuj się tylko do mnie dobierać, a nie wyjdiesz z więzienia — przytuliła się mocniej.

Zasnęliśmy.

Obudziłem się pierwszy i chyba dobrze, przynajmniej Zuza nie musiała oglądać mojego namiotu. W ogóle było bardzo wcześnie, bo zapomniałem wieczorem zasłonić okno. Zrobiłem to teraz. Zuza zakręciła się, ale spała dalej. Przykryłem ją, raniem nie było tak gorąco. Zobaczyłem jej buzię — wyglądała na dziesięć lat. Przypomniała mi Jen, która też młodziła podczas snu. Tak to się plecie na tym świecie.

No cóż, kto ma dzieci... Dzieci trzeba przede wszystkim nakarmić. Na swoją łódzkę nie miałem co liczyć. Wziąłem szybki prysznic, ubrałem się i wyszedłem do sklepu. Kupiłem ciemny chleb i chrupiące bułeczki, obwąchałem trzy masła, zanim uznałem, że jedno z nich rzeczywiście odpowiada zachętom wypisanym na opakowaniu. Dołożyłem do koszyka jajka, szynkę, ser, biały ser, szczypiorek, pomidory i ogórki. Wybrałem kilka jogurtów, owocowych i naturalnych. Stałem już w kolejce do kasy, kiedy pomyślałem o obiedzie. Przecież nie będę drugi raz robił zakupów. Nie jestem kucharzem, lecz posypać kawałek wieprza kminkiem, a potem potrzymać go dwie godziny w nagrzanym piekarniku jeszcze potrafię. Pierwszy raz w życiu kupiłem ziemniaki. Surowe. Takie co to trzeba samemu umyć, obrać i ugotować. Zastanawiałem się, jak sobie z tym poradzę, ale już drugi raz dzisiaj przypomniała mi się Jen, która oprócz kochania się i spania najbardziej lubiła gotować, dla mnie. Ona wcale nie obierała ziemniaków, tylko piekła je ze skórką. I bar-

dzo dobrze. Dokupiłem jeszcze dwie kolorowe papryki, oliwę i ocet winny. Młynki z pieprzem i morską solą miałem w domu, tak jak mleko, którego używałem do kawy. Na deser pójdziemy gdzieś na lody, niech się dziecko cieszy.

Już pod drzwiami usłyszałem obcy mojemu gniazdku szczęk oręża barbarzyńców: popową stację radiową rozmiękczejacą mózgi słuchaczy po to, aby wciąż kupowali i kupowali, i kupowali reklamowany fajans, który normalnemu człowiekowi nigdy do niczego nie jest potrzebny. Zuza z dumą prezentowała posprzątaną kuchnię.

— Ta-da! — rozłożyła ramiona jak na scenie. — Zaczęłam od kuchni, bo domyśliłam się, że zaraz będziemy jedli pyszne śniadanko!

— A skąd wiedziałaś, że nie pojechałem na cały dzień ścigać bandytów? — Chciałem być dobrym ojcem, ale przecież ledwo słyszałem własne myśli! Musiałem to ściszyć!

— Bo nie zostawiłbyś na cały dzień głodnego dziecka bez jedzenia. — Nawet nie zwróciła uwagi na moje manewry.

Zjedliśmy jajka na szynce, twarożek ze szczypiorkiem, piliśmy mleko i poprawiliśmy jogurtami. Zuza mówiła dość dużo jak na moje poranne przyzwyczajenia, na szczęście jednak daleko temu było do słowotoku, który uchodził z niej, kiedy była naćpana. Udając, że nie słyszę jej dość dobrze, wyłączyłem radio. Syci przenieśliśmy się z twardych stołków na moją włoską kanapę. Temat istotny pozostawiliśmy tak niedopowiedziany, że nie trzeba było dużo czasu, aby się pojawił.

— Powiedz mi — zacząłem niefrasobliwie — czy to co wtedy mówiłaś na ławce, to rzeczywiście był Platon?

— A to dla ciebie ważne? — wzruszyła ramionami, znowu unosząc jedną łopatkę wyżej.

— Nie aż tak, żeby miało wpływ na nasze relacje. Ciekawi mnie, bo dotyczy ciebie, a poza tym jest ciekawe samo w sobie. Gdybyś mówiła po japońsku, też bym się pytał, gdzie się nauczyłaś.

— Czytałam Platona, bo chciałam dowiedzieć się czegoś o sobie. — Siedziała oparta o bok kanapy, bosa stopy wsunęła pod moje kolana. — Czytałam też inne książki... — przerwała. — Chociaż nie znam angielskiego.

— To znaczy czytałaś po angielsku, chociaż nie znasz języka?

— Tak — kiwnęła głową.

— I rozumiałaś coś?

— Wszystko.

— Cholerka... — Jak się chce mieć dzieci, trzeba je kochać bez warunków wstępnych. — To znaczy, że masz jakieś specjalne zdolności? Na przykład parapsychiczne?

— Dla ciebie są parapsychiczne, dla mnie normalne.

— Bo jesteś z Atlantydy.

— Tak — patrzyła mi prosto w oczy.

— I twój ojciec jest... czy był... tam królem.

— Nazywa się Arkhan. Według waszych wzorów jest kapłanem, mędrce, ale w naszym kraju nie ma nikogo ważniejszego. Dlatego jest też królem.

— A ty jesteś królową.

— Mam na imię Epopteia.

— Jak?

— Epopteia.

— To coś znaczy?

Nie odpowiedziała od razu.

— Tak, ale nie zrozumiesz tego.

— Hm, szkoda. Już drugi raz przerywasz rozmowę twierdząc, że czegoś nie rozumiem.

Znowu pomilczała, pokombinowała.

— W tym świecie, w którym znajdujemy się teraz, podejrzewacie, że musi być coś poza śmiercią, ale to raczej pobożne życzenia. Nie macie ani wiedzy, ani umiejętności, żeby to opowiadać. My to potrafimy. Zresztą była to jedna z przyczyn zagłady Starego Kraju. Każdy chciał mieć dostęp do nieśmiertelno-

ści. Chciwość i egoizm zapomniały o mądrości i umiarkowaniu. Ziemia zagotowała się i pękła.

Nie zniechęcałem się, ponieważ już wcześniej był Platon, miałem już próbki Zuzy „starej malutkiej”.

— Tłumacząc na twój język, epopteia to dar, umiejętność wyzwolenia się z ciała, umiejętność życia poza światem postrzeganym, najwyższy stopień egzystencji, której śmierć już nie dotyczy. Mój ojciec go odkrył, potrafił nim kierować i nadał mi jego imię.

W końcu i mnie zabrakło dowcipu. Znajdowaliśmy się na cienkim lodzie: przecież jeszcze wczoraj o mało nie zbryzgałem ścian swoim mózgiem. Zuza patrzyła na moją minę, a potem wybuchnęła śmiechem, jakby udał się jej psikus. Musiałem mieć się na baczności.

— Jak to się robi?

— Ojej, mogę ci tłumaczyć, ale dla twojej królowny ta wiedza nie jest ci potrzebna. Ty musisz dojść do właściwego stanu, zmierzyć się z przeznaczeniem i poznać swoje prawdziwe imię. Wtedy się spotkacie.

— Zaraz, to znaczy, że ja też mam jakieś imię z twojego świata?

Zuza pochyliła się, przytrzymała moje dłonie w swoich, zamknęła oczy. Poczulem dziwne ciepło płynące z jej rąk i bolesne ukłucie w samo serce.

— Medea — puściła moje ręce, otworzyła oczy i odsunęła się. Zauważyłem na jej czole kropelki potu, których jeszcze przed chwilą nie było.

— Zuziu, ja już domyślam się, że jesteś jakieś sfiksowane medium, cieszę się, ale dlaczego Medea? Po pierwsze to kobieta, a poza tym wiesz chociaż, kto to był?

— Ktoś nie do pokonania.

— To bardzo łagodnie powiedziane. Medea to uosobienie zemsty, zemsty ponad wszystko. Zabiła własne dzieci, żeby ukarać męża zdrajcę. Fakt, może i z nim wygrała, ale naprawdę tak mnie widzisz?

— Przecież sama tego nie wymyśliłam.

— No nie wiem... — Nie chciałem być Medeą. — Czytałaś Platona, mogłaś czytać i Senekę. Uwierz mi, to najbardziej krwawa historia, jaką znam.

— Nie masz dzieci, więc się tak nie przejmuj.

— Mam ciebie. Poza tym jeszcze jedno. Co znaczyło: „dla twojej królowny”?

— Przecież ja nią nie jestem.

— Masz z nią kontakt?

— Kontakt? — skrzywiła się. — Mówiłam ci, że tego nie zrozumiesz. To duchowa komunikacja skończonego z nieskończonym. Łyso ci? To właśnie osiągamy poprzez Wielki Kryształ. Na razie jest dla ciebie niedostępny, ale wiem, że dotrzesz do niego i spotkacie się z Kasią. Chociaż nie będziecie razem.

— Coraz lepiej. Nic tylko palnąć sobie w łeb — doprowadzała mnie do rozpacz. Byłem pewien, że nigdy nie wspomniłem przy niej tego imienia.

— Już próbowałaś — uśmiechnęła się, objęła ramionami swoje patykowate kolana.

— Jest mi bardzo smutno.

Zuza tylko przez krótką chwilę potrafiła usiedzieć w ciszy.

— Opowiem ci o Wielkim Kryształ, chcesz?

Pokiwałem głową. Dowiedziałem się o kamieniach tuaoi, kryształach przekazujących światło. O tym, jak Atlantydzii odkryli, że potrafią one przekazywać energię słoneczną, wreszcie nauczyli się ją gromadzić. Jak ta energia, skupiana i wzmacniana, dawała światło w nocy i młodość starzejącym się ciałom. Jak nauczyli się nie umierać.

— Więc co się stało?

— Było nas coraz więcej, coraz liczniejsi chcieli decydować o sposobach używania Kryształu. Nie chcieli słuchać, że do tego potrzebna jest ogromna wiedza, umiejętności przekazywane z pokolenia na pokolenie. Skierowali energię do wnętrza Ziemi

i stało się — rozdzieliła gwałtownie dłonie, naśladowując wybuch albo rozpad.

— To w jaki sposób można dzisiaj skorzystać z Kryształu, skoro było wielkie bum?

— Arkhan, mój prawdziwy ojciec, widząc, co się święci, zebrał wszystkie energie... hm, wszystkie rodzaje energii w jeden kamień i przechował je. Nauczony doświadczeniem nie udostępni ich dopóty, dopóki wszyscy ludzie nie będą na to gotowi.

— Gdzie on teraz jest?

— Odwał się.

— No dobrze, sformułuję pytanie inaczej. Dlaczego twój wspaniały ojciec pozwala na to, żeby kopał cię jakiś Buła, gwałcili zbrodniecy, żebyś umierała od narkotyków?

— Staralam ci się to już wytłumaczyć. Nie słuchałeś. Ja też muszę zmierzyć się ze swoim przeznaczeniem. Przez trudy dotrzeć do gwiazd. Odkupić winy. Pod tym względem nie różnimy się niczym. Obydwoje jesteśmy ludźmi.

Nie lubiłem, kiedy tak mówiła.

— Ostatnie pytanie. Co powinienem przeczytać, żeby wiedzieć to, co ty wiesz?

Zuza wybuchnęła śmiechem, przerzuciła swoje ciało w moją stronę, usiadła mi na kolanach i mocno się przytuliła.

ROZDZIAŁ XV

Udało się: upieczone mięso może nie wyglądało okazale — mój wieprzek zmniejszył się do rozmiarów gołąbka — ale było bardzo smaczne. Zuza opłukała paprykę, pokroiła razem z pomidorem i ogórkiem. Do oliwy dodała kilka kropel octu i postawiła miskę na stole. Ze zdumieniem patrzyła, jak jem ziemniaka ze skórką — tak nauczyłem się w Anglii. Bawiła się chwilę ze swoim, próbując go obierać i parząc palce, wreszcie też zdecydowała się przyjąć wyspiarskie obyczaje.

— Jak cię tak słucham, to przypominasz mi, że ja też kiedyś obsesyjnie interesowałem się jednym tylko tematem. Byłem mniej więcej w twoim wieku.

— Co to było?

— Pułaski. I tajemnica jego wygnania.

— Pułaski? To piwo.

— Wiem, a Chopin to wódka.

Opowiedziałem Zuzi o swojej pierwszej „sprawie” jako de-tektywa. Jak to w wieku 13 czy 14 lat całymi tygodniami przesiadywałem na Koszykowej w czytelni i studiowałem Konopczyńskiego, osiemnastowieczną prasę oraz mnóstwo innych książek, próbując wyjaśnić, dlaczego o wymienianych jednym tchem obok siebie Kościuszcze i Pułaskim jest tak nierówna wiedza. Dlaczego w encyklopedii o pierwszym jest cała strona i następne siedem odnośników, a życie Pułaskiego w Polsce zajmuje pół linijki.

— W której klasie powinnaś teraz być?

— Nie wiem — chyba zrobiło jej się niewygodnie. —
W drugiej, może pierwszej.

— Wiesz, że trzeba to będzie wyjaśnić — wciąż odkłada-
łem częstochowskie obowiązki. — Uczyłaś się już o Pułaskim?

— Nie.

— Konstytucja 3 maja, rozbiory?

— Byłam chora — też miała poczucie humoru.

— To musi być wstęp — uporządkowałem myśli. — Tyle, że
Polska leży między Niemcami a Rosją, to wiesz, prawda?

— No.

— Przerzucając karty naszej historii, możemy te dwa brat-
nie kraje przyrównać do imadła, które przez ponad tysiąc lat
miało tylko jeden program w swoim zakutym łbie: zmiażdżyć
nas, upokorzyć, podporządkować. Dlaczego tak nas nie lubili, to
już osobna dziedzina nauki, powinna się chyba nazywać „psy-
chiatrizofia”. Może ich kobiety naśmiewały się z nich po no-
cach i stawiały im Polaków za wzór? Nie wiem, w każdym razie
nie lubili nas i już. My staraliśmy się żyć między nimi w miarę
normalnie — muzyczka, gorzałka, dziewczuszki — a od czasu do
czasu spuszczałyśmy im łomot, kiedy myśleli, że już tym razem
musi im się udać. To zmiażdżenie. Wtedy przez jakiś czas lizali
rany aż do następnego głupiego pomysłu i tak dookoła Wojtek.
Ale jak wiesz, z gorzałką różnie bywa i trzysta lat temu wybra-
liśmy sobie Niemca na króla, a jak rano wytrzeźwieliśmy, on już
siedział na tronie i nie pomogły tłumaczenia, że to były tylko
takie żarty przy wódce.

Opowiadałem, jak to Rosjanie nienawidzili Pułaskiego tak
bardzo, że obiecywali góry złota każdemu, kto przyczyni się do
schwywania go lub zabicia. Jak wysyłali na niego armię za armią,
a on tłukł ich tak, że gubili kapcie uciekając. I kiedy zrozumieli,
że nie pokonają go w bitwie, uknuli po szatańsku genialną intry-
gę: postanowili zamordować polskiego króla i obwinąć o to Puła-
skiego. I jak „Trylogia” potwierdziła wszystkie moje odkrycia.

— Czytałaś Sienkiewicza? „Ogniem i mieczem”, „Potop”?

— A to nie był film?

— Był. Kiedy czytałem sceny obrony Jasnej Góry, przecierałem oczy ze zdumienia: ja to przecież znam! Uświadomiłem sobie, że pisarz przeniósł opisy brawurowych walk Pułaskiego z Rosjanami w czasy szwedzkie! Nagle zrozumiałem, skąd pomysł z fałszywym oskarżeniem Kmicica o porwanie króla. Podkreślam: fałszywym. Genialny Sienkiewicz w swojej najlepszej powieści oddał hołd największemu polskiemu bohaterowi, jakiego znał! I potrafił to tak przeprowadzić, że Ruski zgłupiał i puścił.

Był to nasz pierwszy domowy obiad i od tej pory każdy miał być lepszy.

Lubiliśmy przesiadywać na kanapie, gdzie Zuza opowiadała mi o Atlantydzie i jak smerfetkowa encyklopedystka tłumaczyła, co to jest nieświadomość zbiorowa. Nie polubiłem tego mądrzenia się, ale przestałem już w nią wątpić. W zamian opowiadałem jej historię naszych XIX-wiecznych powstań niepodległościowych. Może kiedyś dzięki mnie dostanie w szkole piątkę?

Zawiozłem ją do przychodni odwykowej, gdzie ustaliła szczegóły terapii. Trzymała się świetnie, ja zaś jak każdy rodzic w tej sytuacji oszukiwałem się nadzieją, że może rzeczywiście te narkotyki to była tylko przygoda, a nie śmiertelna choroba. A propos rodziców, Zuza ubłagała mnie, żeby do końca wakacji zostawić sprawy własnemu biegowi. Przyzwyczailem się do niej i nie musiała mnie długo przekonywać. Pracy na razie nie miałem, może ze względu na sezon urlopowy. Dzięki temu łączyliśmy razem do kina i na spacer, zabierałem ją na ogródkowe spektakle i do klubów, oczywiście o rozsądnej porze. Sama jeździła na mityngi i sesje terapeutyczne.

— Ale, ale — przypomniałem sobie kiedyś. Akurat Zuza zmywała po śniadaniu, a ja znowu coś jej opowiadałem, pijąc herbatę. — Żył już w Polsce Atlantyda, czytałem o nim. To był malarz, zmarł bodajże w latach sześćdziesiątych. Nie pamiętam,

jak się nazywał, ale malował właśnie mieszkańców Atlantydy, podobno potrafił się z nimi komunikować.

— Marian Grużewski — rzuciła znad pucowanych talerzy. Mogła równie dobrze powiedzieć Grzegorz Brzęczyszczkiewicz, bo i tak nie pamiętałem jego nazwiska, ale nie miałem wątpliwości, że się nie myli.

Innym razem, gdy znowu wspólnie usiłowaliśmy gotować w kuchni pełnej śmiechu, spróbowałem po raz kolejny poruszyć temat jej rodziny.

— Słyszałem, że masz młodszego brata.

Zuza zastygła w pół gestu, zobaczyłem, że do oczu napłynęły jej łzy. Stała chwilę, jakby mierząc się z nimi, potem odwróciła się i wyszła. W panującej ciszy zdołałem usłyszeć z sypialni jej płacz. Położyłem na mięsie plaster masła, dolałem szklanek wody, ułożyłem obok kilka umytych ziemniaków i wsunąłem tacę do piekarnika. Będzie obiad jak ta lala. W pokoju nastawiłem cichutko Diepenbrocka i wyciągnąłem nogi na kanapie. Mniej więcej w połowie „II hymnu do nocy” Zuza przyszła i usiadła obok mnie. Nic nie mówiąc wtuliła się pod moje ramię.

O Kasi nie zapomniałem. Związek z Zużą jeszcze dokładniej pomieszał mi emocjonalne klocki i moje zagubienie stało się całkowite. Nie wiedziałem, jak miałyby dojść do mojego spotkania z Kryształem, co oznaczały obietnice małej czarodziejki. Jedyne oparcie była rada ursynowskiego księdza, że bym przestał szukać wiary w książkach, a spróbował na kolanach. Dlatego wieczorami klękałem i zagłębiałem się w jakimś rozpaczliwym niebycie, z tym że kiedy wstawałem, wcale nie czułem się lepszy. Za którymś razem uświadomiłem sobie, że ja wciąż na coś czekam, że coś na pewno zaraz się wydarzy. Bo tak w sumie wyglądały te moje modlitwy: niech się stanie, niech wreszcie się stanie. I stało się, wedle starej zasady: uważaj, o co prosisz Boga, bo może ci się spełnić.

Zuza coraz więcej czasu spędzała beze mnie, z nowymi przyjaciółmi. Uważałem, że to całkiem naturalne, zwłaszcza

że wcześniej byłem świadkiem, jak program 12 kroków w niej „zaskoczył”. Znałem to z doświadczenia ze swoimi pracującymi koleżankami i cieszyłem się razem z nią, bo niewątpliwie był to świetny prognostyk. Przestało jej przeszkadzać powtarzanie: „Boże, użyż mi pogody ducha, abym godziła się z tym, czego nie mogę zmienić, odwagi, abym zmieniała to, co potrafię, i mądrości, abym odróżniała jedno od drugiego”. Przy odrobinie pomocy fachowców i przyjaciół powinna mieć już z górki.

W domu opowiadała mi o swojej przemianie, o tym, jak pomagają jej w tym nowi przyjaciele. Zachwycała się różnymi Lulkami, Prinzami, Bajkami, ile to czasu już nie biorą i jak pokochali Pana Boga. Słuchałem i popierałem ją we wszystkim, choć często zgrzytały mi w uszach różne niekonsekwencje. Ale cóż ja, stary jak świat, mogłem mieć do powiedzenia na ten temat rozentuzjasmowanej nastolatce?

Któregoś dnia chciałem ją zaprowadzić na wieczór autorski młodej poetki i postanowiłem odebrać po skończonym mityngu anonimowych narkomanów. Posiedziałem na murku parę minut, a kiedy drzwi się otworzyły i dzieciaki zaczęły wychodzić grupkami, zapalając papierosy, podszedłem w ich stronę. Wiedziałem od Zuzy, że opowiadają sobie na tych spotkaniach o swoim życiu, nie wątpiłem więc, że i o mnie słyszeli od mojej przybranej córeczki. Nie znalazłem jej na zewnątrz. Wszedłem do środka, ale i tam jej nie zobaczyłem. Jeden z młodzieńców składał na stoliku książki i papiery, podszedłem do niego, przedstawiłem się, zapytałem.

— Zuzy dzisiaj nie było. — Wyglądał na niezłego łobuziaka, lecz oczy miał uczciwe. Pogadaliśmy sobie chwilę bez żadnych złych myśli. Podobało mi się wszystko, co mówił.

— To ty jesteś Prinz? — zapytałem przy pożegnaniu.

— Prinz? — zdziwił się.

— Zuza opowiada mi o was trochę. Ale oczywiście nie zdradza, o czym tu mówicie — zastrzegłem z uśmiechem.

— Prinz był na paru spotkaniach, ale nigdy nie przestał brać. — Wyszliśmy razem na zewnątrz. — Przemówiliśmy się, bo tak mi się zdawało, że przychodził tu tylko dla panienek. A że sam kiedyś od niego kupowałem, znam wszystkie chwytły od podszewki.

— Ile on ma lat? — Jeszcze nie bolało.

— Stary épun, ze trzydzieści, nawet więcej. Mieszka z taką drugą aparatką, Basią.

— Bajka?

— Cholera — spojrzał na mnie. — Myśli pan, że ją wyłuskali? Zabiję gada.

— Nie martw się, wyręcę cię, jak zajdzie potrzeba. Gdzie ich znajdę?

— Pojadę z panem. To na Pradze, koło Wschodniego.

— Mów mi Bartek.

— Robert. — Uścisnęliśmy graby dla dopełnienia formalności.

Za Dworcem Wschodnim stoją tak straszne bloki, jakby projektanci konkurowali ze sobą, który z nich zmieści większe miasto w jednym domu. Ale Robert prowadził bez wahania i w końcu stanęliśmy na śmierdzącym lizolem i gnijącymi odpadkami korytarzu chyba setnego piętra, gdzie wiatr hulał w nieszczelnych oknach, a na drzwiach wisiał trzycyfrowy numer. Drzwi miały też trzy zasuw, w dodatku porządne, tak że nie udałoby się zrobić amerykańskiego wejścia. Poruszyłem klamką — zamknięte. Ale w środku grała muzyka.

— Może wolisz teraz zniknąć? — Nie chciałem narobić mu kłopotów.

— Nie boję się.

Robert stanął na wprost judasza i przycisnął dzwonek wielokrotnie, jakimś rytmicznym kodem. Nie przestał, aż usłyszeliśmy szcęk otwieranych zasuw. W ograniczonych łańcuchem uchylonych drzwiach ukazała się sympatyczna, wcale nie zła twarz podstarzałego aniołka.

— Pojebało cię? — Resztę figury ukrywał za drzwiami. Chyba był goły.

— Jego nie. — Odsunąłem Roberta i filmowym kopnięciem rozpląszczyłem gnoja na ścianie.

Weszliśmy do środka, zamknąłem drzwi i przekręciłem zasuwę. Prinz rzeczywiście był goły, siedząc na podłodze trzymał się za szyję i mostek, łapiąc powietrze. W pokoju naga Zuza leżała na wersalce, a jakaś goła baba-jaga klęcząc lizła jej przyrodzenie. Musiała być niezłe naćpana, skoro nie przestała mimo huk. Za to Zuza zerwała się i rzuciła na mnie z pięściami.

— Jak śmiesz mnie śledzić?! — rozdarła się. — Kto ci dał prawo ingerować w moje życie intymne?!

— Bardzo ciekawe życie — wyciągnąłem palec w stronę baby-jagi, która siedząc na podłodze wycierała usta wierzchem dłoni. Była półprzytomna i brzydka jak kupa. — Poza tym przecież nic nie mówię. Wpadłem tylko zabrać cię na wieczór poetycki.

— A do was już w życiu nie przyjdę! — Teraz Zuza wskazywała palcem Roberta. Swoim zwyczajem sapała, stojąc na środku pokoju. Nie krępowala się swoją nagością. — To tak rozumiecie „fundamentalną zasadę anonimowości”?!

— Spadaj, nie jestem twoją matką. — Robert myszkował po pokoju. — Jak chcesz z nimi ćpać, to mnie to lata. Tylko się nie oszukuj. — Przeszedł do kuchni.

— Oni wcale nie biorą! — zaperzyła się Zuzka bez przekonania.

Stałem oparty o futrynę, nie wtrącając się.

— Aleś ty głupia! — Robert pokazał jej znaleziony sprzęt do szprycowania, rzucił go na stół, podszedł do baby-jagi i obejmował jej ramiona.

— Cześć, Gruby. — Klepnęła go w nogę. — Chcesz laskę za towar?

— To stare ślady.

Zukę w końcu odczarowało, Robert nie musiał już odpowiadać. Ubrała majtki i sukienkę, podniosła plecaczek, wsunęła stopy w trampki. Przechodząc obok moja przybrana córka walnęła mnie pięścią w pierś. Bez słowa, mocno, może nawet z całej siły. Podeszła do drzwi, poszarpała się z zasuwą. Wyszła nie rzuciwszy nawet okiem na polegającego misia. Popatrzyliśmy sobie z Robertem w oczy, on pokiwał głową i poszliśmy za nią. Nie odzywaliśmy się czekając na windę, milczeliśmy jadąc na dół. Na parterze Zuza wystartowała nie czekając na nas, więc na ulicy szliśmy kilka metrów za nią. Przeszliśmy tak niezły kawał, aż do Targowej. Tam Zuza w końcu stanęła.

— Przyjdź na mityng — powiedział Robert na pożegnanie.
— Będiesz miała co opowiadać.

Jeszcze raz dzisiaj uścisnęliśmy sobie ręce. Już dawno nie sprawiło mi to takiej przyjemności. Miałem nadzieję, że zdołałem przekazać mu w tym uścisku ogrom swojej wdzięczności. Odwrócił się i poszedł sobie.

— Tylko się do mnie nie odzywaj — zastrzegła Zuza.

W domu nastawiła pop na cały regulator. Po jakimś czasie ściszyłem go, ona znowu podgłośniła, ja znowu ściszyłem i tak jeszcze kilkakrotnie. Nie zamieniliśmy przy tym ani słowa. W końcu ustąpiła, poszła do kuchni. Zobaczyłem, że przygotowuje kolację. Dla dwóch osób! To było zupełnie nowe doświadczenie. Czyżbym właśnie dowiadywał się, co to są ciche dni? Byłem zwyczajnie ciekawy, jak rozwiąże tę sprawę, i okazało się, że prościej, niż dałby radę mój komplikujący wszystko umysł. Zjadła sama, zostawiła resztę na stole i poszła do sypialni, nie rzuciwszy nawet okiem w moją stronę. Zmieniłem program w radiu na dwójkę. Słyszałem, jak Zuza rozmawia przez komórkę, ale nie będę przecież podsłuchiwał!

Mój telefon też zresztą zadzwonił. Dyrektor wolskiej centrali jednego z banków zapraszał mnie na rozmowę w poufnej sprawie. Wiadomo było, że nie będziemy sobie opowia-

dać przez słuchawkę, kto komu robi krzywdę, toteż po prostu umówiliśmy się na następnny dzień, kwadrans po ósmej rano. Zapisałem wszystkie detale, zamówiłem też od razu taksówkę na jutro, na 7.45. Posiedziałem trochę w komputerze, żeby dowiedzieć się czegoś o nowym kliencie. Nie chciało mi się jeść, więc posprzątałem w kuchni, wziąłem prysznic i poszedłem do łóżka. Zuza już spała albo udawała, że śpi. Po raz kolejny pomyślałem, że trzeba będzie coś zrobić z tym naszym wspólnym spaniem, i znowu odłożyłem to na lepsze czasy. Było nam dobrze razem, choć zdawałem sobie sprawę, że każda osoba trzecia miałaby na ten temat wiele do powiedzenia.

Nie leżałem długo, kiedy Zuza obróciła się i objęła mnie ramieniem. Przytuliłem ją mocno, pocałowałem we włosy.

— Chcę porozmawiać — pogłaskałem ją w ciemności. Nie odezwała się, nie poruszyła. — Zuzia, zależy mi na tobie, na twoim życiu, na tym, co się z tobą stanie. Nie śledziłem cię, naprawdę chciałem tylko odebrać cię z mitingu, żebyśmy pojechali na imprezę. Myślałem, że Robert to właśnie Prinz, o którym wciąż opowiadałaś... Nie chcę, żebyś rozkładała się każdemu tylko dlatego, że cię lubi. Nie jesteś już sama na świecie. Dałbym się za ciebie pokrajać. Masz braciszka, którego kochasz. Może chcesz się z nim zobaczyć? — Poczekalem, lecz nie było odpowiedzi. — Możemy tam pojechać, choćby jutro. I tak w końcu będę musiał porozmawiać z twoimi rodzicami. Pomogę ci we wszystkim, daj mi szansę. Powiedz coś.

Ale nie doczekałem się.

Rano zostawiłem ją śpiącą i pojechałem do pracy. W banku podałem strażnikowi nazwisko swoje i dyrektora, z którym byłem umówiony. Po chwili zeszła sekretarka.

— Pan Zborowski? — przyglądała mi się.

— Dzień dobry.

— Pan jest umówiony z dyrektorem Lenkiewiczem?

— Osobiście mnie zaprosił.

— A w jakiej sprawie?

— Obawiam się, że jeżeli sam nie poinformował pani — uśmiechnąłem się — to mnie też wypada zachować dyskrecję.

— Ale ja nie mogę pana wpuścić, dopóki nie dowiem się, o co chodzi — wyprostowała się z wyższością.

Wyjąłem komórkę, odnalazłem numer, z którego Lenkiewicz rozmawiał wczoraj ze mną, przycisnąłem OK.

— No? — ktoś od razu podniósł słuchawkę.

— Moje nazwisko Zborowski...

Słuchawka równie szybko została odłożona.

Sekretarka obserwowała moje manewry ze spokojem. A ja nie chciałem, po prostu nie mogłem przyjąć do wiadomości, że oto właśnie świat jeszcze raz odwrócił się do mnie plecami. Mało było mu Kasi; teraz, śmiejąc się ze mnie w kułak, zabierał mi jeszcze Zuzę.

— Wiem, że to zależy od pani, więc bardzo proszę: chciałbym, żeby dyrektor Lenkiewicz osobiście mi powiedział, że nie umawiał się ze mną — starałem się, by nie brzmiało to rozpaczliwie.

— On pana widzi cały czas — wskazała kamerę pod sufitem.

Podszedł do nas strażnik ze słuchawką w uchu.

— Dyrektor Lenkiewicz osobiście informuje pana, że nie umawiał się z nim — oświadczył i pokazał mi drzwi.

Stałem na ulicy, głęboko oddychając. Wątpiłem, by pośpiech cokolwiek zmienić. Ktoś przyjechał taksówką, zapłacił. Wsiadłem. W samochodzie podłączyłem laptopa do telefonu, sprawdziłem numer oszusta. Jednak Lenkiewicz! Ale aleja Tysiąclecia?... Czy to nie te wczorajsze giganty na Szmulkach? Pod domem kazałem taksówkarzowi zaczekać.

Musiałem otworzyć drzwi kluczem, tak jak je zamknąłem wychodząc — nadzieja umiera ostatnia. Zuzy jednak nie było. Ani jej rzeczy. Gdyby miała dziesięć lat więcej, odczytałbym to

jako: porzućcie wszelką nadzieję. Ale ponieważ była dzieckiem, moim dzieckiem, ten pojebany, bezrozumnie rozpędzony świat znalazł się w kłopotach. Jak wojna, to wojna.

Zabrałem ze sobą walizkę z elektroniką, wróciłem do taksówki i pojechaliśmy na Szmulki. Tam włożyłem komputer do bagażnika i kazałem taksarzowi zamknąć go na klucz. Odnalazłem betonowe wejście, wjechałem windą na górę. Wiatr dalej tam hulał, jakby już była jesień. Przycisnąłem dzwonek. Kulturalnie, krótko. Nikt nie otwierał. Przylepiłem do drzwi niewielki mikrofon w grubej osłonie, założyłem słuchawki. Nawet gdyby w mieszkaniu ktoś wstrzymywał oddech, i tak bym się o tym dowiedział. Usłyszałbym śpiące rybki w akwarium. Pokręciłem przez chwilę potencjometrami i uzyskałem pewność. W środku nikogo nie było.

Wróciłem do taksówki i do domu. Wyklikałem dyrektora Tadeusza Lenkiewicza, miał syna Jakuba, 32 lata. W pewnej instytucji znalazłem jego zdjęcie, nie było wątpliwości: Prinz pochodził z dobrego domu. Pojechałem do przychodni odwykowej i wymusiłem na nich, żeby skontaktowali mnie z Robertem. Pomogli, może dla nich to chleb powszedni? Dobrze, że nie litowali się nade mną, przynajmniej widocznie. Robert pracował, ale mógł spotkać się ze mną naprzeciw Grandu na Kruczej. Wzięliśmy po kawie, usiedliśmy przy oknie. Opowiedziałem o intrydze Prinza i że Zuza zniknęła. Dałem mu swoją wizytówkę wyjawiając, co robię, by zarobić na chleb.

— Byłem już na Tysiąclecia i sprawdziłem: nie ma ich tam.

— Kuźwa — zmartwił się Robert. — Mogli się myknąć z Warszawy. Czy Zuza nie przyjechała tu z kimś? Zanim do nas przyszła?

— Nie wiem. — Przypomniałem sobie, że sam to przez chwilę podejrzewałem. — Pojadę do ośrodka, z którego uciekła.

— Pomyślałem o tym, bo na spotkaniach mówiła takie różne rzeczy... — zawahał się, machnął ręką. — Nie czas na zasady.

Pogadaj w tym ośrodku. Kiedyś przyszedł tu po nią taki jeden. Święty. Nie moja sprawa, ale ja ich wyczuwam. A teraz Prinz...

— O czym ty mówisz do cholery?

— O sekciarzach. Zużę mógł wywabić z ośrodka fachowiec. A wiem, że Prinz zadaje się z nimi. Takie nastolatki to dla nich złote kury.

— Nie pocieszyłeś mnie. — To był eufemizm.

— Tak to już jest z nami narkomanami. Niszczymy nie tylko siebie, ale i wszystkich, którzy nas kochają.

— To przez te komórki! — Byłem zły. — Nie ma już nad wami żadnej kontroli.

— Komórki, Internet — zgodził się. — Coraz trudniej być rodzicami. Ale kontrola nic tu nie pomoże. Siostra chodzi do kościoła na nauki przedmałżeńskie. Śmiech na sali, czysty obciach! Nie mogliby tak przestać ich uczyć, jak się pierdolić z termometrem zamiast k o n d o n a , a wysyłać do fachowców na kursy nietracenia kontaktu z dziećmi? I trzeba by je zdawać raz do roku, tak jak dziecko rośnie, albo szlaban na sakramenty?

Z marszu zabrałem bristolą z parkingu i popułem te dwieście kilometrów. Nigdy nie przyznam się, ile czasu mi to zajęło, ale niewiele. W ośrodku brodaty szef przyjął mnie jak dobrego znajomego, chociaż widzieliśmy się dwa razy w życiu.

— Znalazła się? Chce tu wrócić? — to były jego pierwsze słowa na mój widok.

Zdałem sobie sprawę, że dla nich Zuza zniknęła już dwa tygodnie temu. Wyciągnąłem go do lasu i opowiedziałem pokrótce, co się wydarzyło. Nie był zachwycony.

— Powinieneś zawiadomić rodziców, jak tylko przyjechała. To był duży błąd. Tak my zrobiliśmy po jej ucieczce. Wysłaliśmy listy do rodziny i na policję. Mogłeś mieć spore kłopoty.

— Masz świętą rację. Tylko że to by nic nie zmieniło, jedynie formalnościom stałoby się zadość. — Byłem coraz bardziej zły i nie potrzebowałem pouczenia. — Ten kto ją sobie tutaj upatrzył, znalazłby ją i w Częstochowie.

— Obwiniasz nas? Przecież nie możemy ich więzić — też się zezłościł. — To nie jest ośrodek dla ludzi, którzy ćpają, ale dla tych, którzy chcą przestać ćpać. Uwierz mi, to zasadnicza różnica. Wam wszystkim wydaje się, że jak dzieciak się szprycuje, to można zamknąć go i spokój. Zamknąć na ile? Do usranej śmierci? Jak mi pokażesz narkomana i powiesz: on ćpa, bo ma złego tatusia, to ja ci odpowiem, że nic nie mogę dla niego zrobić. Dopiero jak ten narkoman sam przyjdzie do mnie i powie: chcę przestać ćpać, tylko nie wiem jak, wtedy zrobię dla niego wszystko, co potrafię.

— Zuza chciała przestać.

— Tego nie wiesz. Ja też nie wiem. Wciąż szukała akceptacji poprzez seks, wiedziałaś?

— Tak.

— Spałeś z nią?

— Nie. Chciałem być dobrym tatusiem.

— Ona nawet nie uwodzi, po prostu nie odmawia. Tak jak inni podania ręki. Trudno się z nią dogadać, uwierz mi. Na wszystko ma takie przekombinowane odpowiedzi. To nie znaczy, że ktokolwiek z nas miał zamiar się poddać, wcale nie. Ale nie jest łatwa. Starła się nam wmówić, że nie może żyć bez seksu.

— Przecież to dziecko!

— Ale ja nie jestem jej matką! A poza tym nie idealizuj jej tak. Piętnaście lat z jej doświadczeniem to nie pierwsza komunია. Zgadzam się, że jest dzieckiem. Tylko że teraz ja ci powiem: i co z tego?

Staliśmy w środku obojętnego lasu, a nasza bezradność doprowadzała mnie na skraj rozpacz.

— Co ja mam zrobić? Zależy mi na niej... Naprawdę zżyliśmy się przez te dwa tygodnie.

— Nie rób z siebie idioty, tylko jedź do jej rodziców. Byli tutaj. Jej matka nie jest nawet głupia, po prostu tyle wie o wychowaniu dzieci ile ja o balecie. W dzisiejszych czasach instynkt

nie wystarcza. Ojczyz za wszelką cenę chce ochronić swojego synka nie zdając sobie sprawy, że w ten sposób szykuje mu ten sam los. Typowa rodzina w czterech częściach bez żadnego spoiwa. Wszyscy do leczenia. Ale musisz z nimi porozmawiać. Nie jesteś jej tatusiem.

— Zrobię to, słowo. Na razie powiedz, co z tymi sekciarzami, o których mi mówiono. To prawda, że upatrują sobie ofiary w takich miejscach jak wasze? Ktoś kręcił się koło Zuzy?

— Zmartwiłeś mnie. — To było widać. — Jesteśmy nowym małym ośrodkiem i żadne sygnały na ten temat do mnie nie dotarły. Zaraz pogadamy z resztą ludzi, może ktoś coś zauważył.

Niestety wiele się nie dowiedziałem. Zuza obnosiła się ze swoim puszczaniem i nie zyskała w ośrodku popularności. Nie żeby jej nie lubili, skąd. Po prostu każdy z pacjentów zmagał się z własnymi demonami i nie nabierał się tak łatwo jak ja na trzepotanie rzęsami i króla Atlantydy. Kiedy przyjechali jej rodzice — czyli matka z ojczyzmem — Zuza praktycznie milczała przez cały czas, aż przykro było patrzeć. Chodziła własnymi ścieżkami, przy każdej okazji jechała do miasta i włóczyła się po parku i okolicach, przesiadywała pod kolegiatą lub wchodziła do środka. Ponieważ twierdziła, że szuka „lotosu”, aby kontaktować się ze swoim „starym krajem”, zostawiano ją w spokoju. Nie mieli dużo miejsca, nie mieli praktycznie żadnych funduszy, więc jeżeli ktoś z pacjentów wcale nie chciał naprawdę przestać brać, to im szybciej robił miejsce naprawdę potrzebującym, tym lepiej. Rozumiałem ich „twardą miłość”, sam miałem sceptyczną naturę. Ale ponieważ Zuzia była taka młoda i taka bezbronna, uważałem oczywiście, że mogli postarać się trochę bardziej.

Wracając, dojechałem do jedyńki i stanąłem przed drogowskazem: Warszawa —>, Częstochowa <—. Kiedy zniecierpliwieni brakiem mojego zdecydowania inni kierowcy zaczęli trąbić i omijać mnie, pełen sprzecznych emocji skrzyłem w końcu w lewo.

Część IV

„GŁOŚ TAM, GDZIE BĘDZIESZ, ŻE JUŻ NIE MA BOGÓW”

*Lecz, żeby ci nie było żal
Dziecino ukochana*

ROZDZIAŁ XVI

Częstochowa nigdy nie była moim ulubionym miastem. Wiem, wiem, ma Jasną Górę i patriotyczny złoty medal, ale przecież tak samo nie osiedliłbym się pod Radzyminem tylko dlatego, że Piłsudski uratował tam zachodnią cywilizację. Swoją drogą, nie raz słuchając w Paryżu czy Londynie kawiorowych komunistów pieściłem w sobie myśl, że gdybyśmy akurat w sierpniu 1920 roku mieli gorszy dzień, to wielu Francuzom i niektórym Anglikom łatwiej byłoby pielęgnować swoją miłość do Związunia w ożywczym klimacie Workuty czy podczas zimowego spaceru nad Kołymą.

Na razie co rusz przez otwarte okno pytałem przechodniów o osiedle Kolatorów i — jak kiedyś z innym miejscem w Częstochowie — kierowano mnie w sześć stron świata, jakby czterech było za mało. Mając już tamto doświadczenie, znosiłem dzisiejsze ekstrawagancje częstochowian ze stoickim spokojem, a było to o tyle łatwiejsze, że bristol ma kierownicę z prawej strony. W końcu wjechałem między bloki i bloczki, tak samo straszne jak wszędzie i tak samo powodujące nieodpartą potrzebę manewru gaz-ręczny-obrót i szpula z powrotem. Tak sobie kombinowałem pełen lęku, złości i niechęci, że właśnie z takich osiedli dzieci uciekają w narkotyki. Z tak zwanych blokowisk wychodzą głównie bandyci, natomiast nieletni narkomani i dziecięce

prostytutki przeważnie wracają do mieszkań, gdzie „porządni ludzie siedzą w domu i oglądają telewizję”. Bo patrzące na dorastające dzieci woła kraść i ćpać, niż być takie jak rodzice całymi dniami oglądający z wersalki seriale.

Krążąc osiedlowymi ulicami bezskutecznie starałem się poskromić swoje uprzedzenia, wyhamować nietolerancję. Czarowny mezzosopran pani Malewicz-Madej nucący mi do ucha poezje Poświatowskiej był jak bezpieczna granica, wiza powrotna do domu. Zamykając drzwi samochodu pomyślałem jeszcze, czy ktokolwiek z tych gapiących się na mnie ludzi wiedziałby, że Tadeusz Baird wielkim polskim kompozytorem był? Pewnie gdybym zadał to pytanie głośno, roześmialiby mi się w nos. A potem wytarzaliby mnie w smole i pierzu.

Dzieci wciąż były temu niewinne. Zleciały się do mojego samochodu jak wróbelki do okruszków. Pozwoliłem im go dotykać, usiąść na masce, odpowiedziałem na kilka prostodusznych pytań, poprosiłem o popilnowanie. Obiecałem za to słodczyce, po złotówce od głowy, jeżeli zdołają do mojego powrotu zdecydować wspólnie, co chcą kupić. Nie pytałem o nazwiska czy piętra, gdyby przypadkiem znajdował się wśród nich mały Patryk Gawrysiak, bo takie nazwisko po drugim mężu nosiła teraz matka Zuzy. Zostawiłem dzieci na gorliwej dyskusji, co się opłaca, a co nie, i wszedłem do bloku. Nosa nie zatkałem tylko dlatego, że sam w końcu nie chowałem się na mimrach z mamrami. Wspiąłem się dwa piętra i zapukałem.

Otworzyła natychmiast, jakby na mnie czekała. Jezu, mogłaby być Zuzy starszą siostrą, gdyby nie była tak zaniedbana. Czy ten jej mąż nie ma oczu? I pasa pod ręką? Pewnie tak jak córka umiała czytać w moich myślach, bo jej początkowy strach przeobraził się w zaszczucie dozbrojone agresją i tak staliśmy bez słowa, pozwalając okopać się niechęci.

— Niech pan wejdzie — odsunęła się wreszcie.

— Czy pani umie czytać w myślach? — zacząłem, kiedy usadowiliśmy się na krzesłach w dawno nie odkurzanym pokoju.

— Czy co umiem? — znowu ją przestraszyłem. Chyba jednak nie umiała. To tylko mój wyraz twarzy mówił sam za siebie. — Wiem, kim pan jest, bo w ośrodku opowiadali mi o panu. Że jeździ pan takim zajebistym samochodem. Chodzi o Zużę, nie?

— Wie pani co? Za moich czasów „zajebisty” to było przekleństwo, za które można było dostać od ojca w mordę. I niech tak zostanie.

Musiałem ją nieźle nastraszyć albo przynajmniej wytrącić jej broń, bo skuliła się na swoim krzeselku i wyglądało na to, że będzie płakać.

— Dlaczego jest pan taki agresywny?

— Ja jestem agresywny? — Jeszcze mnie nie znała: dwóch gości gryzących ziemię z mojej ręki, czy warto o tym wspominać?... — Kiedy spotkałem pani piętnastoletnią córkę, była nafaszerowana narkotykami i gwałcona przez nie wiadomo ilu zboczeńców. Potem jeden z nich skopał ją na ulicy, potem o mało nie umarła w biały dzień i na własnych rękach niosłem ją do szpitala. Nie wiem, jakim językiem operowaliście w ośrodku na opisanie tej sytuacji, ale dla mnie jest pani mamusią, która nasrała na własne dziecko, spuściła je z wodą, a teraz siedzi i płacze: o ja nieszczęśliwa, że też to mnie musiało się przytrafić. Gdybym był agresywny, wyciągnąłbym pani to krzesło spod dupy i połamał je na pani. Przepraszam oczywiście, jeżeli czymkolwiek panią uraziłem.

Już na początku mojej przemowy przestała na mnie patrzeć, zaczęła płakać i wykręcać sobie palce, wreszcie wczepiła je w przetłuszczone włosy i oparła głowę na stole.

— Niech pan to robi — wymamrotała.

— Czy wie pani, gdzie jest teraz Zuza?

Nawet nie podniosła głowy, tylko zaszurała nią po stole. To była strata czasu i śliny, zawracanie Wisły kijem. Wstałem nie dotykając krzesła i odwróciłem się do drzwi. Pod wieszakiem leżało na kupie kilka par starych i jeszcze starszych butów, a na półeczce nad podłogą stały osobno dwa prawie nowe adida-

ski. Takie niby dorosłe, ale w dziecięcym rozmiarze. Takie, nad którymi w różnych centrach handlowych można zobaczyć wydziewające stare krowy: ciu, ciu, ciu, ojoj, jakie ślicznie. Te tutaj Patrykowi pewnie wolno było zakładać tylko w niedzielę do kościółka. Po podwórku musiał biegać w starych.

Stałem z zaciśniętymi zębami. Właściwie jak ja chcę pomóc Zuzce? Przecież ani jej nie adoptuję, ani nikt nie pozwoli mi z nią mieszkać i w dodatku spać w jednym łóżku. Moje próby bycia „tatusiem”, a jednocześnie kolegą, bratem łąką, doprowadziły tylko do tego, że teraz znęcali się nad nią następni zbroczeni. Gdyby Gawrysiakowa знаła prawdę, miałyby prawo oskarżyć mnie o to samo, o powrót Zuzy do ćpania i puszczania. Brodacz z ośrodka miał świętą rację: zabrałem się do tego jak ostatni amator, pogwałciłem wszystkie profesjonalne zasady. W dodatku też ją wykorzystywałem, nawet gdybym chciał się tłumaczyć, że chodziło mi tylko — bardzo proszę nie śmiać się ze mnie nieszczęśliwego — o informacje na temat Krysztalu z Atlantydy. Ciskałem kamieniami, a przyjechałem tu z grzechem na karku.

Matka Zuzy musiała słyszeć, że nie wyszedłem, lecz nie zmieniła pozycji.

— Jak pani na imię?

— Marta — powoli podniosła głowę.

— Chcę panią przeprosić. Spróbuję wam pomóc, choć jeszcze nie wiem jak. Ale mam prośbę, już teraz, od razu. Proszę iść się umyć. Błagam, proszę wziąć prysznic i przebrać się z tych dresów. Zaczekam na dole i pojedziemy gdzieś porozmawiać, do kawiarni albo do parku. Proszę nie kazać mi czekać godzinami. Bierze pani jakieś leki? — Ta jej pokora od początku nasuwała mi podejrzenie, że bez antydepresantów nie potrafi zrobić w życiu jednego kroku.

— Nie mogę — pokręciła głowę. — Jestem w ciąży.

Wyszedłem trzasnąwszy drzwiami. Nie przyznam się, co pomyślałem.

Przed blokiem dzieciarnia rzuciła się w moim kierunku, wykrzykując nazwę jakichś słodyczy, o których nigdy nie słyszałem. Dałem im piątkę, pobiegli do sklepu na wyścigi. Otworzyłem samochód, otworzyłem okna, wróciłem do pieśni Bairda. Nie smakowały tak samo jak jeszcze pół godziny temu. Wyjąłem płytę z odtwarzacza i przejrawszy zbiorek wybrałem kompakt z utworami kameralnymi Bargielskiego, Kotońskiego i Serockiego. Miałem nadzieję, że subtelny akordeon i obój solo ułagodzą choć trochę kanty moich emocji i przywrócą cechy niezbędne do współżycia w społeczeństwie.

Po siedemnastu minutach i trzydziestu sekundach, akurat na koniec „Monochromii”, Marta Gawrysiak ukazała się w drzwiach bloku. Miała na sobie bawełnianą sukienkę i dzinsową kurtkę, mokre rozczesane włosy. Była niewiele większa od Zuzy i tak bardzo podobna, że chciałem rozedrzeć się na nią, jak mogła do tego wszystkiego dopuścić. Szła zgarbiona, pasek torebki trzymała w obydwu dłoniach.

Nie patrząc na mnie skierowała się wprost do samochodu, tam zdała sobie sprawę, że siedzenie pasażera jest z drugiej strony, speszzyła się dodatkowo, że jeszcze nie może zniknąć, tylko widoczna jak na scenie musi obejść taki kawał. W normalnych warunkach jako dżentelmen wysiadłbym przecież i otworzył jej drzwi, lecz była dla mnie za szybka. Wsiadła i zastygła bez ruchu ze spuszczonej oczami. Ruszyłem.

— Nie znam Częstochowy, więc proszę poprowadzić mnie do jakiejś dobrej kawiarni. Może być daleko, przywiozę panią z powrotem.

— Nie musi pan, mogę wrócić autobusem. — Wciąż patrzyła w podłogę.

— Boże, dziewczyno, pozbieraj się trochę i wyjrzyj chociaż, gdzie jedziemy. I mów mi na ty, mam na imię Bartek. Przepraszam, że tak zacząłem. — Coś mnie tknęło. — A może jesteś głodna?

— Nie, skądże — zaprzeczyła słabo.

— No to prowadź do jakiejś restauracji. Sam chętnie coś zjem.

— Do McDonalda? — zdobyła się na odwagę.

— Niech będzie McDonald. — Z marzeniami się nie dyskutuje.

W środku nie pomogły moje nagabywania, żeby coś sama wybrała, wziąłem więc dwa zestawy i przyniosłem do stolika. Patrzyłem, jak je, starając się nie śpieszyć, lecz połknęła swoją porcję, zanim ja zdążyłem się zastanowić, czy jestem głodny. Sącząc kawę przesunąłem swoją kanapkę i frytki w jej stronę. Odruchowo zaprotestowała, zaraz jednak w minutę się z tym uporała. Gdzie to się w niej zmieściło? Dałem jej chwilę na wyssanie coli do dna z oczami wbitymi w stolik.

— Nazywam się Bartek Zborowski. Mieszkam w Warszawie, pracuję jako detektyw. Coś w rodzaju Rutkowskiego, którego znasz pewnie z telewizora, tylko na mniejszą skalę.

— Wiem — nie podniosła oczu, gryząc słomkę.

— Gdzie jest Patryk? — Zgadywałem, że ją peszę, ale nie będziemy tu obozować.

— Na koloniach u Kuronia.

— Super. A twój mąż?

— W pracy. To znaczy na wyjeździe. Sprzedaje drzwi harmonijkowe — mówiła, jakby się tego wstydząc.

— A ty masz jakiś zawód? — Spodziewałem się, że zaprzeczy i wejdzie pod stolik.

— Mam kurs księgowości — spojrzała mi w oczy odważnie, choć tylko na pół sekundy.

— Dzięki ci, o Panie! — aż uniosłem obydwie ramiona do góry. To była najlepsza wiadomość dzisiejszego dnia. — I jako księgowa nie możesz znaleźć pracy? — Wystarczyło na nią popatrzeć. — Dobra, nie odpowiadaj. Mamy dużo szczęścia — ucieszyłem się bardziej ze względu na siebie niż na nią. — Jestem gigantem bankowości. Z największymi dyrektorami jestem tak — zgąłem prawy łokieć w poziomie. — Załatwię

ci pracę, tylko nie bój się jej i rozmawiaj z ludźmi patrząc im w oczy. Musisz to z siebie wykrzesać, nie ma przeprosić. Twój mąż coś umie?

Okazało się, że był nawet kiedyś kierownikiem sklepu. Swe-go czasu pomagałem szefowi jednej z sieci hipermarketów, pamiętałem go jako miłego człowieka. No cóż, będziemy teraz razem budować sobie z dobrych uczynków schodki do nieba.

— Znajdę pracę twojemu mężowi. Pożyczę wam pieniędzy na początek. Ale musisz nauczyć się żyć bez prochów. Na valium nie zajdziesz daleko między ludźmi, dzień po dniu. Musisz iść na jakąś terapię. Istnieją grupy samopomocowe dla takich jak ty, nie wierzę, że w Częstochowie ich nie ma... — przerwałem, bo kiwnęła głową.

— Są, lekarka mi mówiła. — Jej organizm zaczynał wreszcie produkować endomorfinę: zaczęła się ruszać, popatrywać mi w oczy. W jej wzroku coraz częściej zauważałem tę kokieteryjną nutkę sympatii wobec mnie, którą często widywałem u Zuzy. Przy takiej samej posturze: metr pięćdziesiąt na obcasach, w innych okolicznościach mogłaby mnie pewnie okręcić wokół palca. - Ja tak naprawdę nie lubię tych leków, źle się po nich czuję.

Posłuchałem jej jeszcze chwilę, bo wyglądało na to, że mówienie sprawia jej przyjemność. A odkąd mąż wyjechał w delegację, nie odezwała się pewnie do nikogo. W końcu przypomniałem jej o córce, że po coś tu jestem. Nagle spoważniała i tym razem ona przeszła mnie spojrzeniem osoby dorosłej i wiedzącej więcej ode mnie. Było jasne, po kim Zuza je odziedziczyła. Zmusiła mnie tym spojrzeniem do tłumaczenia się.

— Nie byłem jej klientem i nigdy nie spałem z nią. Poznaliśmy się przypadkowo, chciałem jej pomóc...

— Wiesz co? — przestała naraz spuszczać oczy. — Jedźmy stąd. Musisz mi wszystko opowiedzieć, a ja na pewno będę płakać.

Pojechaliśmy do pobliskiego parku, gdzie spacerując opowiedziałem jej swój kawałek życia z Zuzą. Trochę pokręciłem co do samego poznania — że niby załatwiałem sprawy zawodowe — za to bez oporu przyznałem się do zabójstwa Buły, a ona też nawet nie mrugnęła. Buleccy tego świata, strzeżcie się! Wbrew obawom nie robiła łzawych scen, tylko garbiła się coraz bardziej, ściskając tę swoją torebkę. Wreszcie musiała usiąść na pierwszej wolnej ławce.

— Myśmy tak naprawdę wcale nie wyrzucili jej z domu, cokolwiek o nas myślisz. Zuza nie chodziła do szkoły, nie wracała na noc. Prowadzała się z degeneratami starszymi od siebie, przywoziła ją policja kompletnie naćpaną, mówili, że uprawia seks za narkotyki, a miała czternaście lat! Byliśmy zupełnie bezradni. Karol, to znaczy mój mąż, zabronił Patrykowi z nią rozmawiać, ja próbowałam się zabić. Nałykałam się tych swoich tabletek, ale mnie uratowali. Nikt nie potrafił powiedzieć mi, jak mam jej pomóc. Wszyscy mi tylko grozili. Ja taka nie byłam, ojciec Zuzy był moim pierwszym chłopakiem, teraz mam drugiego męża i nikogo więcej. Nie mam pojęcia, jak postępować z takim dzieckiem.

— To żadne usprawiedliwienie. — Słyszałem w jej gadce echa fachowców, z którymi się zetknęła. — Zerwanie więzi z Zuzą nastąpiło, zanim zaczęła brać narkotyki. Nie wiem, chyba załamał ją rozwód, bo idealizuje postać ojca i ostro fantazjuje na jego temat. Puszczą się głównie ze starszymi od siebie, pewnie też ze względu na mój wiek pozwoliła mi przez chwilę łudzić się nadzieją. Ale ja nie chciałem od niej seksu, więc było jej ze mną niewygodnie.

— Jej ojciec, odkąd wyjechał, nie skontaktował się z nami ani razu. — Zaczęła tłuc torebką o kolana, oczy jej zwilgotniały. — Przedtem też nas nie chciał, zresztą to wszystko odbyło się strasznie szybko — płakała. — Zuza była mała, myślałam, że go nie pamięta. Nigdy na jego temat nie rozmawiałyśmy.

— I nie zdziwiło cię to? Że ona widzi, że Patryk ma ojca, a ona nie i nigdy się o to nie pyta? Nie trzeba do tego wyższego wykształcenia.

— Zostaw mnie! — poderwała się z ławki, zamachnęła torebką. — Ja już nie zniosę więcej winy! — płakała trzęsąc się i machając rękami. — Ja też jestem człowiekiem, mnie też boli! — Nogi się pod nią ugięły.

— Uspokój się — podtrzymałem ją, posadziłem na ławce. — Nie jestem twoim psychiatrą.

— Więc co tu robisz? — krzyczała, płacząc. — Czego chcesz ode mnie?

— Chcę ci pomóc. Lubię pomagać ludziom. Ale nie rób z siebie ofiary, bo dla mnie nią nie jesteś. — Lewa powieka zaczęła mi latać, aż musiałem przytrzymać ją dłonią. Nigdy wcześniej nie miałem takich tików. — Chcę odnaleźć Zużę i zakotwiczyć ją na dalsze życie. Do tego potrzebna mi wasza rodzina. Jeszcze godzinę temu brzydziłem się tobą, ale teraz, jeżeli się nie dogadamy, chyba cię zabiję.

Patrzyła na mnie z otwartymi ustami.

— To była najbardziej cyniczna wypowiedź, jaką usłyszałam od drugiego człowieka w całym swoim życiu — kręciła głową z niedowierzaniem, wycierając dłonią policzki. — Nie wiem, jak możesz pomóc komukolwiek, skoro tak bardzo nas nienawidzisz.

— Załatwię wam pracę, zaczniecie żyć jak ludzie.

— Wyjaśnij mi jedno. Dlaczego separujesz nas od Zuży? Dlaczego ona zasługuje na pomoc, a ja nie? Czym się według ciebie różnimy?

— To chyba jasne. Ona jest dzieckiem.

— To znaczy, że dorosłym nie powinno się pomagać?

— Przecież wam pomogę.

Wstała, zrobiła kilka kroków do tyłu.

— To dobrze. Załatw nam te prace, a obiecuję, że nie zawiodę twoich znajomych.

— Poczekaj...

— Nie wstawaj, boję się. Nie, nie, że mnie zabijesz. Przy tobie nie mam czym oddychać. Znajdź Zużę i przywieź ją do domu. Będziemy czekającą na nią, kochającą się rodziną. Żadnych krzyków — odchodziła wciąż tyłem.

— Zaczekaj — wstałem z ławki. — Nie histeryzuj. Odwiozę cię.

— Nie trzeba, przejdę się. Dawno nie wychodziłam z domu.

— Zatrzymaj się, proszę.

Stała wreszcie dumnie, jak radziecki żołnierz wobec przeważającej siły wroga.

— Nie jestem doskonałą, na pewno. Ale przecież mam dobre chęci i żadnych ukrytych celów. Naprawdę chcę się porozumieć.

— Wierzę ci. Może po prostu jesteś inny niż ludzie, których dotąd znałam. Nie potrafię rzucić ci się na szyję z wdzięczności.

— Pożyczę ci jakieś pieniądze.

— Nie trzeba — dotknęła dłonią mojej koszuli. — Jak dowiem się o tej pracy? Nie mam telefonu.

— Przyślę ci telegram. Albo kuriera. Na pewno nie potrzebujesz pożyczki?

— Na pewno. — Puściła mnie, odwróciła się i odeszła.

Nikt mnie nie kochał. Znowu zostawałem sam na sam z całym światem.

— Ostatnie pytanie! Proszę!

Zatrzymała się.

— Dlaczego Zuza opowiada, że pochodzi z Atlantydy?

— Tak mówi? Nigdy nie słyszałam.

ROZDZIAŁ XVII

Wyjeżdżając z Częstochowy zadzwoniłem do Roberta, czy ma jakieś wiadomości. Będzie miał, ale spoko, potrzebuje więcej czasu, przecież jest w pracy. Aż trudno było mi uwierzyć, że rozstaliśmy się zaledwie kilka godzin temu. To wciąż był ten sam dzień i nie mogłem pozbyć się myśli, że kiedy poprzednim razem zgubiłem małą dziewczynkę, to wynosili ją później nogami do przodu. Pocilem się mimo klimatyzacji, bałem się, że znowu dopadnie mnie jakieś wariactwo. Dlatego w Warszawie podjechałem do przyzwoitej restauracji i zamówiłem dewolaja z frytkami. Zauważyłem w barze portera i wypilem go jeszcze przed obiadem. Miałem wrażenie, że trzęsą mi się ręce, ale to nie była prawda. Po prostu tak się czułem. Kiedy przełknąłem ostatni kęs, przyszedł czas decyzji. Nie zamierzałem beczynnianie czekać na inicjatywę Roberta: włączyłem komputer. Kelner nie miał nic przeciwko mojemu biwakowi i nagle znalazłem się w świecie jak z powieści grozy, jakbym otworzył dziewiąte wrota.

Wariaci od Atlantydy może i są namolni w swojej naukowej ewangelizacji, lecz nie dopatrzyłem się tam niczyjej krzywdy. Teraz na hasło: „sekty” ukazywały mi się kolejne kręgi piekieł, a każdy miał w nazwie Boga, Jezusa albo przynajmniej Kościoł. I wszystkie działały wedle prostej zasady pana Hubbarda, twórcy jednego z tych „Kościołów”: najszybszym sposobem zbiccia prawdziwych milionów jest założenie nowej religii.

Na początku śmiałem się wielokrotnie czytając, co różne cwaniaki oferują jako prawdy objawione. Na przykład za grube pieniądze można w sobie uaktywnić ukryte „trzecie oko”. Jeszcze kiedy byłem nastoletnim chuliganem, trzecim okiem nazywaliśmy po prostu dziurę w dupie. Ma rzęsy, mruga i jest ukryta. Nie wiedziałem, że mieliśmy zadatki na proroków.

Inni straszili końcem świata już od roku 1914, a jak nie przyszedł, przerzucili go na 1925, potem 1975, wreszcie dialektycznie określili datę: „za pokolenia tego, który to czyta”. Pomyśleć, że są ludzie, którzy sprzedają domy i porzucają interesy, z radością (sic!) czekając na Armagedon. Na pewno nie należą do starszyzny, która kolekcjonuje ich pieniądze, buduje fabryki, wieżowce i pałace, przydzielwszy się automatycznie do konkretnej grupy stu czterdziestu czterech tysięcy, która pójdzie do nieba.

Ale i tak nie mogli zakasować wspomnianego już Hubbarda: rzeczywiście zbił miliardy głosząc, że złe dusze implantują dobre dusze, wysyłają je w statkach kosmicznych na Wenus, tam kłamliwie programują im przeszłość i w kapsułach zrzucają na Ziemię. Jak nie zapłacisz za szybki kurs gotowania na gazie, niejaki Xenu zamrozi cię w glikolu albo przykuje łańcuchami do wulkanu. Hubbarda, w końcu pisarza SF, nawet trudno mi było nie lubić: on tylko jeszcze raz potwierdził, że głupota ludzka nie zna granic. Niestety, dla maluczkich zabawa szybko się kończyła i zaczynał się koszmar.

Hubbard poruszał się po świecie flotyllą luksusowych jachtów z haremem pięknych nastolatek i znowu można by mu tylko pozazdrościć gdyby nie fakt, że „wybrani” członkowie jego „Kościoła” nie tylko sami pracowali na niego niewolniczo, ale zmuszali też do tego swoje dzieci. System kar dla nich, jeżeli niedostatecznie wywiązywały się ze swoich obowiązków, nie miał już nic wspólnego z podróżami kosmicznymi. Nawet trzy- i pięcioletnie dzieci zamykano w ciemnych komorach, czasem na kilka dni, czasem na dwa tygodnie. Całe grupy winowajców wrzucano do zbiorników z szambem, gdzie zgnieceni w ciem-

ności zeszkrobywali rdzę ze ścian, bez prawa do snu czy posiłku, srając pod siebie.

Jednego tylko nienawidzę bardziej od zniewolenia: zniewolenia podstępem.

Stosunek do dzieci rodzących się w sektach stawał się dla mnie coraz wyraźniej wspólnym mianownikiem ich wszystkich. Dzieci stanowią ciężar, zbędny wydatek, miłość do nich odbiera miłość do Wielkiego Przywódcy. W jednych „religiach” wymyślano różne „przykazania” przeciwko dzieciom, zwłaszcza chorym, na przykład, że transfuzja krwi to grzech i lepiej będzie, jeżeli dziecko umrze, niżby miało iść do piekła. W innych rodzice w ogóle nie troszczą się o dzieci, grupuje się je w prowizorycznych żłobkach bez opieki lekarskiej czy troski o higienę. Nie dba się o ich wykształcenie, jak najszybciej przyuczając je do niewolnictwa. No i do seksu. Włosy stawały mi dęba, kiedy czytałem nawoływania różnych guru, że seks z kilkulatkami jest w porządku, ojcowie powinni rznąć swoje córki i wymieniać się z kolegami.

Musiałem zamówić sobie setę, by doczytać do końca, jak natchnieni panowie gwałcą sześcioletnich chłopców, a żeby zapewnić sobie ich milczenie, wmawiają im operację: pokazują zwój kabli, uśpionym narkotykiem robią na piersi małe nacięcie i mówią dziecku, że jeżeli komuś opowie o tym, co tu robili, kable zaczną mu się w środku zaciskać, aż umrze. Innym dzieciom wmawiano, że mają zaszyte pająki, które wszystko słyszą, jeszcze innym, że noszą w sobie szczury, które wygryzą im dziurę w brzuszku, jeśli tylko zaczną mówić.

Kiedy zobaczyłem na ekranie, że Robert próbuje się do mnie dodzwonić, akurat młody kelner chciał mnie zapytać, czy coś podać, i nasze spojrzenia spotkały się.

— Och! — aż odskoczył. — Czy zobaczył tam pan diabła?

— Żebyś wiedział, chłopcze, żebyś wiedział... — odebrałem telefon. — No?

— Gdzie jesteś?

- W Warszawie.
- To dobrze. U ciebie za pół godziny?
- Pasuje.

Podąłem mu adres, pozbierałem swoje graty, zapłaciłem. Tocząc się w korku nie mogłem się pozbyć myśli o rodzicach podążających za prorokiem, który pisze o siedmiolatkach: „Idea, że dzieci powinny swobodnie uprawiać seks, bez zabrania tego przez rodziców czy prawo, staje się coraz powszechniejsza wśród lekarzy. Dzieci należy do tego zachęcać.” I rodzice oddają swoje pociechy takiemu człowiekowi. Ciesząc się, że zostały wybrane. I jak ja mam kochać wszystkich ludzi? Kara śmierci to za mało!...

Robert przyszedł, kiedy kończyłem właśnie swoją „ostatnią” luksusową sprzed paru tygodni. Dopóki była Zuza, nie pamiętałem o jej istnieniu. Teraz pomogła mi nie obgryzać paznokci. Robert najpierw rzucił mi spłoszone spojrzenie, potem podał dwie ulotki.

- Masz kawę?
- Tak, zrobić ci?
- Potrafię sam.

Przyjrzałem się kawałkom papieru. Na jednym figurce Matki Boskiej towarzyszyło zdjęcie banknotu stułotowego i logo banku. Dołączony był „cudowny” medalik, a napis głosił: „Ona Ci pomoże”. Namawiał do składania darów na Kościół Bożej Miłości.

Drugi, z wizerunkiem Matki Bożej Fatimskiej, był formą listu. „Trwa wielka walka dobra ze złem. Szatan pracuje nad przeciągnięciem dzieci na swoją stronę i nad zawładnięciem ich duszami. Jeżeli nie będziemy wierni Przymierzemu z Maryją, nasza Ojczyzna będzie narażona na ryzyko upadku w przepaść zniewolenia przez niemoralność, narkotyki, telewizję, korupcję... Jesteśmy przekonani o zrozumieniu z Pana strony i współpracy w realizacji naszego dzieła. Prosimy Matkę Bożą, aby obdarzyła Pana i całą rodzinę szczególnymi łaskami za wsparcie na-

szej pracy. Proszę wesprzeć rozpowszechnianie tego biuletynu w całej naszej Ojczyźnie przesyłając, o ile to możliwe, swój datek w kwocie 50 zł, 30 zł lub chociażby 20 zł. Bóg zapłać. Szczerze oddani w Jezusie i Maryi." Również sygnował go Kościół Bożej Miłości.

Obejrzałem rysunki, medalik, spojrzałem na Roberta.

— I to nie jest koszerne?

— Żartujesz? — mieszał cukier w kubku z kawą. — Można czepiać się naszego Kościoła o to czy tamto, ale nie o to, że nie ma wstydu. To klasyczna amerykańska hucpa. Tam powstało już tysiące fortun w imię Jezusa, u nas to był niezaorany ugór przez te wszystkie lata. Wiadomo, że w końcu ktoś to dostrzeże. I pójdzie na całość. Podobno obracają już setkami milionów.

— Nie wierzę. W Polsce?

— A co ty myślisz? Zobacz ten ich język. Oni wiedzą, że ani ja, ani ty nic im nie damy. Ale starsi ludzie odmówią sobie jedzenia, nie kupią leków, żeby tylko wesprzeć takie patriotyczno-religijne dzieło. Towarzystwo Świadomości Kriszny to przy nich drobni geszefciarze. W Polsce oczywiście. Przecież nawet jakbyś poszedł z tym do swojego proboszcza, nie umiałby ci od razu powiedzieć, że to fałszywka. Bo niby dlaczego? Ale idź do dominikanów, którzy się na tym znają, a od razu powiedzą ci, że to marketingowa psychomanipulacja.

Obejrzałem jeszcze raz ulotki. Przede wszystkim był numer konta, ale był też adres, ulica, nomen omen, Mroczna. To chyba gdzieś na Ulrychowie, taka Warszawa, gdzie psy dupami szczerkają.

— A co to ma wspólnego z nami?

— Porządni ludzie nie nabieraliby staruszków na Matkę Boską, no nie? — Robert nerwowo ścisnął swój kubek obiema dłońmi. — Popatrz na to jak na jedną z gałęzi większego przemyśłu.

— Chcesz powiedzieć, że to nie tylko skurwysyny, ale i bandyci?

— Wcale bym się nie zdziwił. — Nie było mu wygodnie na moim stołku. — W końcu to Polska właśnie.

— Nie chcesz się w to pakować?

— Możemy się okazać za krótcy. Ja sprawiam tylko dobre wrażenie. Po dziesięciu latach épania jestem silny jak pięcioletnie dziecko — zademonstrował sflaczały muskuł. — Ty masz chody, sprawdź, kim są, kto za nimi stoi. Możemy to potem skonsultować. Bo to chyba czubek góry lodowej przeznaczony dla staruszków. Dla takich jak Zuzka udają różne Instytuty Rozwoju Psychicznego, esty, Programy Dynamiki Umysłu, a wszystkie one wykorzystują metodę kontroli psychiki Silvy. Ludzie w kłopotach, po załamaniach albo tragediach garną się do nich po pomoc, a oni raz-dwa robią z nich podporządkowane sobie zombi. Nigdy o tym nie słyszałeś?

— Nie. Jak mieszkałem w Anglii, była tam kiedyś prasowa dyskusja o sektach, bo okazało się, że organizacja rządowa mająca pomagać ofiarom w rzeczywistości broni interesów sekt. Nawet pamiętam, jak się nazywała, nie wiem po co, **INFORM**, cokolwiek ten skrót oznacza. Ale w Polsce?... Poza paroma naciągaczami z Hare Kriszna, kto chciałby konkurować z naszym Papieżem?

— Toteż widzisz — pokazał palcem obrazek z medalikiem.

— Zdaje się, że zaczyna docierać. — Jeszcze raz przeczytałem adres.

Było już ciemno, kiedy Robert poszedł. Jak stary konspirator zażądał, żebym dał mu parę minut, zanim sam wyjdę z domu. Nie śmiałem się z niego, zaczekałem. Odnalazłem swoją ołowianą pałeczkę obszytą cienką skórką: była wprost niezastąpiona w łamaniu kończyn, które w zbyt dużej liczbie pragnęły uczynić mi krzywdę.

Bristol rzuca się w oczy, więc zaparkowałem go na Sokołowskiej pod domem, w którym odwiedzałem ongiś pewną urodziwą pannę. Przeszedłem Górczewską aż do wiaduktu, obejrzałem

sobie wszystko. Ulica Mroczna to jedna z tych ostatnich enklaw zachwaszczonych sypiących się domków przy błotnistej, pełnej wądołów drodze. Z ich okien już od dawna widać tylko wielkie bloki, a drugą stronę Górczewskiej opanowało gigantyczne centrum handlowe jak z innej planety. Gdyby ktoś chciał się ze mną założyć, postawiłbym duże pieniądze na to, że jak tu przyjdę za rok, po jednorodzinnych grzybkach nie będzie śladu, a na ich miejscu staną nowobogackie apartamentowce.

Odnalazłem numer domu z ulotki. Nie było żadnej tabliczki informującej o znajdującym się tu przybytku Bożym. Furka była uchylona, pokrzywy mojego wzrostu. Za to drzwi wejściowe porządne, antywłamaniowe, z domofonem. Przycisnąłem guzik.

— Słucham?

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Jestem z Kościoła Bożej Miłości na Wspólnej i przyszły do nas jakieś pieniądze, które polecono mi odnieść tutaj — plotłem.

— Proszę przyjść jutro. Teraz nikogo nie ma.

— Jutro mam cały dzień nieszpory i nie będę miał czasu przyjechać. Jeszcze ślub i chrzciny.

— Ale mówię, że nikogo nie ma. Jutro się pan... ksiądz rozliczy.

— A czy nie mógłbym po prostu zostawić tych pieniędzy u pana, a pan już będzie wiedział, komu je oddać?

Słyszałem, jak konsultuje z kimś moje bzdury — nie odłożył słuchawki. „Kościół na Wspólnej?” dziwił się tamten.

— A ile tego jest? — to był ten drugi głos.

— Piętnaście tysięcy złotych. Z ogonkiem. Nie chcę się z tym znowu wozić autobusem.

Jeszcze chwilę się naradzali, w końcu szcęknęły zasuwę. Jeden z nich wyszedł sypchając mnie klątą ze schodków i rozejrzał się w ciemności. Drugi został w środku. Obydwaj byli napakowani — co najmniej po sto dwadzieścia kilo. Pomyślałem ze smutkiem, jak dawno już nie trenowałem aikido. Nawet

zdążyłem sobie odpowiedzieć dlaczego. Aikido to szlachetna sztuka obrony bez robienia krzywdy przeciwnikowi. A ja, co tu dużo ukrywać, od pewnego czasu byłem jednym wielkim pragnieniem czynienia krzywdy. Mimo wszystko ci tutaj stanowili dla mnie takie samo zagrożenie jak stukilogramowa żona, która ze swoich piętnastu lat małżeństwa najbardziej lubi ziemniaczki. Uwalniali też od wątpliwości, czy Robert się przypadkiem nie pomylił.

— No to daj pan te pieniądze — zmierzył mnie lekceważącym spojrzeniem tępych oczu. Stojąc na schodkach, był wyższy ode mnie o głowę.

— Niech pan nie żartuje — przyjąłem pokorną postawę zakonnika z francuskiej komedii filmowej. — Musimy je przeliczyć i dacie mi pokwitowanie. To w końcu piętnaście tysięcy złotych — kusilem.

Ten pierwszy odwrócił się, drugi kiwnął mu głową i wpuścili mnie. Było to najzwyczajniejsze prywatne mieszkanie: brudne, śmierdzące samotnym chamem. Na stole walały się pootwierane puste lub niedojedzone puszki i słoiki, pozasychane plastikowe talerze i sztuce. Z puszek po piwie można by zrobić trawę, wódki pili już o wiele mniej. Na podłodze królował wielki telewizor obstawiony głośnikami. Po ekranie biegali piłkarze, a komentator zachłystywał się emocjami. Ale na ścianach oprócz kilku gołych dziewczyn wyrwanych z kolorowych pism nie było żadnego świętego obrazka.

Stałem rozglądając się i udając przesadne zdumienie. Bez zaproszenia przeszedłem się po innych izbach, szukając czegokolwiek użytecznego: biurka, szafy na dokumenty, komputera. Nie było nic. Wodzili za mną wzrokiem jak za myszkującym kotkiem na chwilę przed ukręceniem mu łebka. Na stole leżał pilot, znalazłem guzik z przekreślonym głośniczkim, przycisnąłem.

— Ja panów strasznie przepraszam — złożyłem ręce jak do modlitwy. — Ale ja chyba źle trafiłem. Przecież to nie może być Kościół Bożej Miłości.

— A czy ja mówiłem, że jest? — Ten milczący zastawił sobą drzwi wyjściowe z pokoju. — Sam żeś się pan pchał i nie dałeś sobie wytłumaczyć.

— Ale jednak mówił pan, żebym przyszedł rano — wciąż garbiłem się lekko. — A to oznaczało, że to tutaj. Kto tu będzie rano?

— Rano to będzie rano — odpowiedział bez sensu. Porozumiał się wzrokiem z kolegą. — No to załatwiamy sprawę, jak było umówione.

— Nie, nie! Tak nie można. Ja jednak wrócę jutro.

Przez chwilę rzeczywiście chciałem uniknąć awantury, ponieważ już wiedziałem, że niczego się nie dowiem. Adres był czystą fikcją, cwany kumpel od piwa użył kolegi matoła z poleceniem wywalania korespondencji do kosza. Nawet jego nazwisko niewiele mi da, chyba że miałbym ogromne szczęście. Trzeba zacząć od konta bankowego.

Zrobiłem dwa kroki.

— Proszę mnie przepuścić.

Ten w drzwiach wpatrywał się we mnie tępo, tamten za plecami podniósł butelkę po wódce i zamachnął się. Zrobiłem krok w bok, odwracając się w jego stronę. Użył takiej siły, że aż się zachwiał i ręka poleciała mu do ziemi. Rozwaliłby mi czachę na pół jak nic.

— Czy pan zwariował? — pochyliłem się lekko, jak nakażywała moja sztuka walki. — Przecież mógł mnie pan zabić!

Po paru sekundach konfuzji, jak to się stało, że jeszcze gadam, ten od drzwi spróbował złapać mnie za szyję. Chwyciłem go za dłoń i przepraszając w myślach wszystkich swoich senseiów złamałem mu ją w nadgarstku z okropnym trzaskiem. Rozdarł się, jakby go zabolalo. Ten z butelką w ręce jeszcze raz się zamachnął i to był właściwy moment do zabawy moją pałeczką. Wysunąłem ją z rękawa kurtki i mocno podbiłem mu nią przedramię. Znowu trzasnęło nieprzyjemnie, butelka poleciała w kąt, rozbijając się z hukiem. Wrzasnął, zaczął kłąć. Dwie chlipiące

góry flaków w jednym pokoju to za dużo. Jeszcze raz moja pałeczka świsnęła w powietrzu i zwałił się na podłogę, już cichy. Ten pierwszy zdążył w tym czasie usiąść na krześle.

— Ty tu mieszkasz? — Schowałem pałeczkę, odsunąłem sobie drugie krzesło, usiadłem.

— Tak — wystękał, podtrzymując złamany nadgarstek. Jego umysł wyraźnie nie był w stanie pogodzić się z tym, co tu zaszło. Nie tak miało być! błagały jego rybie oczka bez cienia wrażliwości.

— Znasz Prinza?

— Kogo?

Złapałem go za zdrowy nadgarstek. Nie miał czym się bronić.

— Jakub Lenkiewicz, ksywa Prinz. mieszka na Pradze, handluje prochami.

— Jakie prochy, człowieku, rozejrzyj się! — chciał zdążyć przed moim gniewem. — Ja robię w samochodach. A jak on jest z Pragi, to jakby mieszkał za granicą.

— Opowiedz mi o Kościele Bożej Miłości — puściłem go.

— Czyś ty na głowę upadł z tym kościołem?

Nie wiedział, o co mi chodzi. Wyjąłem ulotki otrzymane od Roberta, ogarnąłem kawałek stołu, pokazałem palcem adres, pod którym się właśnie znajdowaliśmy. Czytał i czytał, i czytał, w końcu zakryłem kartkę dłonią.

— W życiu tego nie widziałem. Teraz pamiętam, kiedyś coś przyszło z jakiegoś urzędu, ale był polecony i nie wziąłem. Przecież tu nigdy nie było kościoła.

— To nie kościół, tylko przekręt. Ktoś ten adres znał i podał go dla jaja, bo jakiś podać musiał. Kto?

— Nie mam pojęcia. Ja mam ten dom po babci. Tu wszystko już sprzedane, idzie pod spychacz.

— Słuchaj — złapałem go za złamaną rękę. Zawył i podskoczył na krześle, ale bez agresywnych zamiarów. — Chcesz, żebyś złamał ci drugą? Będziesz kaleką do końca życia.

— Człowieku, nie wiem, czego chcesz! — wykrzyczał. — Może to Śledziu, taki koleś, co mieszkał tu ze mną jakiś czas! Ale on już nie żyje. Kropnęli go.

Puściłem jego dłoń.

Śledziu.

Pogromca detektywów, który nazwał Kasię małą kurwą robiącą interesy z Marciniakiem.

Świat jest mały.

Świat jest zły.

I rządzi nim szatan.

Wstałem, wciąż nie bardzo mogąc pozbierać myśli. Potrzebowałem oddechu, dystansu.

— A teraz będzie test. Nie chcę cię zabijać — stanąłem nad nim, czując wewnętrzne drżenie.

— Nie mów o zabijaniu — przestraszył się. — Ja ci wszystko powiem.

— Jacek Marciniak.

Jego bezdennie bezmyślne, wystrachane oczka nie mogły kłamać.

— Nie mam pojęcia, czego chcesz — patrzył na mnie z lękiem. — Nigdy nie słyszałem o takim gościu. Śledziu miał koleś, co udawał mafiosa, może jemu tak było — wysiłał pamięć, dobrze kojarzył. — Piotrek, to był Piotrek Marciniak.

Usiadłem.

— Mów dalej.

— Nie wiem co. Ja go nie znałem. Przywiózł ze dwa razy Śledzia. Jeździł porsche, ale tym wielkim terenowym. Taki gówniarz co to wszystkim chce pokazać, że jest największy w mieście. Mnie to nie ruszało, ale ze Śledziem dobrali się co do ruchania. Mówili tylko o dziurach. Śledziu taki był, cały dzień mógł gadać o jebaniu. Z tym młodym też nie mówili o niczym innym tylko o dupach, że ta taka, a tamta lepsza, a tej to trzech by nie dało rady... Ale tu nigdy żadnego towaru nie przywieźli.

— Na pewno? — wciąż drżałem w środku. — Przypomnij sobie. Miesiąc temu. Szesnaście lat, szkolny mundurek.

Popatrzył na mnie i zsunął się z krzesła na kolana.

— Przysięgam ci — przytrzymał złamaną rękę, jakby bijąc się w piersi. — Uspokój się. Mógłbym wszystko zwalić na umarłego. Ale nigdy nie było tu żadnej maślany. Miesiąc temu Śledziu dostał już kulkę. To musiał być ktoś inny. Ja sam mam córkę.

— Zamknij się! — Poderwałem się z krzesła, kopnąłem go w twarz, aż się przewrócił. Pochyliłem się nad nim. — Jest kilka słów zakazanych dla ciebie. Córka to jedno z nich.

Zamknął oczy i udawał nieżywego. To nawet nie był bandyta, tylko zwykły męt. Jakby miał broń, już by coś wykombinował do tej pory, żeby zdobyć przewagę. On się naprawdę mnie bał, cokolwiek sobie ubzdurał na mój temat.

— Ten Marciniak wachał śnieg — odezwał się z kąta. — Teraz pamiętam. Nie wiem, jak się spiknęli, ale Śledziu pod koniec życia też jechał na koksie. Musieli robić jakieś interesy, boby go nie było stać.

— Szukam jednej dziewczynki. Ma piętnaście lat...

— Mówiłeś, że szesnaście.

Podszedłem do niego, przykucnąłem.

— Tamtą już zabili. Jeżeli i tej coś się stanie... — musiałem przerwać, bo prawie zagulgotałem z przejęcia — ...to wrócę tu i cię rozliczę.

— No to nie muszę się bać — zapiszczał fałsetem. — Nie mam z tym nic wspólnego.

Pozbierałem swoje ulotki, wyszedłem. Na zewnątrz od razu zdałem sobie sprawę ze świeżego powietrza, jakbym wyszedł z kazamatów. Pooddychałem, powstałem, podrapałem czołem o tynk budynku.

Wciąż trudno było mi przyjąć do wiadomości, że nie po to zapierdalałem sto dwadzieścia kilometrów na piechotę, żeby komuś pomóc czy żeby mnie ktoś pomagał, ale żeby zatoczyć

nietzscheańskie koło i poprzez przemoc i śmierć odnaleźć piękno i dobro. Nie rozumiałem tego jeszcze dokładnie, ale nagle wszystkie robaki w ziemi przestały być ważne. Zuzę uznałem za czarownicę, a Kasia po prostu czekała na mnie w środku labiryntu. Musiałem tylko do niej dotrzeć.

ROZDZIAŁ XVIII

Trzeba było się śpieszyć. Na Saneczkową nie miałem po co jechać. Przy ich łatwości zabijania mógłbym wszystko popsuć ujawniając się za wcześnie, poza tym można było postawić sporą sumę na to, że Piotruś nie załatwia swoich spraw w domu tatusia. Podjechałem do siebie, wziąłem sprzęt i jeszcze raz sprawdziłem, czy nikt nie ukrywa się w mieszkaniu Prinza. Zadzwoiłem do kolegi, który specjalizował się w klimatach starej Pragi, i poprosiłem o dyskretnego młodzieńca, żeby popilnował mi lokalu na Szmulkach. Lojalnie ostrzegłem, że to faceci bawiący się bronią. Wyklikałem zdjęcie Jakuba Lenkiewicza i przesłałem je koledze. Sprawdziłem adres jego tatusia i zapisałem — willa na Filtrowej. Potem pojeździłem trochę po nocnym mieście mając cichą nadzieję, że ktoś mnie śledzi. Oprócz pojawienia się skruszonej Zuzy nic w tej chwili nie sprawiłoby mi większej przyjemności.

O Kasi starałem się nie myśleć. Wiedziałem, że jest blisko, cokolwiek to miało oznaczać.

Przejechałem przez most, skręciłem w prawo, okrążyłem skwerek pomiędzy Dobrą i Browarną, wreszcie stanąłem. Czas na gambit. Odnalazłem w komórce i wystukałem numer Szczęsnego.

— Tak? — Tomasz Szczęsny nie należał do ludzi, którzy przedstawiają się przez telefon.

— Bartek Zborowski.

Cisza nie trwała dłużej niż jeden wydech.

— Słucham.

— Kościół Bożej Miłości. Numer konta... — wyrecytowałem ciąg cyfr z ulotki. — Że naciągają starszków, to już wiem. I mają broń. To chyba oni strzelali do mnie tamtej nocy, gdy zginęła Kasia.

— Proszę nie rozstawać się z telefonem, z którego pan dzwoni — rozłączył się.

Dobrze wyczułem, że nie będzie mi kazał się przeproszać za brak gościnności podczas naszego ostatniego spotkania. Pojechałem do Śródmieścia i wciąż sprawdzając, czy nie mam ogona, zaparkowałem w alei Niepodległości. To śledzenie chciałem chyba wymodlić, ale faktem było, że rosła liczba osób wiedzących o moim zainteresowaniu biznesmenami żądającymi pieniędzy za wstawiennictwo w niebie.

Przespacerowałem się Filtrową, aż znalazłem właściwy numer. Pewnie powinienem przycisnąć guzik domofonu i wytłumaczyć się, dlaczego muszę zakłócić spokój przedstawicielowi kierowniczej kadry naszego kraju. Ale dzisiaj mi się po prostu nie chciało. Moja złość i strach potrzebowały rozrywki. Obejrzałem dom, przeskoczyłem parkan i zanim jakkolwiek Burrek zdołałby mnie złapać za nogawkę, wdrapałem się na piętro, gdzie romantycznie powiewała firanka w uchylonych drzwiach od tarasu.

Romantyczność mojego entré nabrała nowej jakości, kiedy wsunąłem się do środka, ponieważ w tym samym momencie do pokoju weszła naga kobieta, jedną ręką zapalając światło, a drugą rzucając na łóżko ręcznik kąpielowy. Na moje szczęście strach nie spowodował u niej odruchu wrzasku — zamieniła się w słup soli. Uśmiechnąłem się do niej, w pokojowym geście uniosłem puste dłonie.

— Obiecuję, że z gwałtu wywiążę się następnym razem. W tej chwili jestem tu z powodu pani syna i w ten niecodzienny

sposób wprosiłem się jedynie na tajną rozmowę. Może pani zawołać męża, proszę też oczywiście ubrać się, chociaż zapewniam panią, że w najśmielszych snach nie spodziewałem się tak uroczego *qui pro quo*.

Miałem nadzieję, że moja błazenada obniży jej trochę poziom adrenaliny. Nie potrafiłem używać przemocy w stosunku do kobiet, więc gdyby wpadła w histerię, musiałbym błagać jej męża na kolanach, aby ją uspokoił. Na szczęście była dzielna i zrobiwszy dwa kroki podniosła z łóżka jedwabny szlafrok, którym się otuliła. Jestem satyrem starej daty i nie lubię dzisiejszej depilowanej mody. Dlatego nie odwracałem wzroku od jej pokaznego brzucha, bo zwisał nad włosami rozrośniętymi wciąż gęsto, aż na udach. Kiedy się ubrała, była już tylko brzydką starą babą.

— Tadeusz! — krzyknęła. Miała mocny sopran, niestety o prostackiej intonacji.

— Może chodźmy do niego — wskazałem na drzwi.

Posłuchała, na schodach nerwowo oglądała się do tyłu. Pan Tadeusz siedząc przed telewizorem, przycinał właśnie cygaro. O Prinzu mówili pewnie, że to skóra zdjęta z ojca. Aż żal było myśleć, że pewnie nie dożyje jego wieku.

Pani domu szybkim krokiem przeszła za fotel męża.

— Ten człowiek wszedł tu przez okno — poskarżyła się.
— Coś bzdurzy o Kubie.

— Co to ma znaczyć? — dyrektor Lenkiewicz podniósł się z fotela.

Zauważyłem na stoliku pudełko długich angielskich zapalek klubowych. Jedną z nich potarłem o twardą draskę, wyjąłem cygaro z ręki gospodarza, ogrzałem je, zapaliłem, oddałem mu. Skonfundowani Lenkiewiczowie przez cały ten czas nie zdobyli się na przeciwdziałanie. Może nie mieli już złudzeń co do swojego synka. Pan i władca stał ze smutnie dymiącym cygarem w opuszczonej dłoni. W drugą włożyłem mu swoją wizytówkę i podniosłem ją przed jego oczy.

— Pański syn wywabił mnie dzisiaj rano z domu na spotkanie z panem po to, żeby porwać moją nieletnią córkę. Zadaje się z bardzo niebezpiecznymi ludźmi i nie będą oni zachwyceni tym, że z powodu jego chuci depte im teraz po piętach taki zdeterminowany Marek Kondrat jak ja. Chcę was prosić, żebyście pomogli mi nie dopuścić do jakiegoś ostatecznego zła ponad to, które już się stało.

Tak, na pewno nie mieli złudzeń co do synka. Matka usiadła na kanapie i zaczęła płakać, tata w końcu pociągnął swoje cygaro, po czym też usiadł w fotelu. Obszedłem stolik do kawy i opadłem na skórzany stołek.

— Wie pan, jak tylko pan przyszedł rano do banku, od razu poczułem, że to w sprawie syna... — Starzał się z każdym słowem. — Żona świadkiem, że przy kolacji powiedziałem, że chyba z Kubą będą znowu kłopoty. Ja wiem, kim pan jest, pan już pracował dla nas, chociaż poprzez kancelarię prawniczą.

— Palewski, Duszyński, Waglewicz? — coś kojarzyłem. — Rosyjskie podatki?

— Zgadza się.

— Zrób coś! — rozdarła się mamusia jak jakaś Jokasta w jedwabnym szlafroku.

— Przecież nie wiem, gdzie on jest!... Jego adres w alei Tysiąclecia pan zna?

Kiwnąłem głową, machnąłem komórką.

— Czy znają państwo może miejsce, gdzie mógłby uciec z dziewczyną, schować się?

Milczeli, myśleli.

— Wie pan, już nawet przestaliśmy się wstydzić, że nic o nim nie wiemy. Od kiedy wyjechał na studia do Katowic, praktycznie przestaliśmy się widywać, a jak go wyrzucili, odezwał się dopiero po dwóch latach. Mieszkał za granicą, ale nawet nie wiemy dokładnie gdzie. Podobno w Amsterdamie, Paryżu... Oczywiście dawaliśmy mu pieniądze, ale rzadziej, niżby się pan

spodziewał. Chociaż — przypomniał sobie — kiedy już prosił, to o duże sumy.

— Wasz syn handluje narkotykami.

— Wiemy o tym dawno od policji.

— Jeśli go pan skrzywdzi — znowu przypomniała o sobie Jokasta — nie spoczne, póki pana nie powieszą.

Jej bujne owłosienie to było za mało, żeby poczuć do niej sympatię.

— Znalazłbym pewnie ze dwudziestu ojców, którzy zrobiliby to za mnie. Naprawdę nie możecie mi pomóc? Nie macie jakiejś działki, daczy?

— Nie. — Lenkiewicz rozłożył bezradnie ręce. — Ja nie mam czasu, a żona woli centra handlowe niż pielenie ziemi. Na wakacje jeździmy na Sycylię.

— Czy słyszeli państwo kiedykolwiek o tym Kościele? — podałem im ulotki.

Studiowali je dokładnie, włożywszy okulary. Ona z jakąś rozpaczliwą nadzieją, która szybko obumarła w rozczarowaniu.

— Kubaś na pewno nie chodzi do kościoła. My też nie przepadamy za klerem.

— To chyba sekta — zaryzykowałem. — Przekręt, fałszywy Kościół.

Jeszcze raz obejrzeni kolorowe papierki i oddali mi je bez zainteresowania.

— Wątpię, czy nasz syn ma z tym coś wspólnego. Narkotyki to jedno, wypływają z buntu, stylu życia... — Ona wciąż go broniła! — A sekty to jakaś chora, ale wiara, uległość. To nie pasuje do Kuby.

— Głupi jesteście. — Wstałem. — Sekty, narkotyki, pedofilia, handel kobietami, sadyzm i morderstwa to tylko różne nazwy tego samego biznesu. Niedawno przeczytałem o jego jeszcze jednej gałęzi. Porywanym, gwałconym i tumanionym narkotykami dzieciom przed zabiciem wycina się nerki, wątrobę i coś tam jeszcze. Jest na to duże zapotrzebowanie. Sekty, proszę

państwa, zawsze były i są przykrywką robienia wielkich pieniędzy. Wiara dotyczy tylko ofiar. Potrzebne są ich oszczędności, czasem praca, często tylko ciało. Wasz Kubuś do ofiar na pewno nie należy.

— Niech pan nie odchodzi! — Lenkiewicz też wstał. — Przecież jeszcze się nie naradziliśmy!

— Naradę zrobi pan sobie jutro w banku. Ja muszę szukać córki.

— Mogę sprawdzić to konto z ulotki.

— Niech pan o nim zapomni — zatrzymałem się. — Naprawdę. Ktoś już je sprawdza. A koledzy Kubusia mogą pana za to zabić.

Jokasta eksplodowała jak zawodowa płaczka. Tatuś został z otwartą gębą.

Wróciłem do samochodu w nie najlepszym nastroju. Godziny upływały, ja zaś nadal kręciłem się za własnym ogonem. Nie mogłem nikogo prosić o pomoc, bo to wiązałoby mi ręce w momencie, w którym spotkam się wreszcie z Szatanem twarzą w twarz. A nie miałem zamiaru czytać mu wtedy jego praw. Saneckowa kusila, lecz zabiliby mnie już przy domofonie, a Bestia dalej pastwiłaby się nad dziećmiakami, śmiejąc się ze swojego złotego tronu. Postanowiłem się przespać. Może obudzi mnie telefon od Szczęsnego. Albo od Roberta. Albo od bandytów. A może Zuza wróci do domu?

W drodze na parking przypomniałem sobie nagle, że młody Marciniak ma siostrę. Zahamowałem gwałtownie i stanąłem pod kościołem na placu Zbawiciela. Poklikałem trochę i była rzeczywistość. Aleksandra Klasa, rozwódka, właścicielka dużego sklepu z modą hi-end na Nowym Świecie. Co to za nazwisko? Może to ksywa? Nie, faktycznie, po mężu. No cóż, może być popstar Flinta, niech będzie i przekupka Klasa. Coś mi tam dzwoniło, że prowadzi rozrywkowe życie, nie powinna więc spać — była

północ, wieczór dopiero się rozpoczynał. Miała kilka biznesowych komórek, sprawdziłem, za którą płaci największe rachunki. Jeden numer zdecydowanie bił na głowę całą resztę. Wystukałem go.

— Halo? — głęboki alt, w tle pobrzękiwanie kryształów i sztućców.

— Ola? Ola Klasa?

— Tak, słucham.

— Przyleciałem właśnie z Nowego Jorku, mamy tam sklep na Fifth Avenue i powiedziano mi, że powinniśmy się spotkać. Podobno możemy mieć wspólne zainteresowania.

— Your Polish is very good for a New Yorker, Mr... — miała twardy polski akcent.

— Bartek Zborowski. I'm not exactly a New Yorker. I was born in Poland, but I've travelled a lot. And when in Rome...

— Wiesz co to jest drum'n'bass?

— Muzyka.

— Brawo! Odpowiedź zasługuje na spotkanie. Idziemy zaraz do klubu „DeadEnd”. Trafisz?

— Oczywiście.

— Jak się poznamy?

— Pocałuję cię.

— Jazzy. Podoba mi się.

Wyklikalem kilka jej fotek z kolorowych magazynów. Bardzo ładna, ale dziwaczka. Jak na mój gust niepotrzebnie tak atakowała włosy: raz rude, raz białe, albo długie, albo na zapałkę. Na pewno też nie nosiła kreacji ze swojego sklepu. Ubierała się, jakby grała w filmach o przyszłości bądź wygrzebywała stroje z czasów rewolucji hipisowskiej. Taka artystka, podlotek pod czterdziestkę. Bez przesady, ledwo trzydzieści dwa. Wprawdzie na każdym zdjęciu wyglądała zupełnie inaczej, ale trudno byłoby jej nie rozpoznać.

Odniosłem sprzęt do pustego domu, odstawiłem samochód na parking, spacerem przeszedłem te kilka skrzyżowań do klu-

bu. Bar był od razu przy wejściu, żeby potańczyć, trzeba się było przecisnąć między stołkami a ścianą do sali w głębi. W tej chwili to wąskie przejście było zatłoczone jak tramwaj. Postanowiłem wprowadzić się w nastrój i wypilem na szybko dwie tequile pod limonkę. Przecisnąłem się do parkietu.

Drum'n'bass to nie jest akurat moja filiżanka herbaty — jak mawia się w Anglii — ale też nie dla mnie jest ona parzona. Natomiast jako wielbiciel Warszawskiej Jesieni potrafię docenić ideę muzyczną i dlatego w tym najbardziej odczłowieczonym ze wszystkich łubu-dubu od razu usłyszałem bardzo wysoki współczynnik dobrego samopoczucia. A narkotyki? Skoro dzisiaj rodzice dają dzieciom prochy przed klasówką, studenci zaś opierają o amfetaminę wyniki w nauce, wskazywanie na nocny klub jako źródło zła to trochę spóźnione pretensje, nieprawdaż? Podoba mi się też stonowany taniec drum'n'bassowców, bez zdziwiania i machania łapami.

Podrygując lekko na palcach, obserwowałem tańczących. Oli jeszcze nie było, lecz nie musiałem długo czekać. Przyszli kilkuniosobową grupą i utknęli w barze. Fakt, panna Marciniakówna umiała zwracać na siebie uwagę.

Tym razem ubrana była w obcisły czarny płaszcz do kostek zapięty jedynie od pępka do kroku. Nie wyglądało na to, żeby cokolwiek miała pod spodem. Długie czarne włosy spięła w dwa proste kucyki opadające po obu stronach szyi, całą twarz pokryła prawie białym pudrem, usta pomalowała najbardziej czerwoną szminką, jaką widziałem w życiu. Nie wiem, czy tak wyglądając, potrafiłaby przejść sama przez miasto w biały dzień, musiałem jednak uznać, że to jest klasa sama w sobie. Mieli sporo znajomych, lecz Ola niecierpliwie wychyliła drinka i nie czekając na nikogo przepchała się na parkiet. Kiedy ocierała się o mnie, poczułem obezwładniający zapach drogich perfum. Bardzo drogich perfum.

Obserwowałem ją zatracającą się w muzyce. Jej taniec nie miał nic z erotycznego popisu demonstrowanego przez dziew-

czynny w dyskotekach. Był od początku skupionym transem, radosnym pozwoleniem, aby muzyka docierała do każdej komórki jej ciała, ducha i umysłu. To było autentyczne sam na sam z wibrującą częstotliwością poszczególnych dźwięków poskładanych dla niej w pulsującą kompozycję przez jakiegoś młodocianego machera od dziewczęcych dusz.

Wpatrywałem się w nią pełen nienawiści, aż poczułem suchość w ustach i luźne końce kaftana bezpieczeństwa na rękach. Odwróciłem się i odepchnąwszy Bogu ducha winną parę migdalących się studentów, ścisnąłem metalową poręcz umocowaną wokół baru. Poprosiłem barmana, aby nie żałował lodu i do wody mineralnej wycisnął mi połówkę cytryny. Wychyliłem ten eliksir duszkiem, poprawiłem jeszcze jedną tequilą.

Miałem swojego zakładnika. Nikt mi już nie podskoczy.

Przeszedłem pomiędzy tańczącymi i wpiłem się w karmionowe usta. Był to najbardziej rzetelny judasz od dwóch tysięcy lat. Marciniakówna najpierw odruchowo oparła o mnie dłonie, jakby chciała mnie odepchnąć, potem widocznie przypomniała sobie naszą rozmowę, bo pozwoliła mi na prezentację umiejętności nabytych dzięki miłości wielu kobiet, które z całego seksualnego arsenału najbardziej przecież wszystkie pragną całowania. Nie ustawałem w swoich czarach i na chwilę wygrałem nawet z muzyką: panna Ola zamknęła oczy i objęła moją głowę. To był czas na przerwę. Odsunąłem ją i jakby nigdy nic poddałem się stroboskopowym płąsom. Ona stała jeszcze chwilę z niedomkniętą buzią, ale zaraz też wróciła do podrygiwania. Jednak nie na długo.

Wytarła mi usta ze szminki, drugą dłonią złapała mnie za rękę i pociągnęła w stronę baru. Tam poszeptała do ucha jednemu z kolegów, a ten nie przerywając rozmowy sięgnął do kieszeni i coś jej podał. Wróciliśmy na parkiet, gdzie tańcząc, otworzyła mi palcami usta i włożyła do nich tabletkę. Potem tak, abym widział, zażyła swoją. Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy. Połknąłem.

Nienawiść jest nośnikiem pasji silniejszym nawet od miłości, toteż kiedy znaleźliśmy się z Aleksandrą Klasą w jej mieszkaniu, rzuciłem się na nią, ledwo zdążyła włączyć jakieś chóry bułgarskich mnichów. Nie chciała, żebym przerywał, kiedy nie chcący uderzyłem jej głową o ścianę, wyciągała do mnie ręce nawet wtedy, gdy cisnąłem nią o tapczan tak, że jej kręgosłup wygiął się niebezpiecznie, a głową znowu walnęła o podłogę. Rozerwałem dwa guziki czarnego płaszcza i odkryłem tajemnicę jej dzikich fryzur i szalonych kreacji: była płaska jak deska. Wydepilowała się tak dokładnie, że wyglądała jak plastikowa lalka i budziła tym we mnie jeszcze większe poczucie bezkarności. Na szczęście dla nas obojga przemoc nie podniecała mnie i w końcu skupiłem się na samym akcie kopulacji.

Ecstasy odhumanizowała moje emocje, toteż rznąłem ją jak seksmaszyna do specjalnych poruczeń. Mocno uderzałem jej krocze, wysuwając się ile Bozia dała szybkimi ruchami, a ona krzyczała, płakała, drapała mnie, biła i ścisnęła z całych sił. Nic nie czułem i może dlatego długo nie mogłem się spuścić. Nagle, bez ostrzeżenia, jej osoba sklonowała się i rozdzieliła najpierw na dwie, potem na cztery identyczne wampirzyce, każda z parą spiczastych kłów. Ponieważ rozdzielały się gdzieś od podbrzusza, spojrzałem tam i zobaczyłem, że sam mam cztery członki niczym męska Durga, i widziałem każdy z nich, wielki jak w marzeniach, mimo że były zanurzone we wnętrzach kobiet. I widziałem, jak moje cztery łby puchną i powiększają się, stając się ciałami tych wampirzyc, które na chwilę odsunęły swoje głowy jak kobry przed skokiem, a potem wbiły się kłami w moją szyję, ja zaś eksplodowałem jak umierająca gwiazda na biliony kosmicznych kalejdoskopowych kawałków.

Leżałem na plecach, jakbym się dopiero obudził, płacząca kobieta całowała mnie bez opamiętania. Jej ślina spływała do moich ust razem ze smarkami, a ona unosiła co chwila głowę, przyglądała mi się i bluźniąc przeciwko drugiemu przykazaniu powtarzała: „Boże, Boże, Boże”. Nie przeszkadzała mi, czułem

się, jakby trzymała mnie na rękach, jakbym płynął na chmurce. Powoli dochodziłem do siebie, aż odnalazłem swoje ciało: ręce, które ją obejmowały, brzuch uciskany jej ciężarem, nogi splecione z jej nogami. Usłyszałem klasztorne śpiewy i ze smutkiem uświadomiłem sobie, gdzie jestem.

— Ożeń się ze mną — wyszeptała siostra Piotra Marciniaka. — Jestem bardzo bogata. Ożeń się ze mną.

Musiałem pozbierać myśli. Odsunąłem ją lekko i podciągnąłem się, opierając plecy o ścianę. Natychmiast zaczęła pieścić mnie ustami, rozsuwać moje nogi.

— Zostaw — przytrzymałem jej głowę. — Nie myłem się cały dzień.

— To bez znaczenia — patrzyła mi w oczy. — Kocham cię.

To była wariatka z górnej półki. Królowa wariatek. Nie czułem się na siłach z nią spierać. Mój przymus zabijania sprzed paru godzin utracił wsparcie skłębionych emocji i teraz zostałem z nim jak gladiator, który po walce chciałby iść do domu, a musi rozliczyć się za bilety z właścicielami setek kciuków skierowanych w dół. Zdawałem sobie sprawę, że to rozkładający się w moim organizmie narkotyk pozbawia mnie woli. Musiałem powtarzać w myślach imię Zuzy, żeby nie zapomnieć o swojej misji. Widocznie wypowiedziałem je głośno, bo Marciniakówna uniosła głowę.

— Ola. Mam na imię Ola.

Złapałem ją za ramiona, podciągnąłem, przewróciłem na plecy. Pochyliłem się nad nią.

— Zuza Skoczyńska. Malutka, drobna piętnastolatka. Spotkałaś ją?

— Nie.

Nie bała się mnie.

— Kasia Szczęsny, lat szesnaście. Tenisistka.

— Nie wiem, o kim mówisz. Nie obchodzi mnie, co było wczoraj. Od chwili kiedy pocałowałeś mnie, głaszcząc rękami

moje policzki, zrozumiałam, że wreszcie cię spotkałam. Całe życie czekałam na ciebie. Zrobię wszystko, żebyś mnie pokochał.

Jak łatwo jest krzywdzić kobiety. „Jedno małe popchnięcie, przechodzą i już.”

— Zabijesz ojca, brata? Umrzesz dla mnie? Ofelia od tego zwariowała. Idź do klasztoru — odepchnąłem ją.

Teraz ona pochyliła się nade mną.

— Zabiję. I umrę. Chociaż wołałabym najpierw nacieszyć się tobą. Dopiero cię znalazłam.

Była dla mnie za mocna, przynajmniej w tej chwili.

— Znasz dziewczyny swojego brata? Przeżyła któraś?

— Mojego brata? Piotrka? To dlatego chciałeś mnie poznać? I nakłamałeś o tym Nowym Jorku?

— Tak.

— Piotrek to dzieciak — pokręciła głową. — Jesteś policjantem?

— Nie. I nie miej złudzeń. Piotrek i ja nie zostaniemy szwagrami.

— Bzdura, to jakieś hipernieporozumienie. Zaraz do niego zadzwonię i wszystko sobie wyjaśnicie.

— Niech cię ręka boska broni — złapałem ją za szyję. — Mogłabyś narobić strasznego nieszczęścia. Gdzie on mieszka?

— W zasadzie mieszka u rodziców ze względu na matkę. Ale ojciec ma stały apartament w hotelach Marriott na całym świecie, w Warszawie też. Pozwala nam z niego korzystać, bo bardzo rzadko jest w Polsce. Nie wiem, ile wiesz o naszej rodzinie, ale ja jestem błędem młodości. Piotrka matka jest drugą żoną ojca.

— Czyli swoje dziewczyny bzyka w Marriottcie?

— Pewnie tak. Jeżdżą też bez przerwy nad Zalew, na Mazury, latają do Pragi, Paryża, na Cypr i Mauritius. To się nazywa jet set. Odkąd zaczął studiować, dostaje od ojca tysiąc euro

dziennie. Jak skończy studia, to będzie dwa tysiące. Tak jak ja teraz.

— Dostajesz dwieście czterdzieści tysięcy złotych miesięcznie?... — Pomyślałem o matce Zuzy.

— Być może. Nie przeliczam tego. To fundusz powierniczy i na dobrą sprawę widzę to czarno na białym raz do roku, kiedy jadę do Wiednia złożyć podpis. Na życie zarabiam sama. Dlaczego wspomniałeś Ofelię? Naprawdę chcesz zabić mojego ojca i brata? Co oni ci zrobili?

Nie odpowiedziałem od razu. Dopiero teraz rozejrzałem się po mieszkaniu. Osiemdziesiąt metrów na Krakowskim Przedmieściu z wyrzuconymi ścianami działowymi. Lubię przestrzenie, podobała mi się otwarta łazienka obok łóżka, cała będąca kabiną prysznicą w stylu tropikalnego wodospadu w środku dżungli. Ale okna miały czarne draperie, a na ścianach wisiały odwrócone krzyże, każdy owinięty czarnym muślinem. Parkiet był mozaiką ułożoną w kształt koła magicznego z drobniawo odtworzonymi napisami i znakami kabalistycznymi. Na ścianach oprócz krzyży dominowały trzy ogromne freski: po jednej stronie pentagram, po drugiej rebis, a najlepsze było na wprost łóżka, chociaż na drugim końcu mieszkania. Był to ogromny portret Bafometa, czyli szatana z głową kozła, siedzącego na kuli ziemskiej.

Przyjrzałem się twarzy Marciniakówny. Nawet placki białego pudru i resztki czerwonej szminki nie były w stanie pozbawić jej urody. Była to prawdopodobnie najpiękniejsza twarz, jaką oglądałem z tej odległości. W dodatku patrzyła na mnie z oddaniem. Czy mogło to być oszustwo? Zostałem już nazwany imieniem straszliwej Medei, czy Aleksandra Klasa mogła widzieć we mnie swojego Mistrza? Wstałem, znalazłem kurtkę, wyjąłem z kieszeni ulotki Roberta. Dla mojego rozmiękczonego mózgu podłoga wciąż była z galarety, a ściany na pewno nie miały kątów prostych. Wróciłem do łóżka.

— Widziałaś to kiedyś?

Przestudiowała ulotki ze wszystkich stron.

— Nie, w życiu. To jacyś naciągacze. Prawdziwy Kościół w życiu by na to nie poszedł.

— Skąd wiesz?

— Nie wiem. Ksiądz z ambony może prosić o pieniądze na przeciekający dach czy pomalowanie sufitu, ale nie będzie ich gromadził. To ordynarna kopia amerykańskiego protestantyzmu, gdzie pobożnych Pan Bóg nagradza złotem w komorze. Jak się zastanowić, to jest strasznie antykatolickie. Profanacja.

— Chodzisz do kościoła? — zdziwiłem się.

— Już nie, ale kiedyś bardzo chciałam. — Poglaskała mnie po twarzy. — Jak tylko zobaczyłam twoje dzinsy i starą kurtkę, od razu wiedziałam, że nie masz nic wspólnego z Fifth Avenue. Ale to było już po naszym pocałunku i przestało być ważne — całowała moje ciało.

A ja pomyślałem o AIDS i że przez tę przeklętą ecstazy nie użyliśmy kondomu.

— Zwariowałeś? — roześmiała się. — HIV-a złapiesz od mężatki, której głowa rodziny puszcza się z Ruskimi, a ona o tym nie wie, więc się nie bada. Ja regularnie sprawdzam nie tylko krew, ale i czystość pochwy. Poza tym zawsze, absolutnie i ze wszystkimi używam prezerwatywy. Dzięki temu nie muszę się nawet szprycować estrogenem.

— Chcesz powiedzieć, że nie jesteś zabezpieczona przed ciążą?!

— Przecież mówię, że zawsze używam prezerwatyw.

Czy ona kpiła sobie ze mnie?

— Utopię cię — wstałem. — Spróbuj zajść w ciążę, a Bóg mi świadkiem, wrzucę cię do jakiejś studni.

Próbowałem znaleźć spodenki. Rzuciła się na podłogę, złapała mnie za nogi.

— Będziesz mnie kochał, zobaczysz — całowała moje stopy. — I ożenisz się ze mną.

Nie chciałem jej kopać, więc usiadłem na brzegu łóżka czekając, aż się uspokoi. Przypomniała mi „Mademoiselle”, film Richardsona, i Jeanne Moreau całującą na ziemi cień swojego ukochanego drwala. To wiemy, a z takimi nie należy zadziierać.

— Musiałabyś przestać się depilować — starałem się odwrócić jej uwagę, żeby odzyskać wolność.

— Dobrze — patrzyła mi w oczy.

— Ale na całym ciele.

— A nogi?

— Tylko od kolan w dół.

— Jak trzeba, to trzeba — podniosła się, usiadła na podłodze. — Jestem brunetką. Rosną mi wąsy.

— Wąsy można.

— No i pachy.

— Nigdy w życiu. Włosy pod pachami to podstawa udanego związku. I żadnych dezodorantów.

— To obrzydliwe!

— Mowy nie ma. Od wielu lat jestem pozbawiony zanurzania nosa we włosach pod pachami. W życiu nie ożenię się z gołymi.

— A co z plażą?

— Kupisz sobie własną. Albo jeszcze lepiej, narzucisz nowy styl — spodobała mi się ta wizja. — Tak! Będziesz demonstracyjnie obnosić owłosione pachy w swoich sferach, aż za pomocą waszych kolorowych gazet ulice znowu zapełnią się naturalnym pięknem kobiecego ciała. A w nagrodę będziesz miała moją erekcję dwadzieścia cztery na dobę.

- Wariat!

— I kto to mówi...

Nie potrzebowała dużo czasu, żeby móc usiąść na mnie i sobie powzdychać. Wyglądało to trochę śmiesznie z tymi krostkami zamiast piersi, ale jej niezmiernie piękna twarz widoczna pomiędzy opadających długich włosów szybko budziła pragnienie

miłości. Pochylała się i całowała mnie do utraty tchu. Produkowała bardzo dużo śliny, ja zaś znajdowałem w tym nie znaną mi wcześniej podniecającą przyjemność. Jednakże narkotyk powoli przestawał mnie tumanić, a coraz bardziej przestraszały myśli, że kiedy mordowali Kasię, ja też akurat zaspokajałem swoje chucie. Nie chciałem wierzyć, że Zuza może umrzeć: przecież miała dać mi nić do labiryntu. Ale nie zwariowałem tak do końca i bałem się, że uskutecznię sobie jakieś bergmanowskie zabawy ze śmiercią i że mogę za to zostać po bergmanowsku przykładowo ukarany.

Łykałem ślinę Ofelii i nie potrafiłem wymyślić, co lepszego mógłbym teraz robić.

ROZDZIAŁ XIX

Było już zupełnie jasno, kiedy zadzwonił telefon. Szczęsny.

— Za ile może pan być u mnie?

— Za pół godziny.

Przyzwyczajalem się do naszych męskich rozmów: żadnych zbędnych ozdobników. Żeby tylko znowu nie popsuł wszystkiego na żywo. Nie zdążyłem jeszcze odłożyć komórki, kiedy usłyszałem, jak Ofelia szepcze przez swoją.

— Piętnaście minut.

— Gdzie dzwoniłaś?! — rzuciłem się do niej.

— Po taksówkę — zdziwiła się. — Nie zostawię cię, dopóki nie wyjaśni się sprawa z moim bratem.

Powinienem ją być pewnie przeprosić. Przeklęte narkotyki.

— To czemu szeptałaś?

— Nie chciałam przeszkadzać w twojej rozmowie.

Weszliśmy razem do tropikalnego raj. Po włączeniu światła podłoga od razu stała się gorąca, spomiędzy gęstwiny liści trysnęły strumienie ciepłej wody, nawet usłyszałem ćwierkające koliberki. Myliśmy każde siebie. Ona podwiązała włosy i umyła twarz, która w tym momencie po prostu obezwładniała. Kiedy zobaczyłem ją podczas tej najzwyczajniejszej czynności, jak siedząc na kamieniu myje sobie stopy między palcami, dopadła mnie desperacja. Znowu złapałem ją za szyję, obiema rękami.

— Jeżeli mnie okłamujesz — przycisnąłem ją do ściany — przysięgam, że zabiję cię razem z resztą waszego pomiotu.

— Dobrze — zdołała wydusić. — Nie musisz rozpaczać — rozluźniła moje dłonie. — To tylko reakcja po ecstazy. Widocznie dawno nie brałeś. Nie przejmuj się tak.

— Dawno?... — próbowałem opanować mózgową drgawki. — W życiu już nie wezmę tego świństwa.

W taksówce Aleksandra Klasa pokazała klasę.

— Jest piąta rano — powiedziała do radosnego jak pierwiosnek kierowcy. — Będziemy wdzięczni, jeżeli pan zamilknie.

Ale to było nic w porównaniu z miną Szczęsnego, kiedy ją zobaczył. Widocznie wiedział, kim jest. Sam też był w towarzystwie. Przedstawił ich nazwiskami — „pan Andrzej Guzik, mój przyjaciel Waldek ...czyński” — ale liczyło się to, że pierwszy był ojcem dziewczyny, którą udało się wydostać z jakiejś sekty, a drugi cichociemnym od takich spraw. Nosił okulary słoneczne i nie odzywał się. Widocznie zaimponował mu Krzysztof Kolberger w „Ekstradycji”. Szczęsnemu płały się formułki, a oczy wciąż odwracały w stronę Marciniakówny.

— To jest Ofelia — nie mogłem się powstrzymać.

— Poproszę o kawę. — Ola nie czuła się onieśmielona.

Na stoliku pod oknem zgromadzone były wody, cole, soki i dwa termosy. Przypomniała mi się panna Cecylia. Na pewno to ona tak o nas zadbała. W tej chwili Szczęsny sam bawił się w kelnera. Przywołał mnie ruchem głowy.

— Dlaczego pan ją przyprowadził?

— A czy w tym, co usłyszę, pojawi się nazwisko pana ulubionego wroga?

— Nie.

— Więc niech pan nie uczy ojca, jak się robi dzieci.

— Czy pańska Ofelia zna los Poloniusza? I Laertesza? — szeptał dalej. — To jakieś niesmaczne zabawy.

— Zapomniał pan o Klaudiuszu.

Patrzyliśmy sobie prosto w oczy i — wiercie lub nie — wycofał się. Wprawdzie nie było to jeszcze przyznanie się do winy, raczej aroganckie: „No i co z tego?“, ale zawsze.

— Panie Szczęsny, pan usiłuje kwestionować metody mojej pracy. — Nie miałem zamiaru cieszyć się z tej małej wygranej. — Niech pan to sobie wybije z głowy. Pan mnie nie zatrudnia. Pan mi pomaga z miłości. Tak jak ona.

Nie przekonałem go, wyraźnie nie chciał jej tutaj: może mimo wszystko udało mu się zachować jakieś resztki zasad. Nalał kawę do dwóch filiżanek, oni mieli już swoje.

— Dlaczego interesuje pana Kościół Bożej Miłości? — już nie szeptał.

— Na własnych rękach zaniósłem pewną piętnastolatkę do szpitala po tym, jak przedawkowała — mówiłem do wszystkich. — Uratowali ją, załatwiliśmy jej ośrodek. Uciekła stamtąd, zasugerowano mi, że namówiona do tego przez członka jakiejś sekty. Pojawiła się u mnie w domu, zdopingowałem ją do kontynuacji leczenia. Ale wczoraj znowu uciekła uwiedziona przez dilerka, niejakiego Jakuba Lenkiewicza. Kiedy rozpytywałem o niego, dostałem do ręki to... — podałem im ulotki przeniewierców. Ze względu na cichociemnego postanowiłem nie dzielić się informacją o Śledziu. — Byłem na Mrocznej, tam nic nie ma. Ich nie interesuje korespondencja.

— Ale co to ma wspólnego... z nami?

Szczęsny mógł być dobry w pokera w swoim świecie, lecz w tej chwili wykladał się jak ostatnia offerma, sam o tym nie wiedząc.

— Jak pan się zamknie i pozwoli mi wreszcie dowiedzieć się czegoś, to może panu powiem. — Byłem zły, bo Kolberga potrzebowałem tutaj jak dziury w moście.

Ten ojciec, Andrzej Guzik, spieszył się ciszą, jaka zapadła.

— Podobnie było z moją córką — zaczął więc pierwszy, odchrząkując wielokrotnie. — Też brała narkotyki, zaczęła leczenie, państwowe, za darmo. Potem nagle zaczęła domagać się

pieniędzy na różne terapie i medytacje, oczywiście dawałem jej, aż zniknęła i przysłała list, że jest z ludźmi, którzy ją rozumieją, i że do nas nie wróci. Pół roku jej szukałem, aż znalazłem na Śląsku. Prostytuowała się dla nich, chociaż ma dopiero siedemnaście lat.

— Mógłbym z nią porozmawiać?

— Nie — rozejrzał się po twarzach ludzi, którzy go tu przyprowadzili. — Myśmy ją zabrali... porwali z ulicy. Ciągłe jeszcze nas nienawidzi. Ale specjalistka, która z nią pracuje, mówi, że to kwestia czasu — wypowiadał te słowa jak najgorętszą modlitwę.

— Życzę panu tego z całego serca. Ale bez obrazy, nie wiem, po co pana tu ściągnęli. — Zwróciłem się do Kolbergera. — Przecież pan mógł mi to wszystko opowiedzieć.

— To znaczy nie — Andrzej Guzik wiercił się w fotelu. Nie używał oparcia. — Ja mam dużo informacji. Jak jeszcze szukałem Małgosi, wstąpiłem do RPS, Rodzice Przeciw Sektom. Cały czas tam działałem, pomagam innym, którzy szukają swoich dzieci. Proszę pytać.

— Czy Kościół Bożej Miłości — wskazałem ulotki — to sekta?

— Tak, chociaż nazwałbym ich raczej organizacją posługującą się metodami zapożyczonymi od różnych sekt. Oni...

— Chwileczkę. Czyli kierują tą organizacją konkretni ludzie, którzy mają jakieś nazwiska?

Szczęśny podszedł do biurka i podał mi kilka kartek formatu A4. Była to kopia dokumentów rejestracyjnych Kościoła Bożej Miłości. Wczytywałem się w nazwiska, adresy, pesele i numery dowodów osobistych.

— Może pan sobie darować — odezwał się ...czyński. — To wszystko słupy. Wielu z nich już nie żyje z przepicia lub przedawkowania.

— Kto więc korzysta z konta, chociażby z tych pieniędzy, które przysyłają staruszkowie?

Szczęśny podał mi jeszcze jedną, złożoną kartkę. Były na niej trzy nazwiska.

— Arkadiusz Bruzda, Sławomir Kołodziej, Piotr Maślaniec — wyrecytował z pamięci Kolberger.

— No to do roboty — wstałem.

— Nadali sobie tytuły biskupów, zaangażowali jedną z najlepszych kancelarii prawniczych i może im pan naskoczyć. W dodatku zajęci pracą ewangelizacyjną są nieuchwytni. Pan by powiedział, że się ukrywają, ich prawnicy mówią, że są w podróży. Nie popełnili żadnego przestępstwa zapisanego w kodeksach i nikt dbający o emeryturę nie będzie ich napastował.

— Ja nie dbam o emeryturę.

— To dobrze. Ale mogą być teraz w Monte Carlo. Albo w Barcelonie. Może w Berlinie, w Rzymie albo na północy Szkocji. Niech pan słucha.

Skrzywdzony ojciec zrobił mi krótki wykład o lukach prawnych sprzyjających powstawaniu sekt, zresztą nie tylko w Polsce. U nas zapewniono ulgi w przepisach podatkowych dla organizacji wyznaniowych i od razu zarejestrowało się wiele najróżniejszych „Kościołów”, niektóre dla jednorazowych przekrętów, inne z myślą o robieniu długofalowych interesów. KBM, jak nazywają Kościół Bożej Miłości, żeby nie profanować wciąż pięknych przecież słów, został stworzony w celu produkcji, przemytu i dystrybucji narkotyków, patrząc z perspektywy tego, co wiemy dzisiaj. Postawili na werbowanie „wiernych”, najczęściej młodzieży na gigantach, po przejściach rodzinnych, z kryminalną przeszłością, oraz studentów poszukujących najróżniejszych form pomocy duchowej w propozycjach różnych medytacji, rozszerzania świadomości itp. W ten sposób stworzyli siatkę dilerką, której członkowie byli im oddani na śmierć i życie.

— Kto to wymyślił?

— Stanisław Pasikoń, pseudonim „Dzięcioł”, szef jednej z grup przestępczych działających w południowej Polsce — ...czyński nawet nie musiał zaglądać do notatek.

Pasikoń stworzył kilkusetosobową armię „wyznawców”, którzy na pewien czas opanowali praktycznie cały rynek dystrybucji narkotyków na Śląsku, w Małopolsce i na Podkarpaciu. Wywołało to oczywiście różne wojny mafijne i uwikłany w kilka zabójstw „Dzięcioł” został skazany na dożywocie. Po jego aresztowaniu KBM zszedł do podziemia. Porozumiewają się za pomocą SMS-ów i Internetu, od jakiegoś czasu zmienili też pomysł na werbowanie nowych członków. Zamiast deklaracji oskarżających Kościół i księży coraz częściej używają retoryki katolickiej. Polują na wszelkiego rodzaju złotych młodzieży, pielgrzymkach, festiwalach, pojawiając się jako „swoi”, a w rzeczywistości wylapują ludzi, w których potrzeba buntu jest silniejsza od akceptacji pokory.

— Na dziś można powiedzieć, że KBM to rozproszona po całej Polsce tajna organizacja kierowana przez struktury przestępcze. — Guzik i ...czyński wręcz prześcigali się w informacjach. — Mają ogromne środki, niezbyt sprecyzowane dogmaty religijne i są w stanie w ciągu paru godzin skrzyknąć się na sabat w odludnym miejscu, gdzie oddają się narkotykowo-seksualnej orgii. Ale nawet te czarne msze nie są głównym celem. Jest to wspólny targ niewolników, gdzie pod pozorem obrzędu handluje się dziewczynkami i coraz częściej chłopcami na całą Europę.

Wyczułem bardziej, niż dostrzegłem, że Ofelia zmieniła aurę. Zmniejszyła się, drżącą drugą dłonią objęła pustą filiżankę i udawała, że pije. Aby odwrócić od niej uwagę, podszedłem do bufetu, zwracając się do Szczęsnego:

— Bardzo trudno mi uwierzyć, że jednak ktoś za takim „Dzięciołem” nie stał i że teraz, kiedy go zabrakło, nikt poważny tym nie kieruje.

Wziąłem termos z kawą, wróciłem do Marciniakówny, nalałem jej. Spojrzała mi błagalnie w oczy — chciała, żebyśmy stąd poszli. Zgodziłem się opuszczeniem powiek.

— Co pan sugeruje? Mafię? Polityków? — agent służb specjalnych wzruszył ramionami.

— Ciepło, zaledwie ciepło. Bo dlaczego wiedząc tyle, nie jesteście w stanie tego powstrzymać? — dolałem mu kawy.

Zdziwił się.

— Niech pan się o nas nie martwi. Pan sam aż promienieje genialnym planem. Co to będzie?

Dolałem jeszcze kawy ojcu z RPS-u, chciałem zrobić to samo z filiżanką Szczęsnego, ale zakrył ją dłonią. Patrzył mi w oczy i chyba zaczynał rozumieć.

— Niech pan odeśle swoich gości.

Najpierw mimo wszystko chciał zaprotestować, w końcu popatrzył na mnie jeszcze raz i zrezygnował. Wstał.

— Waldeczku — podszedł do Kolbergera — dzięki za wszystko. Naradzimy się tu z panem i dam ci znać.

— Nie wiem, czy to dobry pomysł — ..czyński nie wyglądał na przekonanego. — Postaraj się nie robić więcej niż tylko jedno głupstwo na raz. — Spojrzał w moją stronę. — Pan znowu odtrąca naszą pomocną dłoń. To nierozsądne — pokiwał palcem w moją stronę.

— Sam pan sobie odpowiedział. Jeszcze się nie poznaliśmy, a pan już mi serwuje zawołowane groźby.

Wymieniliśmy grabę z ojcem uratowanej Małgosi.

— Mógłbym panu opowiedzieć dużo więcej.

— Wiem i dlatego nie chcę. To by mnie rozpraszało. Wszystkich sekt od razu nie zlikwidujemy. Jak już dogada się pan z córką, niech ją pan uściska i ode mnie.

Wyszli kłaniając się Oli, zdołała im odpowiedzieć.

— Masz komórkę? — wyciągnąłem do niej rękę. Podała mi swój telefon bez słowa. — Idź teraz do łazienki.

— Co?

— Zrób siusiu, przypudruj się. Zaraz stąd pójdziemy.

— W dalszym ciągu nie rozumiem... — zaczął Szczęsny, kiedy wyszła.

— Przestań pan. Wolę te nasze rozmowy twardzieli, bez zbędnych słów, a nie: nie rozumiem, czy: jak pan śmie. Te ulotki

— pozbierałem je — drukował, a w każdym razie miał z nimi coś wspólnego niejaki Śledziu, człowiek Marciniaka. Ten sam, który przyjechał do mnie z wizytówką zabraną Kasi, który twierdził, że Kasia była u Marciniaka w domu, i którego kole-dzy zastrzelili za to, że ze mną rozmawiał.

Szczęśny przetrwał otrzymane informacje. Aż zmrzył oczy.

— Czego pan potrzebuje?

— Pół tuzina pełnych magazynków do skorpionia. Takich, żeby do mnie nie trafili. Bo ze Stadionu to sam potrafię. I pudełko naboji do magnum.

— A nie lepiej od razu bazookę? — podniósł wzrok.

Odwrociłem się. W drzwiach stała Ola. Smutek i niepokój czyniły jej nieziemską twarz jeszcze ładniejszą. Pewnie piękniała również podczas sraczki.

— Umiesz strzelać z bazooki?

Pokręciła głową. Podeszedłem do niej.

— Niech pan nic nie wymyśla i nic nie kombinuje. Proszę pamiętać, że nie robię tego dla pana. Jeśli rzeczywiście nie może pan już beze mnie żyć, to będzie pan miał duże pole do popisu potem. Jak przyjdzie do sprzątnia.

— Jaki pan jest irytujący! Przecież...

— Powiedziałem już panu. To nie jest pańska wojenka. Niech mi się pan przyjrzy: mam białe skrzydła i aureolę. Panu brak tych atrybutów. Dlatego niech pan się nie wtrąca, najwyżej dalej mi się podlizuje. I pozwoli mi się wyspać. Proszę nie dzwonić, sam się zgłoszę.

Wziąłem Olę za ramię, wyszliśmy. Oddałem jej komórkę i poprosiłem o taksówkę. Szliśmy powoli Dąbrowskiego w sierpniowym poranku, oprócz nas nie było żywego ducha. Ola chciała się przytulać, ale nie pozwalałem. Co parę kroków odbijała się ode mnie jak od ściany. Szła ze spuszczoną głową, ze zwieszonymi ramionami. Luźny czarny sweter ukrywał jej komiczny brak doskonałości i w komplecie z czarnymi spodniami

i w złotych pantofelkach lżejszych chyba od puchu wyglądała po prostu bosko. Być może miała jakiś makijaż, ja w każdym razie nie widziałem, jak go nakładała.

— Kiedy on powiedział o tych obrzędach... Rozmawialiśmy niedawno z Piotrkim, oblewaliśmy moje nowe mieszkanie, moje dekoracje. Piotrek był zachwycony. Opowiadał mi niestworzone historie o pogańskich obrzędach i że teraz też tak robią. Cytował Aleistera Crowleya i jego wskazówki, że „najlepsze do złożenia w ofierze jest niewinne dziecko płci męskiej o wysokim stopniu inteligencji”. Że wciąż istnieją kultury, w których podczas czarnych mszy zapładnia się kobiety po to, aby dokonać jak najpóźniejszej aborcji, a co robią z płodem... nie będę tego powtarzać. Byliśmy napaleni haszem, siedzieliśmy w ciemnościach przy kilku zaledwie świecach, ktoś obok kochał się na podłodze wzywając dramatycznie dziesięć imion Pana z księgi Zohar. Piotrek chciał mi pokazać, co to jest pięcioraki pocałunek, pozwoliłam mu dotknąć się w kilku miejscach, kapać świecą w kształt odwróconego krzyża na swój brzuch, ale nie zgodziłam się na włożenie rozgrzanego sztyletu do pochwy. Powiedział, że to i tak nie ma znaczenia, bo to jest obrzęd pozabawienia dziewictwa.

— Wiesz, co to znaczy? — stanąłem porażony.

— Co masz na myśli? — patrzyła na mnie zboląła.

— Że robią to małym dziewczynkom, ty głupia, wyuzdana, zdegenerowana wariatko!

— Przecież ja tego nie robię! — prawie płakała. — A poza tym to była tylko impreza! Nikomu nie działa się krzywda!

— Więc uważasz, że to wszystko sobie wymyślił?

— Tak uważałam! Że to po prostu klimat wieczoru! Zabawa.

Staliśmy na środku pustej ulicy jak zaciętrzewione małżeństwo na ringu tuż przed gongiem zezwalającym na rękoczynny. Ja nie mogłem uwierzyć, żeby mając cały świat u stóp, ktoś mógł zamieniać go w kloakę. Jej ten świat rozpadał się i przerażona widziała, że nie zechcę jej pomóc go poskładać.

— Musisz mi przysiąc, po prostu musisz, że uratujesz mojego brata. Niech go skążą w sądzie, może trzeba go będzie leczyć, ale nie możesz go zlinczować — wzięła mnie za ręce. — Każdą miłość można zabić. Moją do ciebie też.

— Ty wiesz, gdzie ich znaleźć.

— Przysięgnij!

— Przysięgłam — skłamałam.

Jeszcze w taksówce dodała nagle:

— Ten człowiek... Szczęsny... nie ufaj mu. On nienawidzi mojego ojca. Starli się kiedyś i Szczęsny długo lizał rany. Myślę, że wciąż szuka pretekstu, żeby się odegrać.

— Nie wiem, jak to się skończy — udało mi się rozluźnić szczęki — ale jest taka rodzina, Gawrysiakowie — podałem z pamięci częstochowski adres. — Odnajdziesz ich i zajmiesz się nimi. Kup im mieszkanie.

— Widzisz? Już mnie kochasz. — Jej rezygnacja zniknęła, jakbym przekazał jej tym żądaniem nowy zastrzyk nadziei, uśmierzył lęk. — I ożenisz się ze mną.

Była piękna i miała w sobie niebezpieczny urok dekadencji. Jedną rękę wsunęła mi pod ramię, drugą przytulała moją twarz do swoich ust. Pewnie zawsze dostawała to, co chce. Mogłem mieć jedynie nadzieję, że się mną znudzi, zanim zaciągnie mnie do ołtarza. Bo nie liczyłem na to, że nie potrafi wystąpić w białej sukni, welonie i z odkrytymi owłosionymi pachami. Na razie musiałem podjąć decyzję, co z nią zrobić. Nie powinienem zostawiać jej samej, żeby nie wpadł jej do głowy jakiś głupi pomysł. A zabierać ją ze sobą na wojnę też nie było najlepszym rozwiązaniem. Najchętniej trzymałbym ją związaną i zamkniętą w komórce. Ale co by się z nią stało, gdybym nie wrócił?

Byłem zmęczony, rozbity, głodny i potrzebowałem snu.

— Proszę nas wysadzić pod Bristolem.

ROZDZIAŁ XX

Po śniadaniu przeszliśmy spacerem do jej mieszkania. Zaczęła mnie rozbierać, jak tylko zamknęliśmy drzwi — dźwignąłem ją i na rękach zaniósłem do łóżka. Jej oddaniu trudno było się oprzeć. Usiadłem, ułożyłem ją sobie na kolanach i całowałem, całowałem, całowałem. Do zwariowania. W końcu mogłem zasnąć mając pewność, że na razie świat nie zrobi mi krzywdy. Bo moja zakładniczka raczej wysadzi go w powietrze, niż na to pozwoli. Czytałem kiedyś wiersz:

Katastrofa pomieszanych zmysłów
Krzyk

Pytanie wiszące
Jak niedokończona szklanka litości

Ostrość spojrzenia na to co było
Na to co być mogło

Barwa mistrza
Na palecie dnia dzisiejszego
Z perspektywą
Jeszcze jutro

*Jeszcze trochę
Przeczekać
A potem znowu rzucić się
Zapomnieć
Zwinąć w kłębek
Embrion pulsujący bólem
Jedyny moment w życiu
Na prawo do eutanazji*

*A potem jeszcze raz
Subtelna analiza
Kończąca się w momencie
Nieuniknionego*

*Czekanie
Spowiedź
I podróż
W głąb pojednania
Z losem
Z przyszłością
Z tragedią*

Wtedy, ćwierć wieku temu, był dla mnie niejasny, teraz boleśnie rozumiałem każdą linijkę. Ja też zostałem pozbawiony wyboru.

— Opowiedz mi jeszcze raz, słowo po słowie, co mówił twój brat. — Wytarłem jej łzy, przy tuliłem ją, starając się zapamiętać na zawsze zapach jej perfum. Bo nie groziło mi, że je poczuję na kimś innym, że jeszcze raz kiedykolwiek pocałuję kobietę, którą będzie stać na tak dobrych alchemików od stuleci szukających dla różnych dam sposobu na zatrzymanie przy sobie mężczyzny. Na pewno ze mną dali sobie radę.

— Z jego opowiadania na temat tych seksualno-magicznych obrzędów wynikało, że bierze w nich udział. Zapytałam go o to,

a on potwierdził. Nie wierzyłam w różne okropne szczegóły i podawałam je w wątpliwość, na przykład to jedzenie kawałków pieczonego płodu.

Dowadywałam się, jak brat proponuje siostrze, żeby pod pretekstem ceremonii kochała się z kilkunastoma facetami na raz. Słuchałem o nocach na pustyni, o pochodniach, o sądzieńiu skazanych na śmierć zdrajców i wbijaniu noży w ich błagające o litość ciała. O płaczu rozprawiczanych na ołtarzu dziewic, o diabelskich penisach wielkich jak ramię i pokrytych sierścią, które mają być lekarstwem na nudę życia seksualnego w wydaniu drobnomieszczkańskim.

— Dalej w to nie wierzyłam, przysięgam, Piotrek to taki dzieciuch. Kiedy przypominał mi, że mam sklep i nie mogę nagle wyjechać do Afryki, powiedział, że to uroczysko jest dwa kroki stąd, w Polsce. Pamiętałam ze szkoły o jakimś piachu na Śląsku, potwierdził, że chodzi o Pustynię Błędowską. I że to nie żaden piach, tylko jedno z najbardziej tajemniczych miejsc na ziemi, bo nawet naukowcy nie wiedzą, skąd wzięła się pustynia w środku Europy. Starał się tłumaczyć mi pojęcie czakramu i holograficzną koncepcję czasoprzestrzeni, ale nie szło mu najlepiej. Wróciliśmy więc do tematu seksu i rozstaliśmy się w kpiących oskarżeniach, że on szuka zaspokojenia, a ja miłości. Przedtem jeszcze, wciąż wątpiąc w te jego sabaty, zapytałam, kiedy niby mielibyśmy tam pojechać. Powiedział, że pod tym względem nic nie zmieniło się od tysięcy lat. Że zawsze spotykają się podczas pełni księżyca.

Pomyślałem, że kilka magazynków do skorpionia może mi nie wystarczyć. Staralem się wyobrazić sobie taki zjazd zboczeńców na pustyni i poddało mi to pewną myśl. Kochają diabelskie zabawy? W takim razie nie powinni mieć pretensji, jak ktoś im roznieci trochę piekielnych płomieni. Wystukałem numer Szczęsnego.

— Jeszcze nie jestem gotowy — usłyszałem od razu w telefonie.

— Nie szkodzi. Proszę dopisać do zamówienia trochę tych magnezowych zabawek na samochody. Z włącznikami czasowymi. I dobry noktowizor.

— Trochę?

— Dużo.

— Może jednak zdecyduje się pan na F-16? Dorzucę w promocji.

Tym razem ja rozłączyłem się bez pożegnania.

Spałem długo, głęboko, bez koszmarów. Może dlatego, że czarne zasłony nie przepuszczały światła. Albo mój organizm odpoczywał po narkotykowej fięście. Może po prostu byłem zaspokojony seksualnie. I nie musiałem już martwić się ani śpieszyć, bo wiedziałem, gdzie mam być, kiedy i po co.

Ale może też dlatego, że kiedy po przebudzeniu otworzyłem oczy, poczułem w ciemności znajomy zapach i dotknąłem miękkich włosów, przez chwilę nie pragnąłem niczego więcej prócz bezgranicznej miłości, pocałunków z mnóstwem śliny i słuchania, że szukała mnie całe życie. Może dlatego spałem tak spokojnie, że po raz pierwszy w życiu nie chciałem być gdzieś indziej, nie myślałem o innych czekających na mnie w szerokim świecie kobietach. Nie zastanawiałem się, co może się z nami stać, kiedy erotyczne bodźce przestaną działać. Nie potrzebowałem wiary, że dziewczyna leżąca obok któregoś dnia zostawi mnie i pofruśnie dalej, dzika i swobodna. Zapach jej szyi wywoływał wzruszenie: jeszcze kilka godzin temu myślałem, że cię nienawidzę! Teraz chcę cię obronić, chcę, żebyś ocalała. Chcę poznać twoich przyjaciół i rozmawiać z nimi o kolorystyce w symfoniach Brittena, o anegdocie w malarstwie nieprzedstawiającym. Chcę myć twoje piękne stopy i całować je do zatracenia.

Może dlatego spałem tak dobrze.

Leżałem długo, kontemplując swoją samotność. To było prawdziwe seminarium na temat: miłość a pojęcie wolności osobistej. Nieumiejętność kochania przy nieświadomionej po-

trzebie silnego związku. Ale byłem już po spotkaniu z ursynowskim proboszczem, więc szybko ujrzałem swoją śmieszłą osobę w szczelnym akwarium, w którym pedantycznie pozatykałem najmniejsze szczeliny. Bo tak mnie narysował tamtego wieczoru. Że doznawszy w dzieciństwie krzywdy musiałem zbudować sobie jakiś bunkier przeciw światu. Gdyby nie wstrząs spowodowany śmiercią Kasi, udusiłbym się w nim i spędził resztę życia nie wiedząc nawet, że stałem się frankensteinem takim samym jak ci, których nienawidzę. I dlatego tamten ksiądz kazał mi szukać w sobie empatii, spotkania z drugim człowiekiem. Bo moje dzisiejsze pomaganie słabszym w dalszym ciągu odbywa się p r z e c i w k o światu.

Olu, moja biedna siostró!

Głaskałem jej plecy, a kiedy odwróciła się, po raz pierwszy przesunąłem dłoń po jej płaskiej klatce piersiowej. Przytrzymała moją rękę i mocno przycisnęła.

Potem myśliśmy się nawzajem pod Iguacu, jeszcze później stałem przed portretem Bafometa i wpatrywałem się w jego czerwone ślepia w kudłatym łbie. I nic. Tynk i farby.

Ola reorganizowała przez telefon swój czas i obowiązki, a kiedy skończyła, zadzwoniłem do Szczęsnego.

— Jest pan gotowy? — tym razem ja się nie przywitałem.

— Na parkingu obok pańskiego samochodu stoi biała **Vec-**tra. Ma otwarty bagażnik.

— A skąd pan wiedział, gdzie parkuję? — zażartowałem.

— Niech pan nie będzie śmieszny — rozłączył się.

Zamówiłem taksówkę, pojechaliśmy z Olą na Nowogrodzką. Elegancka torba podróżna, którą wyjąłem z bagażnika białego opla, była o wiele większa i cięższa, niż się spodziewałem. Przerzuciłem ją do bristola, zabrałem Olę czekającą przy wyjeździe, podjechałem do domu i rozpakowałem.

Bomba magnezowa z zapalnikiem czasowym ma wygląd i wielkość dużego telefonu komórkowego, a jej główną zaletą jest to, że w ciągu ułamka sekundy po odpaleniu wytwarza

temperaturę kilku tysięcy stopni. Jeżeli — nie daj Boże! — wybuchnie na przykład pod samochodem, to zamienia się on dość szybko w gotującą się kupę stopionego metalu. Mój prosty plan polegał na tym, że całe to Piotrusiowe towarzystwo nie będzie raczej wędrowało na sabat Szlakiem Orlich Gniazd, podpierając się kijkami. A na odgłos pierwszych strzałów wszyscy runą do swoich maszyn, żeby znaleźć się jak najdalej od zamieszania. I ktokolwiek z nich przywiezie ze sobą ofiary, na pewno nie będzie ich zabierał w czasie ucieczki.

Na wszelki wypadek nie mówiłem Oli o swoich planach — mogłaby nie okazać zrozumienia i uznać, że przekraczam granice obrony koniecznej. I tak martwiło mnie, że nie zadaje pytań, choć nie mogła wiedzieć, co oglądam, układam i przeliczam. Siedziała w milczeniu, patrząc na moje ręce. Kiedy już rozłożyłem wszystko na stole, przyniosłem swoje urządzenie do wykrywania nadajników. Zaczęło piszczeć, jak tylko je włączyłem. Po chwili udało mi się wytypować jeden z magazynków do skorpiona. Odseparowałem go od reszty — była czysta. Nie spodziewałem się niczego innego. Umieściłem sprzęt we własnej torbie, zabrałem ją za ścianę i z szafy pancерnej dorzuciłem skorpiona, magnum i tłumiki. Czego oko nie widzi... i tak dalej. Dołożyłem trochę elektroniki według zasady, że nigdy nie wiadomo, co i kiedy może się przydać.

Wróciłem do pokoju — Ola nie zmieniła nawet pozycji. Zainfekowany magazynek włożyłem z powrotem do torby Szczęsnego. Żeby ją wypełnić dla oka, dodałem całą makulaturę, jaką miałem w domu. Jeszcze raz sprawdziłem wszystko antypluskwą, potem przejechałem nią po sobie, po mieszkaniu, po Oli. Usiadłem obok niej.

— Masz jakiegoś kolegę z szybkim samochodem?

— Czuję się jak ta dziewczyna żegnająca ułana z obrazu Kossaka — ścisnęła moje dłonie. — Dlaczego uważasz, że wolno ci ich zabijać? Dlaczego po prostu nie pójdziemy na policję? Kim jesteś?

— To długa historia i nie czas ją teraz opowiadać. Ty bawisz się z Bafometem, ja czuję jego śmierdzący oddech od kilku tygodni. Od czasu jak zabili Kasię Szczęsny, słyszałaś o tym? To ją chciałem kochać nad życie, z nią chciałem się żenić.

Ola wyprostowała się i spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

— Z córką Szczęsnego? Ile ona miała lat?

— Szesnaście.

Milczeliśmy dłuższą chwilę. Nie uciekałem wzrokiem.

— No to coś ci się chyba pomieszało. Albo nie mówisz mi wszystkiego.

— Nie mówię.

— Piotrek jej nie znał.

— Znał.

— Nie znał — kręciła głową, grzebiąc w pamięci. — Rozmawialiśmy o niej już po tym, jak zginęła. Nie powtórzę ci teraz jego słów, ale chodziło właśnie o to. Że nie zdążył jej... — spojrzała na mnie — poznać.

— Wyruchać, tak powiedział, prawda?

— Bartek, ja się ciebie nie boję — dotknęła moich zdrętwiałych ust. — Jeżeli będziesz mnie bił, uznam jedynie, że taki już mój los. Ale wybacź, to się nie trzyma kupy. Nie mogłeś się ożenić z nastolatką.

— Chciałem poczekać. — Wiedziałem, że jestem śmieszny.

— Ale ona nie czekała na ciebie! Nawet jeżeli wasz romans zatrząsł jej ziemią w posadach. Była na to za młoda — wciąż kręciła głową. — Piotrek jej nie zabił.

— Nie było żadnego romansu. A tuż przed śmiercią była u was w domu. Może nawet tam zginęła.

— U nas w domu? A co na to policja? Dlaczego w takim razie nie przesłuchali Piotrka?

— Nie wiem. Twój ojciec ma mnóstwo pieniędzy i mocne plecy.

— A Szczęśny nie? Teraz rozumiem te jego niedopowiedzenia. Ty szukasz dla niego mordercy.

— Nie szukam.

— Więc o co chodzi? Masz ją pomścić?

— Ja chcę... — nie było to już takie łatwe. — Chcę, żeby Kasia zmartwychwstała.

Nawet nie drgnęła jej powieka.

W końcu zadzwoniła do kolegi, który lubił swoje audi RS6 i chętnie popisывał się jego monstrialną mocą. Powiedziała, że jesteście śledzeni, chcemy zniknąć i oddała mi słuchawkę.

— Cześć. Jest piętnaście po trzeciej. Możesz być punktualnie o czwartej na lotnisku?

— Całkiem spokojnie. I co dalej?

— Wjedź na parking, na drugie piętro, stań tak, żeby było obok ciebie miejsce dla naszego samochodu. Dojedziemy, przeskoczmy do ciebie i wywieziesz nas skulonych na podłodze. Bilet jest ważny piętnaście minut, więc nie przyjeżdżaj za wcześnie.

— Całkiem spokojnie. Gdzie pojedziemy?

— A chcesz do Krakowa?

— Jeżeli się nie boisz... Ja mogę. Całkiem spokojnie.

— No to jesteście umówieni.

Szybko się rozłączyłem, żeby jeszcze raz nie odpowiedział swoją ulubioną formułką. Zamknąłem mieszkanie, wrzuciłem torby do bristola. W Alejach Jerozolimskich zawróciłem na skrzyżowaniu z Żelazną i stanąłem pod kioskiem Wojskowych Zakładów Kartograficznych. Na ich szczegółowych mapach Polska podzielona jest na kilkaset ponumerowanych kawalków. Wytypowałem numer potrzebnej mi okolicy, a potem poprosiłem o mapy od dwudziestu numerów w dół do dwudziestu w górę. Pokrywały prawie połowę południowej Polski.

— Ale to będzie dwieście czterdzieści cztery złote — ostrzegła mnie sprzedawczyni.

— Mogę zapłacić kartą?

Wcisnąłem torbę z mapami do swojego bagażu. Była dokładnie minuta po czwartej, kiedy przy wjeździe na lotniskowy parking wyciągnąłem bilet, aby otworzyć barierkę. Wtoczyłem się na drugie piętro, odnalazłem czarnego RS-a. Przerzuciłem do niego torbę z bronią i mapami, tę z makulaturą zostawiłem oczywiście w bristolu. Przypomniałem Oli o wyłączeniu komórki, ze swoją zrobiłem to już wcześniej. Szczęsny przyjaźnił się z cichociemnymi, a wiedziałem, że nie potrzebują nawet nadajników — wystarczy im, że ktoś porusza się z włączonym telefonem. Oczywiście przedtem zawsze kilka dni wcześniej występował na piśmie o nakaz prokuratorski. Bezwzględnie.

Audi RS6 avant to duży samochód, w dodatku właściciel przewidująco odsunął przednie siedzenie. Kiedy wskoczyłem do tyłu, Ola już czekała na podłodze z rozstawionymi kolanami i wyciągniętymi rękami.

— Spróbuj w mieście nie zwracać na siebie uwagi — zdążyłem powiedzieć kierowcy. — Uciekać zacznij od Janek.

— Całkiem spokojnie — zamruczał i ruszył.

Pozycja nie była zbyt wygodna, ale sytuacja niewątpliwie atrakcyjna. Przy dzisiejszej bieliźnianej modzie dziewczyna nie musi nawet zdejmować majtek, a jedynym problemem technicznym pozostaje rozpięcie suwaka u męskich spodni.

Najpiękniejsza na tej podłodze była jednak muzyka. I to nie ta z głośników, jakieś bum-bum pełne przekleństw i grafomańskich deklamacji, lecz ta przepływająca pod nami poprzez układ napędowy i przenikająca nasze ciała delikatną wibracją. To było naprawdę piękne, słyszeć ją tutaj, blisko środka ciężkości.

Staralem się być dyskretny w miarę możliwości, Ola jednak pochodziła z raju, z czasów zanim „otworzyły się im obojgu oczy i poznali, że są nadzy”.

— Czy wy się tam pierdolicie? — usłyszałem nagle nad głową.

— Tak! Tak! Tak! — Ola przerwała na chwilę nasze całowanie, żeby móc to wykrzyzczeć.

W końcu wygrzebaliliśmy się z tej podłogi i usiedli jak ludzie. Dojeżdżaliśmy do Raszyna. Zobaczyłem pudełko kleenexów obok kierowcy.

— Chcesz chusteczki?

— Nie. Lubię, jak sobie leci.

No cóż, była dorosła.

Odwrociłem się, odpiąłem półkę, otworzyłem torbę i z siatki pełnej map wygrzebałem i rozłożyłem tę właściwą. Mogłem już złamać lakowe pieczęcie.

— Pojedziemy katowicką — pochyliłem się do kierowcy.

— Całkiem spokojnie. Jeżeli aż tak ci się śpieszy...

Wcale mi się nie śpieszyło, ale dopiero za Jankami zrozumiałem, co miał na myśli. Jego audi osiągało dwieście kilometrów na godzinę, zanim pozostali kierowcy zdążyli zmienić bieg na dwójkę. Nawet na krótkich prostych udawało mu się przyspieszać do dwustu czterdziestu, a skuteczność hamowania z tych prędkości, gdy ktoś blokował lewy pas, to temat na osobną pracę magisterską. Lubiłem swojego bristola, lecz różnica między nim a RS szóstką była mniej więcej taka jak pomiędzy obrazami starych mistrzów a pięknem statku kosmicznego. Kiedy budowano mój samochód, nie było jeszcze na świecie osobistych komputerów. Ani telefonów komórkowych. Ani płyt kompaktowych. Nie istniał faks. Nie było nawet kaset magnetofonowych! W samochodach słuchało się radia.

Ola zrobiła dobry wybór. Gdyby ktokolwiek usiłował dotrzymać nam kroku, byłby widoczny jak na ekranie filmu sensacyjnego. Na pewno nikt tego nawet nie próbował. Jej Kowalsky miał oczywiście zamontowaną najnowszą wersję snoopera — S4 Neo — toteż koło Piotrkowa przetoczył się grzecznie obok chłopców radarowców, którzy w tej sytuacji złapali wyprzedzającego nas akurat matiza.

Nie rozmawialiśmy dużo. Ola zrzuciła buty i drzemała z głową na moich kolanach. Przez ułamek chwili zabolala mnie czułość i zapragnąłem zawrócić.

— Co będziesz robił, kiedy nas wysadzisz? — spróbowałem grzecznej rozmowy przy włosach stojących ze strachu na baczność.

— Całkiem spokojnie! Znam dziewczynę w Istebnej. Wstawię brykę do garażu i nawet satelita mnie nie wypatrzy. Dajcie znać, to was zabiorę, jak będziecie chcieli wracać. — Miał około trzydziestki i chociaż trochę fryzury na głowie. Konwersował pokonując zestaw niebezpiecznych zakrętów z prędkością dochodzącą do stu sześćdziesięciu na godzinę. Ten łuk ma przecież dziewięćdziesiąt stopni! Zanim zdążyłem pomyśleć o testamencie, RS-ka przeleciała po nim jak po szynach.

— A tak w ogóle, Olka, to co u ciebie? — zagaił teraz on dla odmiany.

— Powolutku. Wychodzę za mąż.

— Tutaj?

— Dobre pytanie. — Mówiła do niego, lecz spojrzała na mnie. — Wiesz, że jeszcze nigdy nie byłam na Bora-Bora? Jest tak daleko, a ja wciąż nie mam czasu. To chyba fajne miejsce na ślub?

— Oj tak, spodoba ci się. Rewelacja. Ja na święta lecę na Malediwy.

— Byłam, boski klimat! Na pokazie w Mediolanie poznałam jednego gościa z Ferrari, inwestuje tam w budowę domków na plaży. Jest tak pięknie, że wciąż zastanawiam się, czy się nie przyłączyć.

— Pięknie jest, ale inwestycje odradzam.

— Wiesz coś?

— Nie, to nie to. Ale cały archipelag jest na poziomie plaży. Jeżeli mówią prawdę o ociepleniu klimatu, to za parę lat wszystko znajdzie się pod wodą. Jedna większa fala i po Malediwach. Byłaś w tym roku w Wimbledonie?

— Nie, tenis mnie nudzi. Wpadłam tylko do Ascot.

— Wygrałaś?

— Tak, ale faworyta.

Pan Bóg mnie wysłuchał i Kowalsky nie zapytał, za kogo Ola ma zamiar wyjść za mąż. Przy takim dialogu chyba zaumiemniłbym się ze wstydu.

Za Siewierzem dalej trzymaliśmy się jedyńki, skręcając na Bielsko-Białą. Drogowskazy na Kraków prowadziły do A-4.

— Nie jedź do autostrady, tylko skręć na drogę 94, przez Olkusz — instruowałem go, kiedy mijaliśmy Hutę Katowice, tę, która niegdyś „po szerokich torach wysyłała blachę do Wielkiego Brata, otrzymując za to rudę, która miała mniej żelaza aniżeli szpinak, szczaw albo sałata”. — Łatwo ten zjazd przegapić.

Oczywiście przy takiej prędkości przegapił go i co zrobił? Z dwustu dwudziestu kilometrów na godzinę stanął w miejscu w ciągu czterech sekund, wrzucił wsteczny i nim jadący za nami kierowcy zdążyli wyartykułować swoje oburzenie, my już spadaliśmy krętym zjazdem na szosę zaczynającą się gdzieś przy legnickiej autostradzie, a prowadzącą wprost do królewskiego miasta Kraków.

— Mam prośbę, bo jesteśmy już blisko — trzymałem rozłożoną mapę. — Zwolnij teraz do jakiejś rozsądnej prędkości. Nie chciałbym rzucać się w oczy.

Osiemnaście kilometrów dalej skręciliśmy na Hutki. Niedaleko stąd był zakład dla niepełnosprawnych prowadzony przez zakonnice. Odkąd go zobaczyłem na mapie, wiedziałem, że będzie to najlepsze miejsce, aby schować Olę. I najbliższe, gdzie mogłem się schronić, gdyby coś poszło nie tak. Szerokie opony RS-ki zatrzęszczały na żwirze zadbanego podwórca.

— Dzieńks, że ci się chciało. — Zabrałem torbę, z której zastukało żelazem o żelazo. Wystarczy być po wojsku, żeby po tym dźwięku rozpoznać, co jest w środku.

— Strzelają? — ocenił ją w mgnieniu oka.

— Z tą Istebną na parę dni to dobry pomysł. — Patrzyłem, jak Ola rozmawia z zakonicami.

— Mógłbym się przydać. — Otworzył drzwi pasażera i schowek pod deską rozdzielczą. Leżał tam niezły kawałek gnata. — Lubię Olkę.

— Nie, naprawdę nie trzeba. Przyjechaliśmy tu, żeby właśnie tego uniknąć. Przechowamy się, aż ucichnie.

— To z tobą ma zamiar się żenić? — Też patrzył na Olę śmiejącą się z siostrami.

— Nawet nie chcę o tym myśleć.

— Przydałaby się jej opieka. Jest jak dziecko we mgle. Za krucha na ten świat.

— A jak ta dziewczyna jest z Istebnej — czas zmienić temat — to górze cię nie pogonią?

— Gonili. Ale dutków szkoda — uśmiechnął się.

ROZDZIAŁ XXI

Pamiętacie ten dowcip o gospodarce socjalistycznej? Że gdyby jej ekspertów wysłać na Saharę, to zaraz zabrakłoby tam piasku? Pustynia Błędowska jest tego podręcznikowym przykładem. Jeszcze za naszego życia była to autentyczna dolina pełna wydm jak okiem sięgnąć, przecięta jedynie niteczką strumyka Białej Przemszy, do której przytulała się roślinność. Prawdziwa oaza. Faktem jest też, że do dzisiaj nie bardzo wiadomo, skąd się ta pustynia tu wzięła. I może dlatego towarzysze z Olkusza po przestudiowaniu dzieł zebranych Lenina — gdzie nic o pustyniach nie stało — postanowili Pustynię Błędowską zalesić. Idiotycznie to brzmi przecież już dla ucha, ale dla naszych towarzyszy, wciąż starających się dorównać w picciu wódki swoim majstrom z Rosji, nie było takiego idiotyzmu, którego by nie potrafili wziąć na swoje barki. „Nie takie rzeczy ze szwagrem po pijaku się robiło” — akcentowali partyjną gotowość do przeprowadzenia najbardziej surrealistycznej bzdury.

No i któregoś pięknego poranka po strasznej nocy łeb po prostu pęka, w ustach papier ścierny, a tu trzeba oprowadzać bratnią delegację. Jeden prawie mdleje od słońca, drugiego gniecie sranie i nie ma gdzie się schować, zwołali więc plenum i podjęli jakże wizjonerską decyzję: zalesiamy to skurwysyństwo. Zadanie iście herkulesowe, ale nasprawdzali specjalnych gatunków drzew — oczywiście od swoich równie mądrych kolegów zza

Buga, którzy też potrafili heroicznie mierzyć się z zawracaniem nurtu rzeki — i... zalesiali, naszymi rękami oczywiście.

Dzisiaj Pustynia Błędowska to groteska, ruina i bądziewie, kliniczny i jednocześnie poetycki obraz, jak rządili naszym krajem przez czterdzieści pięć lat wielbiciiele Marksa, Lenina i Dzierżyńskiego. Pijący wódkę ze strelcami, którzy przyjechali tu po załatwieniu swoich spraw w Katyniu, Charkowie i Twerze.

Takie i inne myśli plątały mi się po głowie, kiedy siedząc na Czubatce wypatrywałem oczy przesuwając lornetką po szarozielonej dolinie, która kiedyś była pustynią. Właściwe piaski leżały ode mnie na północny zachód, na południu rozciągały się Błędowskie Lasy. Miejsce na sabat dobre, żywego ducha w promieniu wielu kilometrów. Warty nie dopuszczą przypadkowego świadka, zresztą ile to może trwać? Godzinę? Dwie? Zanim ktokolwiek zwabiony blaskiem ogniska dotrze do niego po nocy, oni już dawno zdążą zwinąć się i chrapać we własnych łózkach.

Dlatego moim podstawowym problemem na dzisiejszy wieczór był wybór miejsca, w którym powinienem czekać na uczestników przedstawienia. W końcu wymyśliłem. Ze dwa kilometry na wprost mnie, na granicy lasu, gdzie zaczynają się wysokie drzewa. Z tego miejsca przy odrobinie elektronicznej pomocy będę w stanie zidentyfikować punkt zborny bisurmanów i dotrzeć do niego na czas.

Wciąż było jeszcze jasno, ale dzień nie trwa wiecznie. Zszedłem ze skarpy do lasu i wróciłem szybkim krokiem do samarytańskiego azylu. Nasz pokój był pusty. Zamknąłem drzwi na klucz, jeszcze raz przejrzałem akcesoria gniewu Pańskiego. Wszystko było w porządku. Wziąłem torbę ze sobą i zszedłem na dół. Zapytałem siostrę myjącą podłogę o „tę panią, z którą dzisiaj przyjechałem”, wskazała mi pralnię na końcu korytarza. Ola ubrana w szarą spódnicę do kostek — kiedy przyjechaliśmy, świeciła tyłkiem spod miniówki — przygotowywała pościel do maglowania. Oprócz niej były tam jeszcze trzy zakonnice. Mu-

siała je czymś bardzo rozbawić, bo aż kucały ze śmiechu, machając na nią jak na uprzykrzoną muchę. Równocześnie wszystkie cztery składały, przekładały i układały prześcieradła i poszewki i cała ta sielanka miała w sobie nieodparty urok staromodnej powieści dla grzecznych dziewcząt.

Postałem chwilę w drzwiach, aż zauważyła mnie jedna z sióstr.

— Ach, pani Ola to ma taki cięty język!... — oznajmiła mi ze śmiechem.

Ola zauważyła mnie i moją torbę, wyszliśmy na dziedziniec.

— Cóż ty im za dowcipy opowiadasz? Nie gorszysz ich, mam nadzieję.

— Parę anegdot ze świata wielkiej mody — złożyła ręce na brzuchu jak prawdziwa praczka.

— Widzę, że świetnie się adaptujesz. Myślałem, że zastanę cię stojącą nad toaletą i zastanawiającą się: usiąść czy kucać.

— Jeszcze wciąż niewiele o sobie wiemy — wzięła mnie pod ramię. — Nie wspominałam ci, że chciałam wstąpić do zakonu?

— Nie aż tak dobitnie, mówiłaś tylko o kościele.

— Bardzo chciałam być Matką Teresą. Nie udało się.

— Nic straconego — spojrzałem na jej spódnicę. — A co z seksem?

— Wystarczy mi współzycie z mężem — zrobiła niewinną minę. — Nie muszę przecież składać ślubów zakonnych, mogę tu po prostu pracować.

— Nie było mnie zaledwie dwie godziny, a ty z bon vivantki zdążyłaś się zmienić w szarytkę — stanęliśmy w bramie.

— Przyrowadź mojego brata — objęła moją głowę. — Nie pozwól zrobić mu krzywdy.

Przekroczyłem szosę i schowałem się w lesie. Miałem przed sobą kilka kilometrów spaceru, ale wiedziałem, gdzie jestem, i nie bałem się, że zabłądzę. Robiło się coraz ciemniej, przyspieszyłem więc kroku, żeby przypadkiem nie spotkać jakichś

czujek wysłanych dla sprawdzenia terenu. Dotarłszy do granicy lasu, wybrałem najmocniejsze drzewo. Wspiąłem się na nie, badając możliwości dłuższego spędzenia czasu w koronie. Musiałem liczyć się z tym, że oni też będą mieli noktowizory. Obejrzałem dokładnie okolicę przez swój, powiesiłem go na gałęzi i zszedłem na dół. Wyciągnąłem z torby skorpioną, sprawdziłem, czy nic się nie zacina, ustawiłem na pojedyncze strzały, przykręciłem tłumik. Wyjąłem mikrofon i słuchawki. Nożem wykopałem jamę pod drzewem, ukryłem w niej torbę, zamaskowałem ściółką. Usiadłem wygodnie oparty i rozpocząłem czuwanie.

Mikrofon, który kierowałem powolnymi obrotami na wszystkie strony, był lepszym strażnikiem niż kapitolinijskie gęsi. Na początku musiałem jedynie przyzwyczaić się do hałasu, jaki w nocy czyni sam las. Drugą rękę trzymałem na potencjometrze i ratowałem słuch przed ptakami, które gdzieś blisko wciąż wydierały się na swoje żony czy dzieci. Czekałem, aż całe to towarzystwo pójdzie spać. Słyszałem pochrząkiwania dzików i delikatne stąpanie saren czy jeleni. Wiedziałem, że kiedy usłyszę krok lub oddech człowieka, rozpoznam go.

Bardzo długo nic się nie działo, kusił sen. Potencjometry ustawione były już na maksa i co rusz podskakiwałem z powodu trzaskającej gałęzi, popiskiwań zjadanego malca czy wściekłych warczeń niezidentyfikowanych samców nie mogących się dogadać. Wreszcie po północy usłyszałem zupełnie nowy odgłos. Przez chwilę myślałem, że to wiatr albo burza, szybko jednak zorientowałem się, że to samochód. Wspiąłem się na drzewo, przyłożyłem lornetkę do oczu. Był, skurczybyk, półciężarówka prująca przez piach ze zgaszonymi światłami! Jeszcze nie zdążyłem się nacieszyć, gdy przeczesując okolicę zobaczyłem drugi wielki terenowiec, nadjeżdżający z innego kierunku. Zrobiłem więc panoramę i znalazłem trzeci, przedzierający się przez las od szosy, którą i my tu przyjechaliśmy. Na razie wszystkie zmierzwały w moją stronę, co dobrze świadczyło o moim wyborze miejsca czuwania. I nie potrzebowały światła. Noc przy pełni

księżycy była niewątpliwie jasna, ale i tak stawiałem na noktowizyjne ruskie okulary, które dzisiaj można kupić na każdym bazarze.

Musiałem być bardzo ostrożny. Po prostu zachowywać się, jakby to był dzień i było mnie widać z odległości dwóch kilometrów. Nie ruszałem się więc, odłożyłem lornetkę. Czekałem, aż zaczną parkować. Po chwili przestali jechać na mnie i zniknęli wśród drzew okalających rzeczkę. Ten trzeci też mnie minął, dołączając do nich. Jeszcze kilka minut i pogasili silniki. Spojrzałem przez noktowizor. Ich czakram znajdował się około trzech kilometrów ode mnie, w środku pustyni, zasłonięty ze wszystkich stron drzewami. Nie widziałem ich, więc włączyłem mikrofon. Wyładowywali coś ciężkiego, stękali, jeden nawet zaklął szpetnie, ale poza tym nie strzępili języków. Było ich co najmniej ośmiu, może dziesięciu. I wtedy inny hałas kazał mi znowu sięgnąć po lornetkę.

Ze wszystkich stron nadciągała horda samochodów terenowych ze zgaszonymi światłami. Odwróciłem się. Przez las i pustynię jechały stare i nowe land cruisery, jeepy, x5-ki, ml-ki i g-wageny, pajero i patrole, land i range rovery. Widziałem cayenne'a, touarega i ramchargera, kurzyły frontery, sceniki i mavericki, nie bały się piachu santa fe i sportage. Odłożyłem lornetkę, wziąłem kilka głębokich oddechów. Przez chwilę zamarzyłem o łóżku we własnym domu. Ale nie miałem się w nim do kogo przytulić. Zabrali mi Kasię, zabrali mi Zuzę, pozbawili mnie wolności porannych wyborów, zamienili mnie w płaczliwego wariata wkładającego sobie śmierdzące żelazo do ust, pragnącego śmierci jednej zakochanej kobiety, żeby móc wykopać trumnę z drugą i zadziwić świat siłą swojej miłości. Byli zarazą zesłaną przez tego, którego Bóg już raz strącił w nicłość, a który znalazł sobie siedlisko w nędzy ludzkiego ducha po to, aby Mu urągać. Twój obraz i podobieństwo? Popatrz na nich!

Nigdy nie zadawałem sobie dziecinnych pytań, po co się urodziłem. Teraz wiedziałem, że muszę zejść do piekła, aby odbie-

rając ukochaną zostawić wiadomość: możesz wystawiać ludzi na próbę, możesz myśleć, że ci hołdują, ale uważaj — cierpliwość Pańska jest na wyczerpaniu. Zostałem wybrany, bo ja się nie obejrzę, mnie menady niestraszne. Jestem bardziej szalony od nich.

Skierowałem lornetkę na koniec lasu, w stronę szosy. Zawsze się znajdzie jakaś oferma, której jak nie siądzie alternator, to zapomni lewarka do zmiany opon. I zawsze przyjeżdża ostatni. Znalazłem go. Toczył się powoli leśną drogą w starym terrano.

Przepuściłem pozostałe samochody i zostawiwszy sprzęt w gałęziach, zszedłem na ziemię. Księżyc świecił jak słońce w południe i jasno było nawet w lesie. Na małe odległości niepotrzebne były żadne noktowizory. Wyrwałem torbę spod ściółki, pobiegłem w kierunku, z którego miał nadjechać nieudacznik, wpadłem na leśny dukt i biegłem przed siebie, aż się spotkaliśmy. O mało mnie nie rozjechał, ale stanął. Upuściłem torbę na ziemię i uniosłem dłoń w pokojowym geście. Drugą przytrzymałem skorpiona pod kurtką. Opuścił szybę, uśmiechnąłem się, wszedłem na schodek pod drzwiami. Miałem zamiar wyrzucić ich po prostu z samochodu, upewnić się jedynie, że nie mają komórek, i pogonić z powrotem. Nie wiedziałem jeszcze, że stalowy próg, na którym oparłem stopę, to będzie mój Rubikon.

Było ich dwoje, koło czterdziestki, on łysy grubas z trzema włoskami zaczesanymi z lewa na prawo, ona drobna sekutnica w okularkach. Tak jak przypuszczałem, natychmiast zaczął się tłumaczyć. Po francusku. Już sięgałem ręką do klamki, kiedy wystraszyły mnie dwie twarze, które wychynęły nagle z tylnego siedzenia. To byli dziewczynka i chłopiec, mieli może po dziewięć, dziesięć lat. Śmiali się jak wariaci, machali rękami, jakby tam z tyłu tańczyli, wykrzykiwali słowa, w których rozpoznałem francuskie wulgaryzmy.

Te dzieci były naszprycowane po czubki włosów. Te dzieci były już gołe.

ROZDZIAŁ XXII

Mała sekutnica musiała zobaczyć w oczach Bartka, że zamiast na diabelski bal zajechali na Sąd Ostateczny. Zaczęła wydzierać się na wciąż stękającego kierowcę i walić go rękami. Bartek wsunął lufę skorpiona do samochodu, strzelił. Jej okularki pękły na pół i zsunęły się na policzki, kiedy oparła martwą głowę o boczną szybę. Grubas zamilkł, spojrzął na Bartka pełen winy, jakby nie spodziewał się niczego innego. Nie mógł już bardziej się spocić. Bartek cofnął ramię, strzelił po raz drugi. Dzieci z tyłu dalej tańczyły do swoich sprośnych piosenek.

Otworzył drzwi, wciągnął grubasa między krzaki, powtórzył operację z drugiej strony z małą jędzą. Wsiadł za kierownicę i pojechał. Dla tych dzieci nic nie mógł na razie zrobić. Nie miał wątpliwości, że zaraz spotkają dziesiątki koleżanek i kolegów i że jeżeli przyjechały tu z mamusią i tatusiem, on wiele z nich uczyni dzisiejszej nocy sierotami. A od rana fachowcy z całej Polski będą mieli ręce pełne roboty.

Przejechał pustynię, dotarł do nadrzecznych drzew. Ledwo wyhamował, żeby nie wjechać w kuper stojącemu jeepowi. W tym momencie gdzieś przed nim buchnął w górę wielki płomień. Zanim zdążył zareagować, dzieci z tylnego siedzenia wybiegły z samochodu i popędziły do ogniska. Chyba uratowały mu życie. Bo czerwona kropka, która pojawiła się na szybie na wprost jego twarzy, zjechała w dół, a kolejny grubas, tym razem

napakowany, brodaty i w panterce, wychynął z opuszczonym karabinem zza jeepa, pomachał mu przyjaźnie ręką i poszedł dalej.

Samochody parkowały w rozgwieździe, tak jak zjechały się ze wszystkich kierunków, przodem do środka okręgu, w którym paliło się wielkie ognisko bijące w nocne niebo kilkumetrowym płomieniem. Zbiegały się do niego, trzymając się za ręce, gołe dzieci obojga płci w różnym wieku, poprzeplatane kilkorgiem dorosłych, najbardziej obrzydliwych nagich ludzi, jakich Bartek w życiu oglądał. Rozpoczynali diabelski taniec.

Wokół ogniska popaprańcy ustawili kamienne stele tworzące krąg. W środku tego atlantydzkiego krzyża mieli kamienny ołtarz, przy którym dwóch oberpopaprańców stało naprzeciwko siebie w czarnych szatach i wznosząc do góry ramiona pokrzykiwało jakieś bzdury. A na ołtarzu, tak jak i na kamiennych blokach...

Bartek o mało się nie porzygał. Rozpiął torbę i po kolei wyciskał po kwadransie na swoich magnezowych zabawkach. Na drugiej dziesiątce ustawił minut dwanaście, na trzeciej dziesiątce. Tyle ich miał. Trzydzieści Michałowych mieczy. Bo dusze tych potępieńców zostały już zważone.

— Nie idziesz tańczyć? — Dowcipny blondyn z karabinem pojawił się tak nagle przy otwartym oknie samochodu, że Bartek aż podskoczył. Przez chwilę nawet zastanawiał się nad odpowiedzią, szybko jednak ocknął się, uniósł lufę skorpiona i strzełił blondynowi w czoło. Wystawił głowę przez okno, rozejrzał się, wysiadł.

Wepchnął dowcipnisia pod terrano, a potem przeskakując od samochodu do samochodu przyklejał pod nimi odrzucone ape-lacje. Miały elektromagnesy uruchamiane wciśnięciem guzika na bocznej ścianie i nie dawały nadziei na łut szczęścia. Zauwa-żył przy tej pracy, że samochody — oprócz polskich — mają rejestracje austriackie, niemieckie, francuskie i belgijskie. Kiedy wstawał spod kolejnego wozu, odwracając się zderzył z tym grubasem w panterce tak, że obaj się przewrócili.

— Co ty tu...

Bartek wpakował mu w serce dwie kule. Bo może miał je z kamienia. Wepchnął go pod najbliższy terenowiec i dalej bawił się w wielkanocnego zajęczka. Nie liczył, ile aut zdążył obsłużyć, kiedy usłyszał:

— ...z Atlantydy...

Wysunął głowę zza samochodu. Na kamiennej ławie stała Zuza, a stary zboczeniec odwijał ją z jakiejś przezroczystej szaty. Miała na głowie świecąca na niebiesko opaskę, ogłupiała rozradowaną buzię i przy swoim wzroście wyglądała na dziesięć lat.

— Pójdźcie, a pobłogosławi wasz srom i wasze nasienie...

Do Zuzy podchodzili nadzy mężczyźni i kobiety, dotykali jej, a ona śmiała się histerycznie, jakby ją laskotali. W końcu położyli ją na tym kamieniu, na którym stała. Zniknęła Bartkowi z oczu.

Zaczął odkręcać tłumik ze skorpiona i wtedy zobaczył wymierzony w siebie karabin, a zaraz potem człowieka, który go trzymał. W tym samym momencie poczuł na karku chłodny dotyk drugiej lufy, a po chwili trzeci automat przyszpilił go z boku żeber. Wsunął niezauważenie nogą torbę z resztą bomb magnetycznych pod samochód, przy którym stali.

Nie czuł się nawet w połowie tak dobry jak Steven Seagal, więc nie łapał ich za lufy i pozwolił wyjąć sobie skorpiona z rąk. Nie mógł dać się zabić, nie teraz! Ten trzeci obmacał go jeszcze i założył mu kajdanki na kostki. Potem powtórzył tę operację z Bartka rękami wykręconymi do tyłu.

— Wyglądasz mi na psa. Jak Boga kocham, pies! — Ten z przodu odwrócił karabin i zamachnąwszy się uderzył go kolbą w twarz. Bartek padł na ziemię, ale przeżył.

Złapali go za kajdanki i ponieśli. Całą siłą woli Bartek skupił na tym, żeby nie pozwolić wyrwać sobie ramion z obojczyków. Na szczęście nie było daleko. Z drugiej strony ogniska stały w kwadracie cztery samochody zaparkowane w ten sposób, że

każdy mógł bez przeszkód ruszyć przed siebie. Weszli pomiędzy i rzucili go na ziemię.

W otwartych drzwiach wielkiego czarnego touarega Bartek zobaczył siedzącego bokiem do kierownicy starszego mężczyznę. Opierał nogi o zewnętrzny metalowy próg. Bartek poznał go i wiedział, kim jest. Przed mężczyzną stała kobieta trzymająca za rączkę śliczną dziewczynkę ubraną jak na akademię z okazji Dnia Nauczyciela. Bartek nawet nie chciał zgadywać, ile może mieć lat. Główka jej opadała co rusz, mała więc podrywała ją, próbując otworzyć zamykające się powieki. Kobieta tłumaczyła coś mężczyźnie, który nie spuszczał oczu z dziecka. Wreszcie roześmiali się obydwójce, on zeskoczył ze swojego tronu, otworzył drugie drzwi i macając łapami dziewczynkę po całym ciele, ułożył ją na tylnym siedzeniu. Kobieta pożegnała się i odeszła. Jeden z Bartka prześladowców podszedł do mężczyzny i coś mu poszeptał.

— Pies? — zaledwie raczył odwrócić głowę. — No to zabierzcie go trochę dalej i zakopcie.

Bartek pozbierał się, klęknął, wypluł piach.

— Powiedz mi jedno, Marciniak. Jesteś taki bogaty... Po co ci to wszystko?

Nastąpiła chwila konsternacji, ale Marciniak nawet nie zaszczycił go spojrzeniem. Popatrzył za to w gwiazdy, potem do środka samochodu, gdzie spała śliczna dziewczynka.

— Ten świat jest mój. Mogę robić, co chcę — powiedział w przestrzeń, jakby to temu światu ogłaszał.

Od otwartej tylnej klapy srebrnego porsche cayenne odewały się dwie postacie i podeszły do klęczącego Bartka. Jedną z nich był Kubuś, zbuntowany kupidynek wyrozumiałej mamusi. Drugiego Bartek widział po raz pierwszy: był blondynem, miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu i gładkie policzki, jakby się jeszcze nie golił. Bartek od razu rozpoznał w jego twarzy ten sam co u Oli mur zbudowany ze świństwa i udawanej pewności siebie, byle tylko nikt nie odkrył, jak jest bezbronny w swojej po-

trzebie ufności. U Oli jednak wrażliwość można było odczytać w każdym spojrzeniu. Natomiast jego oczy były ślepe jak oczy starożytnego posągu. Należały do człowieka, który raz zrobiwszy coś strasznego, tak bardzo nie może sobie z tym poradzić, że nie przestaje robić coraz gorszych rzeczy, byle o tym nie myśleć. W dodatku trzymał w ręce pistolet połyskujący w blasku płomieni fortepianową czernią. Wyglądał jak istny anioł śmierci. Bartek przypomniał sobie własne słowa: wszystko zawsze zaczyna się od zadufanego, zakłamanego i aroganckiego złego ojca.

— Ja go znam! — zdumiał się Prinz. — To detektyw od tej wariatki. No, tej z Atlantydy.

Marciniak po raz pierwszy wykazał odrobinę zainteresowania. Podszedł do nich.

— Znasz go? — zapytał synka.

Piotruś obojętnie pokręcił głową.

— Umrzesz tak, jak pewnie żyłeś, z powodu zwykłej ścierki — pokiwał się nad Bartkiem. Podniósł palec w stronę Prinza. — Mówiłem, żebyś się jej pozbył, nie chcę tu kurewek. — Odchodził.

— Arkadiusz Bruzda, Sławomir Kołodziej, Piotr Maślaniec! — Bartek wyrecytował nazwiska z listy Szczęsnego, rozglądając się. Jeden z karabinierów, którzy go tu przyprowadzili, zaklął głośno i kopnął piach. — To już koniec!

Prinz zachichotał historycznie i też kopnął, ale w Bartka obołała twarz. Degenerat nawet nie dał rady go przewrócić. Marciniak dalej szedł do samochodu.

— Katarzyna Szczęsny! — ryknął Bartek ile sił w płucach. — Dlaczego ją zabiłeś?!

Marciniak stanął, spojrzał w jego stronę, ale nie chciało mu się iść z powrotem.

— Ja jej nie zabiłem. Ja ją chciałem tylko zdeflorować.

— Kasia Szczęsny! — wołał Bartek dalej, patrząc na Piotrusia. — Dlaczego ją zabiłeś?!

Nie zastanawiał się, co dzieci Marciniaka w nim widzą, ale jego syn zamiast Bartka zastrzelić, rozdziawił japę.

— Znałeś ją? — wyjąkał w stronę ojca.

— Opowiem ci to kiedyś przy piwie — stary Marciniak wydawał się nie do ruszenia. — Skończ z nim teraz.

— Śledziu! — krzyczał Bartek do Piotrka. — Zapytaj go, dlaczego kazał zabić Śledzia?

— Znałeś Śledzia? — znowu zdziwił się Piotruś.

Marciniak miał tego dosyć. Podszedł do karabinierów, wyjął jednemu broń z ręki, przeładował i zrobił kilka kroków, najkrótszych kroków w całym Bartka pracowitym życiu.

— Jeżeli chcesz mieć coś zrobione porządnie, najlepiej zrób to sam — udał znudzenie, przystawiając mu lufę do głowy.

— Kto to był Śledź? — Bartek usłyszał nad sobą głos Oli.

— Co ty tu robisz?!

Bartek nie był jeszcze w stanie podnieść oczu, ale już usłyszał w tym pytaniu, że Marciniaka bezwzględność z ceramicznego spieku doznała pęknięcia.

— Ola! Przyjechałaś! — ucieszył się za to młody wariat.

— Nie mówiłeś, że to z nim składacie te ofiary z niemowląt. Powinnam się była domyślić...

Bartek wdychał jej zapach i zmówił modlitwę dziękczynną. Nie mógł już dłużej klęczeć, upadł na bok. Zobaczył, jak Ola obejmuje dłonią lufę karabinu Marciniaka i — świadomie lub nie — trzyma ją skierowaną we własną pierś.

— No... to tajemnica — świrowaty braciszek przestępował z nogi na nogę. — Nie wiedziałem, że naprawdę przyjedziesz.

— Ty ją tutaj sprowadziłeś?...

To był koniec i Marciniak już to wiedział. Bartek czuł, że mimo tego nie ma zamiaru zatrzymać się.

— Przecież to Ola... — tłumaczył się zidiociały drągał z pistoletem w ręce.

— Co ty mu zrobiłeś? — Ola była taka smutna. Bartek słyszał, jak bardzo potrzebuje pomocy, a on był skuty dwiema parami kajdanek. — Jak mogłeś tak zniszczyć mu życie?

— Słuchajcie! — Marciniak przymknął oczy na kilka sekund, dokonał nadludzkiego wysiłku, by powstrzymać eskalację upadku. — To wszystko jeszcze jest do naprawienia. Jeszcze nic się nie stało. Musimy tylko pozbyć się tego człowieka. Biorę to na siebie. Jedźcie teraz do domu i wszystko sobie wyjaśnimy przy śniadaniu. Piotrek...

— Co mu wyjaśnisz? Jak wkładałeś mi paluchy, kiedy szłam do pierwszej klasy? Jak kazałeś mi ubierać sukienkę komunijną i całować swojego indorka?... Jak moja matka zwariowała, bo groziłeś jej, że oddasz mnie kolegom? I jak pozwoliłeś nam odejść, dopiero kiedy dostałam okres i powiedziałeś mi, że śmierdzieć jak stara baba? — Łzy płynęły jej po twarzy, szarpała lufą karabinu i uderzała nią w siebie.

— Tato... — błagał Piotruś machając łapskami, a Bartek widział tylko błyski czarnego pistoletu.

— Jakoś do tej pory nie miałaś o to pretensji — szydził tatuś. Może jeszcze o tym nie wiedział, ale jego nagle obnażona twarz potwierdzała całe to plugastwo. — Wciąż słyszę, jaką kurwą jest moja córka.

— Pretensji?! — Oli zabrakło słów. — Pretensji?

— Tato! — ogłupiały drągał domagał się uwagi. — Ty Olę?...

Marciniak wyszarpnął karabin z dłoni córki, podszedł do syna i złapał go za koszulę.

— Zostaw ją! Weź się w garść! Ona zmyśla! Jedź do domu. Wiesz, co masz robić, więc nie zawieź mnie teraz. — Przeszedł go szarpać, pogłaskał ze dwa razy i popchnął w stronę porsche.

Odwrócił się, spojrzął na Bartka, drugą ręką odrobinę uniósł karabin. Ola jednak nie spuszczała go z oka.

— Nie! — krzyknęła i rzuciła się na ojca.

Miała za daleko i udałoby mu się, lecz w tym momencie rozległ się histeryczny wrzask. Zuza!... Może właśnie umierała, może miała już dość tego, co z nią robili — jej krzyk przebił się przez inne piski i wołania i zmroził wszystkim krew w żyłach na tę krótką chwilę, gdy trwał.

Wszystkim prócz Oli. Przez tę sekundę, kiedy dla nich czas stanął, przesunęła się akurat na tyle, by znaleźć się na wprost karabinu ojca. A on wydał już polecenie swoim palcom i nie mógł go cofnąć. Ola jak popchnięta zgięła się wpół i upadła na Bartka. Marciniak wciąż mierzył w niego szukając miejsca, gdzie mógłby go trafić. Ale było już za późno.

— Ola!!! Jezu, coś ty zrobił? — popaprawy braciszek doskoczył do nich i padł na kolana.

I wtedy się zaczęło. Najpierw usłyszeli niewielki wybuch, potem złowieszczy syk, wreszcie huknęło naprawdę i jeden z samochodów stanął w płomieniach. Diabelskie sługi musiały zawahać się w swych praktykach, bo na chwilę stało się ciszej. Bartek jeszcze raz postanowił sprawdzić siłę swoich płuc.

— Policja!!! — ryknął w nocne niebo. — Na ziemię i ręce na kark!!!

Jakby na potwierdzenie jego słów wybuchł drugi samochód, a zaraz po nim następny. Śmierzące gorąco dotarło nawet do nich. Bartka nie interesowało pandemonium, które teraz nastąpiło. Widział tylko Marciniaka: stał niewzruszony patrząc na miotających się ludzi, potem wytarł karabin połą kurtki, rzucił go na ziemię i poszedł do samochodu. Nad Bartkiem dumny Piotruś w ogóle nic nie słyszał ani nie widział, tylko kwilił jak zmutowany bobas.

— Ola! Ty nie możesz... Ola!

— Piotrek! Piotrek! — Bartek zaczął się szarpać, by zrzucić z siebie Olę, licząc, że jej brat wtedy go zauważy. — Rozkuj mnie! Przestrzel łańcuszki. Piotrek!

Ale do niego nic nie docierało. Unosił bezwładną Olę w ramionach, przytulał do niej twarz i mamrotał coś chlipiąc. Mar-

ciniak zawahał się z ręką na klamce swojego touarega, obejrzał na wybuchające co rusz samochody, pokalkulował, uznał widocznie, że jego to nie dotyczy, wsiadł i trzasnął drzwiami.

— Piotrek!!! — wołał Bartek. Nagle poczuł czyjeś ręce na swoich i kajdanki się otworzyły.

— Zostaw go, kolego, to koksiarz. Nazywam się Wiesław Nowak i zgłaszam chęć współpracy — mówił rozkuwając Bartkowi nogi. To był ten, który walnął go kolbą w twarz.

Bartek był wolny. Marciniak już ruszył w noc.

— Masz noktowizor?

— Tak jest! — Nowak podbiegł do samochodu, zawahał się, obejrzał na płonące auta, odwrócił. — Można?

— Dawaj! — ryknął Bartek. Wyrwał makarowa z zaciśniętej dłoni Piotrka. Przetrzepał mu kieszenie, zabrał wszystko i poupychał w swoich. Wiedział, że nowoczesne samochody zapalają bez kluczyków, ale trzeba mieć kartę identyfikacyjną. Rozejrzał się jeszcze za Prinzem, ale ten zdążył rozpląnąć się w nocy. W tym czasie nadbiegł „kolega” z noktowizorem.

— Jesteś policjantem? — Bartek nie wiedział: pobić go czy od razu zastrzelić.

— Nadgodziny.

Był śliski i zaradny. Mógł się przydać.

— Sprawdź, czy żyje — wskazał Olę — i zabierz ją do szpitala. Najpierw jeszcze skuj tego gnojka — pomachał pistoletem nad Piotrusiem. — Mam z nim do pogadania. Ściągnij policję. Powiedz o tych dzieciach, trzeba je wyłapać i gdzieś umieścić. Do dorosłych możesz nawet strzelać. Jeśli chodzi o mnie, żywa noga może stąd nie ujść.

— Policję? — coś mu przestało pasować.

— A co myślisz, durniu? Jestem sam!

Może Nowak pożałował swojej decyzji. Bartek przystawił mu makarowa do czoła. Akurat dotoczył się do nich i stanął płonący samochód z golasami w środku. Bartek wskazał go palcem.

— Wiesz, co ratuje nas przed ogniem piekielnym? Szczery żal za grzechy. Pamiętaj o tym. Zrób, co ci powiedziałem. Albo sam się podpal.

Pobiegł do cayenne'a, trzasnął otwartą klapą, wsiadł. Nacisnął guzik startu — zapalił. Wrzucił drive'a i przydeptał pedał gazu. Chciał wyłączyć koksarską muzykę, lecz zamieniła się w popowe radio. Przyciskał dalej guziki na kierownicy, jadąc coraz szybciej w pustynną noc. Odjechał od płonącej Sodomy, poodwracał lusterka, żeby nie razily go płomienie, i założył noktowizor, szukając szatana.

Był! Uciekał zostawiając w powietrzu brudną chmurę. Szatan uciekał!

I wtedy w nagrodę ze wszystkich głośników huknęły kościelne organy. Bartek rozpoznał „Exodus” Romana Bergera — żadna inna muzyka nie pasowałaby bardziej na tę okazję. Myślał o swojej nieszczęsnej przybranej córeczce, która przeszła przez wszystkie kręgi piekieł, żeby mu szatana wskazać, i wciąż go ratowała, kiedy ginął pokonany własną niemocą. W swoim upojeniu chyba po raz pierwszy od wielu tygodni był szczęśliwy. To wciąż była uciecha wariata, ale zawsze. Powtarzał na głos wiersz: „Goniłem diabła na pustyni, uciekał przede mną żółto-czarny lśniący”, a muzyka organów niosła go przez noc.

Piotruś nie lubił półśrodków: jego cayenne to była wersja turbo, dwuipółtonowy czołg, który potrafi jechać po pustyni dwieście sześćdziesiąt na godzinę. Jakimkolwiek silnikiem dysponował Marciniak, mógł równie dobrze od razu stanąć i poddać się. Bartek nie liczył na to oczywiście, wyprzedził go więc w odległości około trzystu metrów. Wjechał na skarpe, zawrócił, stanął. Nawet muzyka dostosowała się do tej chwili, czekając wraz z nim w niespokojnym pianissimo granym w Querflöte na pierwszym manuale. Przyciskiem elektronicznej regulacji zawieszenia Bartek podniósł nadwozie do maksymalnej wysokości, powiedział sobie: „Już czas”. Zdjął noktowizor, zapiął pas, włączył długie światła i ruszył na szatana.

Marciniak rozpoczął właśnie swoją wspinaczkę. Z jaką mocą Bartek w niego huknął, łatwo można obliczyć mnożąc dwie i pół tony przez sto kilometrów na godzinę. Do kwadratu. Porsche zarył w piach w syku i smrodzie opadających poduszek powietrznych. Touareg Marciniaka stoczył się ze skarpy jak popusta zabawka. Choć półprzytomny od uderzenia, Bartek zdołał się wypiąć z pasów, przeładować makarowa i wyjść z samochodu. Marciniak nie miał prawa pojechać dalej, nawet gdyby jego wóz stanął z powrotem na kołach. Ale nie stanął. Leżał na dachu, a cztery opony wciąż się kręciły. Bartek zszedł po skarpie na krawędziach butów — miał przed sobą nienaruszony bok z drzwiami pasażera, otworzył je. W tym samym momencie ustało irytujące bzyczenie kół: samochód zdechł. Marciniak odpiął już pas i usiłował się wyczołgać. Bartek pomógł mu: złapał go za fraki i wyciągnął. Nie znał jego możliwości — może miał czarny pas w karate — dlatego odwrócił go na plecy i pierwszy raz strzelił mu w brzuch.

— Nie jestem Winnetou! — krzyknął pochylając się nad Marciniakiem.

Obszukał mu kieszenie, wyrzucił wszystko. Nie znalazł broni, jedynie parę osobistych rzeczy, między innymi złoty futerał na cygara — zostały jeszcze dwa. Usiadł na piasku i oparł pistolet na kolanach.

— No to trafiłeś totalotka — wystękał Marciniak. Chciał się unieść, lecz nie udało mu się. — Wygrałeś, więc nie pajacuj, tylko znajdź w samochodzie moją komórkę. Ja już dzwoniłem po helikopter, ale w tym bałaganie mogą nas nie znaleźć. Nie musiałeś strzelać, nie mam broni.

Bartek lubił cygara, niestety, tylko te najdroższe. Dlatego wypalał raptem kilka rocznie, bo rzadko dostawał prezenty. Te diabelskie na pewno należały do tych, które kubańskie dziewczyny zwijają na wewnętrznej stronie ud. Spoconych z gorąca. Zapach tych cygar jeszcze przed zapaleniem dodawał pewności siebie. Bartek pogrzebał w rzeczach Marciniaka, znalazł złotą

gilotynkę i zapalniczkę. Pamiątki. „Masz łobuzie moją buzię i pamiętaj o mnie.” Odpracował procedurę zapalania cygara, po-meł w ustach słodki dym, pozwolił mu głąskać podniebienie.

— Strzeliłeś do mnie — przypomniał mu szatan. — Musisz mi pomóc wydostać się stąd. Wygrałeś dużo pieniędzy, należą ci się. Jak umrę, nie dostaniesz nic. Zadzwoń po helikopter. Numer jest w mojej komórce.

— Ile?

— Ile chcesz? Sto tysięcy? — Już się pocił, stęknął z bólu. On wciąż nie wierzył. Bartkowi nie chciało się tłumaczyć mu, jaki jest skąpy. Widocznie należał do tych, którzy idąc na dno nie są w stanie wypuścić z rąk skrzyni ze złotem.

— Sto milionów — sprawdzał go.

— Dobrze — skłamał Marciniak. Był tylko diabłem.

— Powiedz mi... — pieszcząc się dymkiem Bartek zauważył, że widzi wszystko wyraźniej. To chyba nie cygaro? Odwrócił się. Daleko, bardzo daleko wschodziło słońce. — Powiedz, co się stało w tę niedzielę, kiedy Kasia Szczęsny ubrała się w szkolny mundurek. Dlaczego wtedy wylądowała w autobusie w podartej bluzce i z obitą buzią?

— A zadzwonisz po helikopter?

— Nie — wypuścił dym.

— To nic ci nie powiem! — Próbował się podnieść, lecz bez powodzenia. — Czy ty naprawdę nie rozumiesz, że masz przed sobą pana tego świata? Że masz jedyną okazję pomyśleć życzenie i ono się spełni? Cokolwiek to będzie? Obudź się, głupku!

Bartek przysunął się do niego na kolanach, przystawił mu pistolet do brzucha, spojrzał w jego czerwone oczy.

— Mam właśnie wszystko, o czym marzyłem od tygodni — strzelił. Marciniak wyprężył się i opadł, oczy zasły mu mgłą. — Od dnia kiedy zabiłeś mi Kasię.

— Ja...

— Życie, które z ciebie uchodzi, zostanie jej przekazane przez Wielki Kryształ i ona do mnie wróci — Bartek mówił

coraz szybciej. — Tak mi obiecała królowa z Atlantydy. Ma dostęp do nieśmiertelności. Spotkałeś ją i nie rozpoznałeś. I kto tu jest głupi?

— Wariaci, wszystko wariaci — wyszeptał Marciniak. — Że też ziemia chce was nosić...

Tak brzmiały ostatnie słowa szatana. Bartek brzydził się dotknąć jego ciała, więc zamiast sprawdzać mu puls, wystrzelił resztę naboju. W samo serce. I to był koniec radości. Rozdeptał końcówkę cygara. Wylał pistolet i włożył Marciniakowi do ręki. Żeby każdy ekspert mógł z czystym sumieniem napisać, że to samobójstwo.

Po ciemnym niebie przeleciał niewidoczny helikopter. W oddali, ledwo słyszalne w absolutnej ciszy wschodu słońca na pustyni, przekomarzały się syreny karettek i radiowozów. Bartek wrócił myślami do Zuzy, do Oli. Nie było sensu śpieszyć się do miejsca sabatu, samo dojście zajęłoby mu co najmniej godzinę. Obydwie potrzebowały szpitalnej pomocy, a nie oglądania jego twarzy pokiereszowanej od uderzenia kolbą karabinu.

Kiedy usłyszał płacz dziecka, był przekonany, że umysł zaczyna odmawiać mu posłuszeństwa z powodu spadku napięcia. Dziecko płakało coraz głośniejsze. Bartek złapał się za skronie i czekał, aż mu się klocki uspokoją. Nie chciały. I nagle przypomniał sobie dziewczynkę, którą łapska Marciniaka układały na tylnym siedzeniu w samochodzie.

Rzucił się do drzwi touarega, szarpnął. Płacząca dziewczynka stała na czworakach na zamszowym suficie. Bartek zrozumiał, że mogła nie żyć tylko dlatego, że o niej zapomniał. Zabił ją, bo jak Medea z gniewu wyłączył rozum. Stał tuląc dziecko w ramionach i dotarło do niego, że on już osądził. Teraz nadszedł czas, żeby sam został osądzony.

ROZDZIAŁ XXIII

Bartek włączył komórkę, zadzwonił do Szczęsnego.

— Już po wszystkim. — Ruszył skarpą pod górę z dzieckiem na ręku. Dziewczynka albo płakała, wtedy próbował ją uspokajać, albo zasypiała, wypadając mu z ramion. Wszystko to utrudniało rozmowę.

— Gdzie pan jest, do cholery? — Szczęsny obudził się natychmiast.

— Właśnie wychodzę z pustyni. — Bartkowi zachciało się śmiać. Był już na górze, położył dziewczynkę na trawie i zaniósł się śmiechem. Musiał odpocząć.

— Co się z panem dzieje? Halo!

— Ta orgia, o której wspominał pański gość od sekt, odbyła się. Na Pustyni Błędowskiej. Są ofiary. Ale najważniejsze, że biega tu teraz kilkadziesiąt gołych przerażonych dzieci. Trzeba je pozbierać i pomóc im. Może pan wreszcie zrobić użytek ze swoich pieniędzy. Sam mam obok siebie dziewczynkę, która potrzebuje szpitala.

— Czy tam, gdzie pan stoi, może wylądować helikopter?

— Wreszcie. Nie rozczarował mnie pan.

Wytłumaczył dokładnie Szczęsnemu, gdzie się znajduje. Nie czekał dłużej niż pół godziny. Przez ten czas dziewczynka znowu zasypiała, potem zrywała się, płakała, mówiła, że jest głodna. Bartek nie wiedział, jak jej pomóc, więc tylko ją

tulił, nie wiedział nawet, czy po takim uderzeniu, jeżeli była nieprzytomna, powinien pozwolić jej teraz spać. Krzyczała wniebogłosy, kiedy lądował helikopter, a Bartek stojąc machał rękami. Z maszyny wyskoczyło dwóch mężczyzn, jeden z walizką. Przedstawił się jako lekarz.

— Co jej jest? — delikatnie badał dziecko.

— Nie wiem. Wyciągnąłem ją z wraku rozbitego samochodu.

W końcu Bartek jeszcze raz wziął płaczącą dziewczynkę na ręce i wsiedli do śmigłowca. Tam lekarz namówił ją do wypicia jakiejś mikstury. Polecieli. Z góry widzieli mnóstwo migających świateł, stojących pod nimi i jeżdżących po całej okolicy.

— Co tam się stało? — doktor oderwał się od dziecka. Wszyscy patrzyli w dół.

— Chyba jakiś karambol.

— Na pustyni?! — spojrzeli na Bartka. Ale nie zadawali głupich pytań.

— Wzywają cały personel medyczny, jak do katastrofy — oznajmił pilot, który miał na uszach słuchawki.

— Gdzie lecimy? — wykrzyczał do niego Bartek.

— Z powrotem do Balic. Dziecko zabierze karetka, na pana też ktoś już czeka.

Rzeczywiście czekał — młodzieniec z żołnierską fryzurką, w czarnej vectrze z kogutem pod przednimi światłami i chyba zapomnianym lizakiem na desce rozdzielczej.

— Zanim wsiądę — Bartek nie był tym wszystkim zachwycony — muszę wiedzieć, gdzie mnie zabierasz. Mam swoje sprawy.

— Dosłownie dwa kroki — młody przystojniak mówił z krakowską melodią. — Mamy dom pod Zabierzowem, tam zrobili zbiórkę.

— Hm... — wsiadł.

— A gdzie pan chce jechać? — chyba uznał w nim szarżę. Ruszył z piskiem opon.

— Chcieć, to nie chcę. Bałem się, że mnie zabierzesz na Montelupich.

Młodzieniec roześmiał się, jakby Bartkowi udał się dowcip.

Jechali rzeczywiście niedługo, zwłaszcza że agent nie bał się radarów. Dom z podjazdem wyglądał na niewielki pensjonat, na parkingu stało już kilka samochodów. Kręciły się też klony Bartkowego kierowcy.

— Pan idzie do środka. — Wysiadł, zapalił papierosa. — Ja dzisiaj robię za kota.

Zaczął witać się z kolegami. Żaden z nich nie przyglądał się Bartkowi jakoś szczególnie, więc Bartek uwierzył, że jednak nie jest sensacją dnia. Złapał za klamkę, lecz drzwi były zamknięte. Już miał poinformować o tym kierowcę vectry, kiedy szcęknięły i same się otworzyły. Dostrzegł kamerę.

Hol był pusty. Przez otwarte drzwi po lewej zobaczył ścianę monitorów. Siedział przed nią facet, który kiwnął mu przyjaźnie i pokazał kciukiem za siebie. Dla Bartka oznaczało to chyba na wprost. Poszedł.

Duży salon prezentował się dosyć luksusowo. Na ścianach wisiały reprodukcje polskiego malarstwa w stylowych ramach, na miękkich dywanach rozstawione były fotele i szerokie kanapy, przy każdej stał stolik o wygodnej wysokości. Mogło tu komfortowo obradować kilkanaście osób, ale było ich tylko trzech. Młodzi, przystojni, szczupli, pewnie wysportowani. Wszyscy siedzieli z włączonymi laptopami. Dwóch zaledwie podniosło na Bartka oczy, jak członkowie elitarnego klubu, do którego usiłuje wkraść się ktoś obcy, jeden wstał.

— Dzień dobry panu — przywitał się. — Mam na imię Krzysztof. Jesteśmy wysokimi rangą oficerami Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Zostaliśmy wyciągnięci z łóżek, żeby wydostać pana z tego bałaganu, którego pan narobił. — Uśmiechnął się, poprowadził Bartka do fotela. — Proszę nam w skrócie opowiedzieć, co tam się wydarzyło.

— Stawiacie mnie w trudnej sytuacji. — Bartkowi, jak tylko opadł w miękki fotel, od razu zachciało się spać. — Mogę dostać kawy?

— Oczywiście. — Żaden nie ruszył się z miejsca. Za to po paru sekundach wszedł młody człowiek z tacą.

— Nie znam żadnego z was — Bartek dołął do kawy śmietanki, wymieszał — i na dobrą sprawę nie mam wiele do opowiadania. Jak to się mówi, znalazłem się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie. Pan Szczęsny opowie wam resztę.

— Dostaliśmy sygnał, że pan nas nie lubi — oficer znowu się uśmiechnął — ale nie jesteśmy obrażalscy. Liczy się przecież, że to my lubimy pana. Inaczej tłumaczyłby się pan teraz na komisiariacie w Kluczach. Wątpię, czy mają tam taką dobrą kawę.

— Dlaczego? Mogą mieć sponsora...

Boczne drzwi znowu się otworzyły i stanął w nich jeszcze inny młodzieniec. W ręce trzymał telefon komórkowy. Promieniował, lecz spojrzawszy na Bartka zawahał się.

— Mów — polecił ten uprzejmy oficer. Musiał być tu najwyższy rangą.

— Znaleźli Marciniaka! — zrobił pauzę dla większego efektu. Wszyscy czekali patrząc na niego. — Popelnił samobójstwo. Strzelił sobie dwa razy w brzuch i siedem razy w serce.

Po minie młodego klona Bartek wnioskował, że to dla nich dobra wiadomość, jednakże nie podzielili się z nim radością. Można powiedzieć, że unikali patrzenia w jego stronę. Ci dwaj od laptopów spektakularnie odjęli od nich ręce, wodząc wzrokiem za szefem. Bartek nie rozumiał tej tajemniczej euforii.

— To co robimy? — szef rzucił w przestrzeń pokoju. Po chwili dotknął prawego ucha. — Od razu tak mówiłem. — Podszedł do Bartka, wyciągnął rękę. — Witamy na pokładzie.

Bartek nie odwzajemnił gestu

— Zuzanna Skoczyńska — odwrócił się do tego w drzwiach. — Ja wiem, że wszystkie dzieci są nasze, ale znajdź mi Zuzannę Skoczyńska.

— Tam jest sodoma i gomora — młodzieniec pokręcił głową. — Te dzieci są półprzytomne, większość nie jest w stanie podać nawet swojego imienia.

— To ściągnijcie z Częstochowy jej matkę, Martę Gawrysiak... — podał adres. — Niech ją rozpozna. Dopiero jak porozmawiam ze Skoczyńską — spojrzął na szefa — będziemy mogli zacząć ścisnąć sobie ręce.

Oficer potwierdził skinieniem głowy młodemu, że może wziąć się do roboty.

— Poczekaj! — zatrzymał go Bartek: jak dają, trzeba brać. — Jakub Lenkiewicz, ksywa Prinz. Diler narkotykowy, który ją tam wysłał — dotknął swojej obolałej twarzy. — Powinni go mieć, a jeżeli zwiął, obstawcie granice, bo to światowy człowiek. Bez pięciu minut sam na sam ze skurwysynem też się z wami nie zbratam, a nawet nie zasnę.

— Ale bez broni — pogroził mu szef paluchem.

— Nie potrzebuję broni — zazgrzytał zębami Bartek.

Młody wystrzelił jak z procy.

— No dobrze, czy możemy wreszcie i my o coś poprosić? — oficer usiadł naprzeciwko Bartka. — Grzeczność wymagałaby...

Bartek powstrzymał go ruchem dłoni.

— Ostatnie pytanie... — Odwlekał je, starał się o nim nie myśleć. Trzeba jednak było wreszcie się z nim zmierzyć. — Ola Klasa. Co z nią?

— Może nie przeżyć — odpowiedział jeden od laptopów. — Ale walczy.

— To naprawdę był rodzinny interes? — szef kręcił głową z niedowierzaniem.

— Czyś pan oszalał? — zdenerwował się Bartek. Więc oni tak to widzą? — Ten cały Nowak nie powiedział wam?

— Jaki Nowak?

— Sprzedajny policjant, ochroniarz Marciniaka. To on podniósł alarm.

Zapadła cisza. Bartek domyślił się, że wiadomość poszła w eter i teraz czekają na ekspertyzę. Zaczynały kleić mu się oczy.

— Komisarz Wiesław Nowak spędzał turystycznie weekend na Pustyni Błędowskiej, kiedy usłyszał strzały i wybuchy. Wezwał pomoc i sam włączył się do akcji.

— Wiedziałem, że jest zaradny. Ale to już wasza sprawa.

Bartek opowiedział im wreszcie wszystko po kolei, od Abrahama. Od dnia, w którym Kasia Szczęsny wypadła z autobusu. Co mówił Śledziu i jak go zabili, a on zdobył skorpiona. Jak zalał się po śmierci Kasi i poznał Zużę. Co zrobił z Bułą.

Skoro chcieli zmyć jego grzechy, nie było sensu zostawiać czegokolwiek w szafie na później. Opowiedział o intrydze Prinza i ulotkach KBM. O złodziejach z ulicy Mrocznej i jak uwiódł Olę. O konferencji u Szczęsnego i jak przecenił Oli zaćpanego brata. O akcji na pustyni i — ze szczegółami — jakim ojcem był Marciniak. Jak Ola uratowała mu życie i jak zapomniał o dziecku w taranowanym samochodzie. Trwało to kilka godzin, gonił resztkami sił. Słuchali bez żadnych pytań, donosili mu kawę i wodę mineralną, w końcu obydwaj młodzi zostali w pokoju, stojąc przy otwartych drzwiach swojej tajnej komnaty.

Bartek nie opowiedział o swoich rozmowach z Zużą ani o tym, co mu obiecała. Kiedy skończył, bardzo długo trwała cisza.

— Czy wie pan, dlaczego mógł być taki skuteczny? — przerwał ją wreszcie szef.

— Bo nie trzymałem się litery prawa.

— Dobrze, że pan to wie. Niech pan spojrzy — szerokim gestem wskazał swoich współpracowników. — Oni panu zazdroszczą. Bo każdy z nich trzy razy polecałby ze służby, gdyby tak się zabawiał.

— Powinien pan napisać książkę — zauważył ten od kawy i zarumienił się.

— Jazda stąd — szef machnął ręką.

Ten z komórką podniósł ją do ucha. Odpowiedział kilkoma monosylabami, potem spojrzął na Bartka.

— Marta Gawrysiak nie rozpoznała w żadnym z dzieci swojej córki.

— Jak to: nie rozpoznała? — Bartek był już naprawdę zmęczony.

— To znaczy, że jej tam nie ma.

Na chwilę zmroziła go straszna myśl. Agent wyczuł jego strach.

— Nie, nie, wśród ofiar nie ma dzieci. Ani jednego.

— A Prinz?

— Też go nie ma. Udało mu się uciec. Ale wciąż ich tam łapią po okolicy — starał się go pocieszyć młodzieniec.

— Jego nie złapiecie. — Na chwilę ogarnęła Bartka rozpacz. Czego się spodziewał? Przecież wiedział, że to nie koniec jeszcze tam, na pustyni. — To najgorsza menda. Szczęsny! — krzyknął w przestrzeń pokoju. — Potrzebuję tego ojca z RPS-u. Skończmy to wreszcie.

Zaprowadzili go na górę i pozwolili iść spać.

Było późne popołudnie, słońeczko wciąż grzało. Andrzej Guzik prowadził anonimowego srebrnego Rava 4, którego dostali od służb. Starał się dzielić z Bartkiem swoją wiedzę.

— Oni mogą być wszędzie, mają wiele kryjówek po całej Polsce. Ale na pewno warto spróbować. Śląsk ich ciągnie, zaraz sam pan zobaczy dlaczego.

Bartek zobaczył. Wcześniej czytał i słyszał — jak każdy — o upadku Śląska. Ale ujrzeć to na własne oczy to zupełnie inna para kaloszy.

Mijali pozamykane kopalnie i huty, w których bez żadnych dodatkowych kosztów można by kręcić „Terminatora”. Pordzewiałe żelazne wieże, gigantyczne hale z porozbijanymi szybami, pokruszone wielokilometrowe ogrodzenia, kupy złomu tak

niebotyczne, że będą w stanie wyżywić tysiące zrezygnowanych rodzin jeszcze przez wiele pokoleń. Oglądał puste ulice w centrum miasta, opuszczone sklepy pozabijane dyktą. Stadion sławnej drużyny piłkarskiej zamieniony na targowisko pełne błota. Ósrodek, w którym wciąż można znaleźć korki od szampana, a z którego powyrywano nie tylko okna, sedesy czy krany, ale nawet kostkę ze spacerowych chodników. Parkową aleję, przy której sztuka po sztuce poobcinano betonowe słupy lamp, aby potem rozbić je na kawałeczki i wyłuskać z nich kable i złom zbrojeniowy. Ulice, które zamiast tętnić codziennym rozgardiaszem, stały zatopione w bezruchu i ciszy, a pojedynczy mutanci ledwo podobni do ludzi stawali na ich widok i nie spuszczały oczu z samochodu. Handlarzy nieodgadzionymi rupieciami, które sprzedawali po trzydzieści groszy, ale byli gotowi spuścić do piętnastu.

Tak wygląda dzisiaj kraina po upadku Złotoustego, który ją sobie upodobał. Bo oni mu uwierzyli, że są wybrani, młodzi, zdrowi i bogaci i że tak będzie zawsze. Mogą się o nic nie martwić, tylko go wielbić, a on im stworzy raj po wieczne czasy. I nic ich nie obchodziło, że dokoła wszystko szczelo, że inni krzyczeli: „Pali się!”, że Złotousty kłamie i zabija, że nikt nie jest nieśmiertelny. Oni byli, bo tak im obiecał. A kiedy zniknął syty i upasiony, zastygli w pół gestu, bo nie umieli już żyć bez pięknych słów Złotoustego. I patrząc na swoją starość, nędzę i choroby pytają: „Kto go nam zabrał, ojczulka?” i modlą się, żeby wrócił. A w tym czasie ich domy zapadają się pod ziemię jeden po drugim.

— Wie pan, dlaczego te ulice są tak puste? Bo tu nigdy nie było w zwyczaju spędzać popołudnia w kawiarniach czy teatrach. Na polskim Śląsku się pracowało, bawić jeździło się za granicę, przede wszystkim do Bytomia, który był sławny jako Mały Wiedeń. Jak pan popatrzy do góry, na fasady tych kamienic, to przecież są jawne arcydzieła. Ale oglądając je z poziomu ulicy, widać tylko otępienie i ruinę.

To było po prostu nie do uwierzenia. Wszystkie partery zabite blachą i dyktą. Centrum wielkiego miasta z opustoszałymi domami. Puste parcele, z których zebrano już gruz, obok kamienic przeznaczonych do rozbiórki, gdzie jeszcze wciąż powiewały firanki. Domy zwalone na pół, na ćwierć, czekające w kolejce na swój los. Nagle pan Andrzej skręcił ostro i oczom Bartka ukazał się wspaniały gmach bijący w oczy elegancją, czystością i obojętnością na wszystko, co działo się wokół niego.

— A to co?!

— To? Opera Śląska...

Fitzcarraldo! Bartkowi przypomniał się film Herzoga o szaleńcu, który postanowił zbudować operę w środku dżungli. Zastanawiał się, gdzie melomani idą na spacer po spektaklu w ciepły letni wieczór jak dziś. Nie miał wątpliwości, że natychmiast wskakują do przyciemnionych wnętrz swoich samochodów i uciekają, jak najdalej stąd.

Powoli zapadał zmierzch, a oni krążyli po śląskim molochu czekając, aż szczury zaczną wylazić z nor. Przejżdżali koło starych hal dworcowych i przyglądali się dziewczynom wycierającym tyłkami metalowe barierki. Obserwowali dworzec PKS i narkomanów zaczepiających ludzi. Krążyli pomiędzy opustoszałymi kamienicami, skąd nastolatki pokazywały im swoje przyrodzenie unosząc minispódniczki. Przejechali parkową drogą, gdzie dziewczyny już nawet nie chodziły, tylko dziesiątkami siedziały na posklepanych z byle czego stołkach. I kotłowały się w samochodach albo po prostu w otwartych drzwiach, na kłęzcząco.

Ani Zuzy, ani Prinza nie było, zresztą Bartek nie łudził się, że będą stać na ulicy i na niego czekać. Miał spotkać się z wolontariuszem znającym tutejsze środowisko i połączyć razem po melinach. Był umówiony z zakonspirowanym agentem, dostał też namiary na kilku Anonimowych Narkomanów. Mieli mu pomóc w dotarciu do miejsc nie znanych nawet pracownikom społecznym.

O wpół do dziesiątej wieczór wszystko to stało się niepotrzebne. Jego telefon zadzwonił.

— Tak?

— To ty krążysz tym srebrnym samochodem i straszysz ludzi?

Zuza! Piszcziała sztucznym głosem na granicy hysterii, ale to była ona, jego przybrana córeczka. Cud, że była w stanie w ogóle mówić po ostatniej nocy, ale żyła i odnalazła go!

— Tak, kochana, to ja.

— Przyjechałeś po mnie?

— Tak.

— To dobrze. Podjedź pod operę. Będę czekać — rozłączyła się.

— Zuza! — wykrzyczał Bartek do pana Andrzeja. — Czeka pod operą!

Ojciec uratowanej Małgosi na pewno rozumiał jego wilgotne oczy i walenie po plecach. Przejechał przez chodnik, śmignął przez trawnik i już pędzili z powrotem do Bytomia. Jeszcze raz ostry zakręt i stanęli pod oszklonymi drzwiami. Wysiadł. Zuza wychynęła z mroku, wzięła Bartka za rękę.

— Chodź.

Ubrana była w jakieś za duże brudne dżinsy szorujące po chodniku i zawiązaną na gołym brzuchu męską koszulę. Kiedy ciągnąc Bartka zrobiła krok, zobaczył, że jest boso. Ale największą żalność budziło jej małe ciało utrzymywane w pionie jakimiś straszliwymi dawkami prochów. Była półżywa i tak naszprycowana, że widać było, jak na każdy gest zużywa resztki sił.

— Zuziu, kochana... — Bartek starał się ją przytulić. Nie pozwalała, ciągnęła go z nienaturalną siłą, a on bał się z nią szarpać, by nie pękło jej serce na środku ulicy. Pan Andrzej wysiadł z samochodu, chyba chciał pomóc zabrać ją na siłę. Bartek powstrzymał go gestem. — Gdzie chcesz iść? Jedźmy do domu, potrzebujesz pomocy.

— Chodź — upierała się — tam są inne dziewczyny. Niech on zostanie — mówiła patrząc przed siebie jak zaprogramowana.

Bartek musiał poczekać na właściwą chwilę, aby wziąć ją na ręce, teraz by mu nie pozwoliła. Koniecznie chciała mu coś pokazać. Może ktoś jeszcze potrzebował pomocy?

Zeszli z ulicy i przeszedłszy przez zrujnowane podwórko, zagłębili się w bramę ciemnego pustego domu. Bartek nic nie widział, ale Zuza pewnie prowadziła go za rękę korytarzami i schodami w dół. Słyszał głosy, widocznie gdzieś w tych ciemnościach znajdowali się ludzie. Coraz trudniej było oddychać stęchłym powietrzem. Kluczyli chyba po piwnicach, jakieś zwierzę otarło się o jego nogi. Dostrzegł światło na końcu korytarza i doszli do wielkich żelaznych drzwi. Były uchylone, a za nimi przy kilku świecach rzeczywiście siedziały na występie muru trzy dziewczyny. Poubierane podobnie jak Zuza, miały na sobie jakieś przypadkowo poznajdywane spodnie i koszule lub swetry, były też boso.

— Widzisz? Jesteśmy...

Zuza puściła jego rękę i usiadła obok dziewczyn. Wszystkie były na prochach, wszystkie wpatrywały się w niego nieruchomym wzrokiem z natężeniem osób chorych psychicznie. Ich oczy w migotliwych płomykach świec połykiwały raz czernią, raz czerwienią. Coś zaszczało za Bartka plecami i drzwi zatrzasnęły się z hukiem. Odwrócił się, usłyszał przekręcanie klucza i diabelskie chichoty. Coś tam się działo, ktoś chyba zakładał sztabę. Bartek przystawił oko do otwartego judasza. Najpierw długo widział ciemność, potem malutki płomyk zapalniczki, wreszcie rozpalający się knot świecy i po chwili zobaczył Prinza. Unosił ręce w triumfalnym geście, tańczył jak wariat. Zobaczył oko i splunął w dziurę judasza, ale Bartek zdążył się odsunąć.

— No i co teraz, morderco? — śmiał się i cieszył, doskakiwał do drzwi i kopał je z przytupem. Był naćpany jak koala. — No i co? Myślałeś że ci się uda? Chciałeś piekła? To teraz sam się przekonasz, jak tam jest!

Bartek nie bał się go, jego brednie nie robiły na nim wrażenia. Wiedział, że szybko ich znajdą, i sycił się piołunową rozkoszą jego obecności. Już mu go nikt nie zabierze!

— To mój wróg! Na jego krwi zbuduję nowy Kościół! — wyrzeszczał Prinz w okrągły otwór.

Bartek chciał się roześmiać i wtedy poczuł prawie jednocześnie dwa uderzenia, w szyję i plecy. Odwrócił się. Przed nim stały trzy dziewczyny z czerwono-czarnymi oczami. Boso podeszły go bezszelestnie. Jedna trzymała otwartą brzytwę z uchwytem oklejonym plastrem, dwie miały długie kuchenne noże. Zobaczył, że po brzytwie spływa krew. Poczuł słabość w nogach, dotknął szyi. Ręka przylepiła mu się do krwi. Jedna z dziewczyn zamachnęła się nożem. Zdążył złapać ją za ramię, poczuł, jak nóż drugiej wbija mu się w policzek i opiera o zęby. Łapiąc rękę, która rozrywała mu twarz, zauważył błysk brzytwy, więc rzucił się do przodu, starając się przygnieść jej właścicielkę. Musiał puścić ten pierwszy nóż i od razu dostał nim w ramię. Straszliwie krzyżąc przewrócił się z dwoma dziewczynami na ziemię.

— Niech ginie! Niech ginie! — darł się Prinz w otwór drzwi. — Będziemy kroić jego trupa i jeść, aż zamienimy go w gówno!

Bartek nie dał już rady podnieść się, nie miał siły walczyć. Szarpał się i machał kończynami, lecz bachantki wbijały w nie swoje ostrza, dziobały jego brzuch, twarz i pierś. Już przestawało boleć, prawie nic nie widział.

— Eopteia! Powiedz mu! — krzyczał Prinz. — Powiedz mu teraz!

Jego głos ucichł, Bartek usłyszał szamotaninę za drzwiami. Dziewczyny usiadły wokół niego dysząc. Zuza wstała powoli, oburącz trzymała nóż. Bartek go rozpoznał — to był jego nóż, śmiertcionośne narzędzie izraelskich komandosów, które powinno leżeć schowane w domu. Przez różową mgłę patrzył, jak Zuza najpierw staje nad nim okrakiem, potem kuca. Słyszał że-

lazne łomoty za drzwiami i bał się, że nie zdąży usłyszeć tego, co Epopteia ma mu powiedzieć. Zuza znalazła nożem jego serce i oparła się na nim całym ciałem.

— To już ostatnia próba — powiedziała jedynie.

A Bartek dopiero teraz zrozumiał, że nie może mu powiedzieć nic więcej, bo jest tylko skrzywdzonym dzieckiem. W jej rozświetlonej opętaniem twarzy zobaczył wszystko, co zrobił. Ogarnął go żal, że już nigdy nie zdoła jej przeprosić.

Boże, któryś jest! Chciałem Cię oszukać. Ale ulituj się nad nią i nie pozwól im jej zabić!

Otworzyły się drzwi i padło na nich mnóstwo światła. Zuza wzniosła nóż, a kiedy go opuszczała, Bartek usłyszał strzał. Poczul na swoich wargach jej szepczące usta, lecz nie potrafił zrozumieć, co mówią.

ROZDZIAŁ XXIV

Na początku była nicość. Dopiero później nadeszła ciemność, a wraz z nią straszne czerwone oczy. Nic więcej. Tkwiły tam żywe, czasem znikwały jak w powolnym mrugnieniu, a ja umierałem ze strachu. Nie miałem jeszcze pamięci, nie odczuwałem istnienia swojej osoby. Był tylko mój strach w ciemności i te oczy gorejące jak dwa bliźniacze wulkany.

Z czasem zacząłem słyszeć. Najpierw delikatny poszum, potem wychwytywałem ludzkie głosy. Ludzki płacz. Pojedynczy, gdzieś blisko, i tłumny, daleki, pilnowany przez czerwone ślepie. A kiedy znikwały na tę krótką chwilę, słyszałem głos: „Czekam na ciebie...” To niedokończone słowo było najbardziej przerażające. Przeszkadzało jak cierń, groziło jak miecz Damoklesa. Ilekroć wracała ciemność, a ja słyszałem: „Czekam na ciebie...” bałem się, że tym razem zdanie zostanie dokończony i nastąpi coś strasznego. Co — nie wiedziałem.

Jeszcze później odkryłem czucie. Były to różne bóle, pasujące do tych łez, które wciąż słyszałem, ale czułem też głaskanie, przyjemny dotyk na czole, ściskanie mojej dłoni. W ten sposób wróciło poczucie istnienia, byłem obolałą osobą, która słyszy płacz, i boi się zdania: „Czekam na ciebie...” i trwa w ciemności wobec nieuchronnych czerwonych oczu.

„Czekam na ciebie...”

A później przyszła Kasia. To ona płakała blisko mnie. Wierzyłem, że przyszła po mnie, chciałem, aby mnie stamtąd zabrała, ona jednak powtarzała tylko: „Przepraszam! Przepraszam!” Odeszła, zniknęła, chociaż wyciągałem do niej rękę. I nic nie mogłem zrobić. Byłem kilkuletnim chłopczykiem sam na sam z czerwonymi ślepiami. I mój lęk. I moje łzy.

Kiedy otworzyłem oczy, poraziło mnie światło. Wcale nie odczułem radości. Bolało równie mocno jak czarny strach. Oślepiąło pamięcią i żalem: tyle zła, tyle przemocy!... Nie mogłem się ruszać, wodziłem więc wzrokiem w rozświetlonej mgle, starając się dopatrzeć znanych kształtów w cieniach i konturach. Jak Conradowskiemu Kurtzowi ciążyła mi wina spalonej ziemi i powtarzałem za nim: „Potworność! Potworność.” Nie czułem ani wyzwolenia, ani radości.

— Panie Bartku... panie Bartku...

Starałem się odnaleźć źródło tego ciepłego szeptu, lecz nie mogłem ruszyć głową. Zobaczyłem ciemniejszą plamę, która mogła być twarzą. Poczulem uścisk na swojej dłoni, mokry dotyk na czole.

— Wiedziałam, ja zawsze wiedziałam... Oni wszyscy... A ja wiedziałam...

Ktoś przemył mi oczy, ostrość wyraźnie się poprawiła. Nade mną pochylała się kobieta ubrana w jakiś okropny brunatny płaszcz, spod kolorowej chustki wystawały mokre kosmyki ciemnych włosów przyklepione do czoła. Twarz też miała mokrą.

— Zaraz będzie tu mnóstwo ludzi, ale ukradnę im te pierwsze chwile — głąskała moje policzki.

Miałem tyle pytań, nie potrafiłem jednak wydobyć z siebie głosu.

— Niech pan się nie nadweręża — dotknęła moich ust. — Powiem panu, co się dzieje. — Usiadła na brzegu łóżka, wzięła mnie za rękę. — Mam na imię Michalina, jestem pielęgniarką, a pan leży w Szpitalu Chirurgii Urazowej w Piekarach Śląskich. Niech pana nie dziwi mój strój, dopiero przyszłam do pracy, jest

— spojrzała na zegarek — za dziesięć druga. Codziennie po drodze z domu wstępuję do kościoła na modlitwę w pana intencji i dzisiaj Matka Boska wysłuchała mnie. Kiedy weszłam, miał pan otwarte oczy. — Uniosła moją dłoń i pocałowała. — To prawdziwy cud.

Nie bardzo rozumiałem, o co jej chodzi, musiałem się dowiedzieć, co z Zużą. Zacząłem charczeć i szarpać się.

— Niech pan poczeka. — Wstała, nałała do kieliszka jakiejś mikstury. — Proszę to wypić, ostrożnie. Może się uda.

— Czy... ona... żyje?

— Kto? — pochyliła się. — Ta dziewczynka? — była inteligentną kobietą. — Żyje, jest w Kobierzynie.

Ta odpowiedź wystarczyła mi na tyle, że zapomniałem o reszcie pytań. Kobierzyn? Krakowskie wariatkowo? To dobrze, myślałem, to dobrze.

— Muszę zawiadomić przełożonych. — Wstała. — Proszę się przygotować na wielkie świętowanie.

Faktycznie bardzo szybko zrobił się rejwach. Lekarze, pielęgniarki i cywile, wszyscy mieli mi coś do powiedzenia i cieszyli się, jakbym nagle przestał być różowym misiem. Co druga osoba kazała mi dziękować „siostrze Michalinie”, choć zupełnie nie wiedziałem, o co im chodzi. Ją, teraz w białym fartuchu, rozpoznałem. Starła się nie brać udziału w przedstawieniu, a nawet delikatnie wyprowadzała niektórych, uznawszy widocznie, że wydeklowali już swoje. Trwało to wszystko dość długo, w końcu jeden z lekarzy wyrzucił resztę osób i zbadał mnie pobieżnie. Czegoś ode mnie chciał, lecz nie byłem w stanie go usatysfakcjonować.

Nastąpiły dziwne dni. Wyczyniali z moim ciałem cudaczne rzeczy i ciągle powtarzali: „Świetnie! Bardzo dobrze!”, choć sam nie mogłem ruszyć ręką ni nogą i srałem pod siebie. Postanowiłem nie odzywać się na razie, co w niczym im nie przeszkadzało. Siostra Michalina też mówiła niewiele. Była przy mnie, kiedy się budziłem i zasypiałem, karmiła mnie i wynosiła

moje kupy. Myła mnie, głaskała i całowała w czoło, jak nikt nie patrzył. Ja z kolei podczas samotnych chwil ćwiczyłem głos, powtarzając świńskie wierszyki.

Pewnego ranka weszła razem z Jędrkiem Kurkiem. Przez ramię miał przewieszony płaszcz, w ręce trzymał czapkę. Oddał je Michalinie, podniósł moją dłoń, żeby ją uściśnąć. Jego ręce były zimne.

— No, bracie, tyle czasu — usiadł na krześle. Michalina stanęła za nim.

— Co to wszystko znaczy?... — udało mi się wyartykułować, czym ich chyba zaskoczyłem.

— Kur... cze, więc jednak mówisz — ucieszył się. — A mnie tu straszą, żebym dał sobie na wstrzymanie. Ile widzisz palców? — pokazał mi trzy.

— Siedem — odpowiedziałem.

— Siostró, kaczkę! To co, może jednak wypijemy po maluchu?

— Panie Andrzeju — Michalina trzepnęła go w ramię. — Ja się nie znam na żartach. I drugi raz pana nie wpuszczę.

— Co się dzieje? — przerwałem im to migdalenie.

— W zasadzie niewiele — rozsiadł się wygodnie. Zauważyłem, że Michalina zatrzymała rękę w pół gestu, jakby go pilnowała. — Nie wiem, ile pamiętasz.

— Dziewczyny z nożami.

— Właśnie. Dostałeś dwadzieścia jeden ciosów, masz ponad sto trzydzieści szwów. Ściągali ludzi z urlopów, żeby ci pocerować. Te świruski przecięły ci tętnicę, wypruły na wierzch flaki. Zużyli na ciebie roczny przydział krwi dla Śląska.

Znowu zauważyłem dziwne wahanie Michaliny. Jakby już, już miała Jędrka dotknąć, ale się powstrzymywała. On też to wyczuł.

— Jak się pani nie odsunie, zacznę panią obmacywać — powiedział do niej, wciąż patrząc na mnie.

— Proszę pamiętać, o czym rozmawialiśmy.

— Nie jestem debilem, siostrzyczko. Idź sobie.
— Nie ma mowy. — Usiadła w rogu pokoju.
— O co jej chodzi? — nie rozumiałem ich gry.
— Nawet sobie nie zwracaj głowy. Mów, czego potrzebujesz?

— Nie mam pojęcia. Dlaczego się tak dziwnie ubieracie?
— Dziwnie? — obejrzał siebie. — Czego chcesz od mojego ubrania?

— A ten płaszcz?
— Przecież jest listopad!

Siostra Michalina wyglądała jak pantera gotowa do skoku. A ja z trudem policzyłem.

— Spałem cztery miesiące?
— Ponad sto dni. Tyle chyba mogliście mu powiedzieć? — odwrócił się w jej stronę. — Jakoś go to nie zabiło.

— Nie będę z panem dyskutować. Zaraz pana wyrzucę!
— To znaczy, że jest więcej tajemnic? — były mi obojętne.
— Jest, jest. Ale to prawda, najpierw wykuruj się, pochodź trochę, wszystko w swoim czasie.

— Przynajmniej nie jestem sparalizowany, bobyś nie kazał mi chodzić.

— Nic o tym nie wiemy, prawda, siostro?
— Oczywiście, że nie! Musi pan tylko znowu nauczyć mięśnie, co mają robić.

— No widzisz?
— Ale Zuza naprawdę żyje?
— Która to? Ta z Atlantydy? Żyje, ale musieli ją zamknąć. Jest trudna. Zresztą dla gówniary to lepiej po takiej jatce. Przewieźli ją do Kobierzyna. Domyślili się, że nie będziesz jej skarżył.

— A Ola? — przypomniałem sobie wreszcie.
— Jaka Ola? Marciniakówna? Żyje, i to jak — pokiwał głową z uznaniem. Michalina chyba się skrzywiła. Ale może mi się tylko zdawało. — Przecież ona to wszystko dziedziczny. Ubez-

własnowolnili braciszka i gdzieś schowali na leczenie, a ją traktują jak królową, rządowa ochrona dwadzieścia cztery godziny na dobę. Zmuszą ją, żeby się z nimi podzieliła, ale za to będzie nietykalna do końca życia. Chciałbym być chociaż wnukiem któregoś z prawników, co to prowadzą. Jeżeli cię to interesuje, Gosia Skibińska zna wszystkie szczegóły; siedzi w tym po uszy. Ja słyszałem o miliardach, nie pytaj czego. Amerykanie przysłali w tej sprawie delegację rządową.

— A Prinz? — Już go nie nienawidziłem.

— Popęłnił w celi samobójstwo. Gadał jak nakręcony.

Przyszedł lekarz ze swoim dworem, potem zabrali mnie na rehabilitację.

— Chcesz do Warszawy? — zapytał Jędrzek przed wyjściem.

— Nie wiem. — Popatrzyłem na Michalinę. — Może zaczekajmy, aż będę mógł wrócić o własnych siłach.

Jeszcze tego samego dnia odwiedziły mnie moje pracujące koleżanki. Staraly się nie robić zamieszania, ale i tak łzom i przytulaniom nie było końca. Zmęczyłem się, toteż siostra Michalina w końcu je wyrzuciła. Zrozumiałem jednak, że były tu już wcześniej.

— To znaczy, że ludzie odwiedzali mnie przez te cztery miesiące? — zapytałem, kiedy znowu zostaliśmy sami.

— Oczywiście!

— Proszę mi opowiedzieć.

— Na początku najwięcej było tajnej policji, wie pan, po cywilnemu. No i pan Andrzej. O tak, spędził tu dużo czasu. Potem przemaszerowały procesje prawników i biegłych sądowych. Po miesiącu zaczęła przyjeżdżać pani Klasa — starała się, żeby jej głos brzmiał obojętnie. — Dosyć często, z ochroniarzami, którzy zaglądali pacjentom pod łóżka. Załatwiła panu ten pokój. Były te dzisiejsze panienki, była też bardzo miła pani z trojgiem dzieci.

- Anna? Anna Godlewska?
- Być może, nie pamiętam nazwiska.

Następnego dnia weszło nagle dwóch ludzi, powiedzieli: „Dzień dobry”, machnęli dyżurnej pielęgniarce legitymacjami, wyprosili ją, a potem bez słowa myszkowali po wszystkich kątach, jakbym był częścią wyposażenia pokoju. Co ja zrobię, nie lubię ich i już. Powinni im chyba zmienić system szkolenia, bo arogancja wcale nie poprawia skuteczności.

Zaraz po nich weszła Ola. Spodziewałem się kostiumu operowej diwy, a zaskoczyła mnie stonowaną elegancją. Oddała płaszcz ochroniarzowi i wyprosiła wszystkich. Patrzyliśmy sobie w oczy, usiadła na krześle.

- Nie przeszło ci jeszcze?

Pokręciła głową.

— To przytul się. Możesz mnie pocałować — zażartowałem.

Jej zapach i mokre pocałunki wciąż miały nade mną władzę i nie chciałem, żeby było inaczej. Bo przyznam się wreszcie: nie odczuwałem wdzięczności do siostry Michaliny. Złego diabli nie biorą, a gdyby nie ona, być może Kasi udałoby się mnie zabrać i szybowałibyśmy sobie teraz razem w niebieskich przestrzeniach. Obietnice Zuzy mogły się spełnić, jedynie przyziemność tego świata nie dopuściła do tego. Tak to widziałem i już.

Zdołałem objąć Olę ramionami i cieszyłem się, że jej nie przeszło.

- Kupiłam tym ludziom mieszkanie, jak prosiłeś.

— Miałem załatwić im pracę.

— Pracują, nie martw się. A propos obietnic, coś ci pokażę. — Wysunęła ramię z rękawa luźnego swetra i wyciągnęła je za moją głowę. Miałem przed twarzą jej pachę z ciemnymi delikatnymi włosami lekko pozlepianymi wilgocią. — Ja swoje zrobiłam, a ty? — wsunęła ramię pod koldrę i znalazła moją erekcję.

— Co pani wyprawia?! — usłyszeliśmy głos siostry Michaliny. — Proszę natychmiast wyjść z łóżka pacjenta!

Ola podniosła się z uśmiechem. Zanim się ubrała, pokazała Michalinie swoją płaską pierś, dotknęła palcem okrągłej blizny.

— Widzi siostra? To była kula, która miała go zabić. Jego życie należy do mnie. Zpracowałam na nie.

— A ja? — upomniała się Michalina, choć w swoim brunatnym płaszczu nie powinna mierzyć się z koleżanką Lagerfelda.

— Jest pani znakomitą pielęgniarką, mówiłam to już. Będziemy zawsze o tym pamiętać i zawsze będziemy wdzięczni. Zaprosimy panią na nasz ślub.

Michalina odwróciła się i wyszła. Ola przeciągnęła się, wsuwając rękę do swetra.

— Chyba utylaś.

— Przeszkadza ci to? — położyła dłoń na wypukłym brzuchu.

— To twoje ciało.

— Chcesz się kochać?

— Bardzo. Tylko nie wiem, czy potrafię.

— Drobiazg... — Uchyliła drzwi, poszeptwała z ochroniarzami.

Od jej wizyty zacząłem szybko wracać do zdrowia, zwłaszcza że wpadała co kilka dni. Wbrew moim obawom nie zmieniły się relacje z siostrą Michaliną. Była jak przedtem pomocna, opiekuńcza, pełna optymizmu i zawsze obecna. Wyczuwałem, że wciąż istnieje jakaś tajemnica, którą ona zna, lecz czeka, aż wreszcie się wyda — nie wiem, co tam kombinowali, ale jakoś trudno było mi się tym przejąć. Przestałem już robić pod siebie, chodziłem coraz sprawniej, jądra produkowały spermę. Nie pamiętam, kto pierwszy rzucił, że na święta będę w domu, potem Ola zapytała, czy w Boże Narodzenie wolę śnieg czy plażę, i tak jakoś stało się oczywiste, że właśnie wtedy wyjdę ze szpitala i zacznę nowe życie.

Przedtem jednak był Święty Mikołaj. Zjawił się w osobach Jędrka i Krzysztofa, tego oficera z ABW w Krakowie. Wytlumaczyli mi niektóre wątki, jak to ludzie ze starych służb specjalnych, czyli Marciniak i jemu podobni, tak przyzwyczaili się do wszechwładzy, że wręcz obrażali się, gdy ktokolwiek próbował sprowadzać ich na drogę cnoty. Czasy się jednak zmieniały, młodzi tacy, jak Gogi, jej szef Paweł czy choćby ojcujący im Krzysztof nawet nie wyobrażali sobie, że dla pieniędzy mogą brać udział w tworzeniu kryminalnych struktur, i chcieli swoje państwo czyścić do białości. Byli uczciwi, wykształceni i bez kompleksów. Wszelkich Marciniaków widzieli nie na emeryturze, lecz w więzieniu. On z kolei nimi gardził, wciąż bowiem miał swoją organizację w ramach Firmy i niebywały talent do robienia wielkich pieniędzy.

Właściwie zgubiły go nie tyle te nieszczęsne dzieci, ile pycha. Ludzi takich jak Szczęsny traktował jak łaskawca i kazał się opłacać. A koledzy Szczęsnego wygrywali kolejne wybory i garnitury z Magdalenki stawały się dla nich coraz ciasniejsze, pijące i zamiast być niewidoczne, piętnowały. Pęknięcie w tajnych służbach było faktem od wielu lat, afera gonila aferę, szantaż teczkami doprowadzono do absurdu i właściwie każdy mógł zostać ubabrany, nawet jeżeli trzymał język za zębami.

Był też strach, bo pokazowy trup znajdował się dość często i w gruncie rzeczy nikt nie miał pomysłu, jak sobie z tym poradzić. Więc kiedy w tej swojej pysze Marciniak podniósł rękę na córkę Szczęsnego, a raczej na jej majtki, ten zaś kazał zbadać wszystko dokładnie po moim porannym alarmie, była to okazja, której ani on, ani jego koledzy nie mieli zamiaru przepuścić. I dlatego zrobił to, co zrobił.

— To znaczy, co zrobił? — nie zrozumiałem.

— No... wykorzystał cię jak burą sukę — kręcił jeden z drugim.

— Ja od niego pieniędzy nie brałem. Załatwiałem własne sprawy — wzruszyłem ramionami.

— Właśnie o to chodzi, o te twoje sprawy.

— Myślałem, że już dostałem medal — spojrzałem na Krzysztofa.

— Absolutnie! — podniósł rękę jak do przysięgi. — Order, stopień i dodatek do emerytury.

Pewnie żartowałeś.

— Więc o co chodzi? — nie mogłem ich wyczuć. Siedzieli na szpitalnych krzeselkach jak uczniowie, którzy coś przeszkrobali. — Jędrak, teraz albo nigdy!

Popatrzyli jeszcze po sobie.

— W każdym razie już dobrze się czujesz?

— Zaraz cię walnę.

— Dobra, trzeba to wreszcie załatwić.

Wstali, poodsuwali krzesła i wyszli. Już z ręką na klamce Jędrak odwrócił się:

— Pamiętaj, ja też cię Kocham.

Błazen. Nie wiem, dlaczego myślałem, że robią te wszystkie wstępy dla Szczęsnego. Ale to nie on stanął na progu. Wciąż zły i nie rozumiejący, o co im tak naprawdę chodzi, zobaczyłem... Kasię. Ktoś zamykający za nią drzwi popchnął ją krok do przodu.

— Przepraszam — wyszeptała.

Serce przestało mi bić i chyba zemdlałem. Ale siedziałem wciąż oparty o poduszki, więc ona też stała. Cisza zdawała się absolutna. W mojej głowie przewijało się zdarzenie po zdarzeniu, wszystko, co działo się ze mną od jej śmierci.

— Ja tego nie wymyśliłam — rozpląkała się.

Kiedy znowu mogłem oddychać, jeszcze raz obejrzałem ostatnie pół roku. Wcale nie wyglądało teraz inaczej.

Udało mi się unieść ramię i przywołać ją. Podeszła szybkim krokiem, stanęła przed łóżkiem. Dotknąłem jej ręki i przeszedł mnie dreszcz. Była tu naprawdę, ciepła i żywa. Pociągnąłem ją i przytuliłem. Płakaliśmy jak bobry. Wciąż ją odsuwałem, żeby się napatrzeć.

— To gdzie ty byłaś?

— W szkockim zamczysku, przez całe wakacje. Boże, jak ja się nudziłam! Nawet telefonu nie wolno mi było mieć. A co się tutaj działo, dowiedziałam się dopiero po powrocie. Ten twój kolega, pan Kurek, jak poznał prawdę, przyszedł do nas i opowiedział mi wszystkie detale, nie darował niczego. Krzyżował na ojca, że trzymasz ich za jaja i sami będą cię pytać, czy chcesz je na twardo czy na miękko. Myślałam, że się pozabijają.

Długo tuliliśmy się w ciszy.

— Jak stąd wyjdiesz, będziesz mógł zrobić ze mną wszystko, co zechcesz — wyszeptała mi nagle do ucha.

— Zrobię na pewno, już ty się o to nie martw.

Zabręczał mój telefon. Chciałem go zignorować, ale coś mnie tknęło. Szczęśny. To mogło być ciekawe.

— Słucham, panie Szczęśny.

— Wiem, że jest u pana moja córka, i wiem, że czuje się bardzo winna. Jeżeli spróbuje pan to poczucie winy wykorzystać...

Nie zdołał mnie zaciekawić.

— Przepraszam pana, ale Kasia właśnie zdejmuje mi spodnie... auć, uuch... — Rozłączyłem się.

— Jesteś okropny — nie przestawała mnie obejmować.

Opowiedziała mi w końcu, jak Śledziu poderwał ją z koleżanką na propozycję „dorosłej” imprezy w szkolnych mundurkach, jak zgadłem, co się wydarzyło tamtej niedzieli, kiedyśmy się poznali. Jak wróciła do Marciniaka po torbę, a on spróbował powtórki, szantażując ją nakręconym dzień wcześniej filmem z ukrytej kamery. Dlatego pomyślała o mnie, że może coś na to poradzę. Ale jej ojciec po rozmowie ze mną ustawił do pionu swoich ludzi i szybko się dowiedział o przygodzie córki. Opowiedziała mi, jak wyciągnął z niej wszystkie szczegóły i podjął decyzję, żeby to załatwić w taki a nie inny sposób.

Zrobiło się ciemno. Kasia wstała i otworzyła drzwi.

— Żyje — zakomunikowała.

Wieczorem, znowu sam na sam z siostrą Michaliną, podda
wałem się jej zabiegom w milczeniu.

— To z kim pan się teraz ożeni? — przerwała nagle ciszę.

— Jak na osobę pobożną, jest pani bardzo złośliwa.

EPILOG

Bartek Zborowski stał w oknie apartamentu na piątym piętrze hotelu Radisson i patrzył na nocny, przysypany śniegiem Kraków. Dochodziła piąta rano, słychać już było zgrzyty i dzwonienie pierwszych tramwajów. Próbował myśleć o tym, co wypełni mu ten dzień, lecz w jego głowie wciąż przewijały się obrazy wydarzeń ostatnich miesięcy. „Tak wiele dostałem, tyle Bóg uratował, a ja wciąż staram się nie pamiętać swoich ślubów, błagań i przyrzeczeń.” Wyprostował się, próbując podciągnąć bolącą nogę, i oparta o parapet kula ześlizgnęła się i upadła na miękki dywan. Obudziło to śpiącą w łóżku Olę, która poruszyła się i otworzyła oczy.

— Co robisz, kochany?

— Zastanawiam się, dlaczego po tym wszystkim, co się wydarzyło, wciąż nie potrafię być wdzięczny za otrzymane dobro.

— Z powodu śmierci — spojrzała na świecący zegar. — Piąta rano! Nie ma w tobie litości — przesunęła się po wielkim łóżku i przytuliła do Bartka, stając obok niego przy oknie. — Dyskusje z Panem Bogiem to twoja niezgoda na katastrofizm. Nie chcesz ciemnej chmury nad światem. Chcesz dobrego Boga tutaj, na ziemi, a wciąż widzisz, że to niestety tak nie działa.

— Ale Kasia zmartwychwstała.

— Wiem. Cokolwiek wymyślisz, pójdę z tobą. Tylko nie zapomnij podać mi ręki.

O wpół do dwunastej w południe Bartek kuśtykał przez Planty. Obfity śnieg sprawiał, że Kraków jawił się zaczarowany, a jemu zdawało się, że znowu ma osiem lat. Ze wszystkich stron słysząc było melodie popularnych kolęd, wszędzie migały na choinkach kolorowe światełka.

Dokulał się do dworca i na peron. Kiedy przyjechał pociąg, Kasia wyszła jako jedna z pierwszych — ona też nie mogła się doczekać. Stali długo przytuleni. Próbowali całować jedynie swoje policzki, ale usta same odnalazły się i spotkały.

— To takie trudne — powstrzymywała lzy.

— Damy sobie radę.

Wyszli z dworca i wsiedli do taksówki.

— Do szpitala w Kobierzynie.

Toczyli się z innymi samochodami przez zimowe miasto, aż dojechali do bramy. Znowu zaczął padać śnieg. Portier wpuścił ich bez pytań. Podjechali pod izbę przyjęć i Bartek ujrzał, że jest na wprost kościoła.

— Zobaczę, co się dzieje. — Kasia wysiadła i weszła do budynku szpitala.

Bartek też wysiadł i schodek po schodku wspiął się do świątyni, wszedł do środka. Patrzył na witraże, na malunki. „Co z nami będzie, Panie Boże?”

Kiedy wyszedł przed drzwi, byli tam już wszyscy: Kasia, Zuza, jej brat i rodzice. Pierwsza zauważyła go Marta, chciała podejść, ale pokręcił głową. Wreszcie zobaczyła go Zuza. Najpierw, w swoim stylu, zignorowała go, jakby był przypadkowym obserwatorem. Potem ruszyła w jego stronę, trzymając brata za rękę i rozmawiając z Kasią. Docierały do niego wyrwane z kontekstu zdania.

— Ale gdyby mnie adoptował, to byłabyś moją macochą?

— Ty chyba zupełnie zgłupiałas w tym wariatkowie.

Zszedł ze schodów. Patryk grzecznie podał mu rękę, Zuza wpatrywała się w niego, lecz nie mógł nic wyczytać z jej spojrzenia. Kasia stając obok, splótła palce z jego wolną dłonią.

— Zmarzniemy — przypomniała im po minucie.

Zuza zrobiła jeszcze krok i poklepała go po ramieniu.

— Masz wszystko, czego chciałeś.

Wciąż nie mógł zrozumieć jej uśmiechu.

— A co z tobą? Czy też masz wreszcie to, czego pragniesz?

Wzruszyła ramionami. Przez zimowe ubranie zobaczył jej nierówno unoszące się łopatki. Jego lato nie chciało się skończyć.

— Nie płacz, przestraszysz dziecko — zażartowała.

Patryk chyba rzeczywiście poczuł się niepewnie, bo pobiegł do rodziców.

— Co chciałaś mi powiedzieć wtedy, kiedy do ciebie strzelili?

Nagle jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, choć nie wszystkie śnieżynki doleciały jeszcze do ziemi, chmura odsunęła się i olśniło ich słońce odbite od skrzypiącego pod butami śniegu.

— Popatrz, jaki on jest — Zuza pociągnęła Kasię za rękaw, zaczęli iść. — Przed chwilą wyszedł z kościoła, trzyma ciebie za rękę, a wciąż czepia się szczegółów. — Ta sama co zawsze Panna Mądralińska. — „Głoś tam, gdzie będziesz, że już nie ma bogów.”

— Wiedziałem — ucieszył się Bartek. — Wiedziałem, że to czytałaś.

Kraków Wieczysta, 29-05-2005



Ania N. (1990-2004)

Źródło: archiwum autora

KILKA KONIECZNYCH SŁÓW OD AUTORA

Przed wszystkim oświadczam, że wszystkie postacie zostały stworzone jedynie mocą pisarskiej wyobraźni i nie mają, bo mieć nie mogą, żadnych odpowiedników w życiu realnym. Gdyby mimo to pojawiły się jakiegokolwiek zbieżności z ludźmi żyjącymi lub tymi, którzy już odeszli, są one absolutnie przypadkowe i bez znaczenia.

Pragnienie spotkania Diabła jest w historii rodzaju ludzkiego prawdopodobnie równie stare jak pragnienie trwania po śmierci. Mamy wielkie pisarstwo na ten temat, istnieje też mnóstwo radosnej twórczości. Przejrzałem sporo takich broszurek studiując literaturę II Rzeczypospolitej, w efekcie przyprawiłem „Królową” kilkoma cytatami. I tak historię ze zdejmowaniem z gzymsu opisuje w swoich pamiętnikach premier cesarsko-królewskiego rządu Franciszka Józefa, czeski hrabia von Auersperg, z tym że „w rzeczywistości” zamiast pięknej Kasi chodziło po prostu o worek złota. Najlepsze wskazówki, jak zrobić dagyde, znalazłem u R. P. Sabaziusa. Z kolei opis końca Atlantydy autorytatywnie podaje Edgar Cayce, więc bez zbędnych dyskusji na nim oparłem wersję Zuzy.

Co do Atlantydy — w trakcie pisania powieści dokonałem sporego wysiłku, aby zapoznać się z pracami Mariana Gruzew-

skiego, bez rezultatu. Nie pomogło klikanie w Internecie ani próby obejrzenia jego dzieł w Muzeum Sztuki w Łodzi. Sprawę pozostawiam otwartą — podobno był o wiele ciekawszym artystą niż jego dwuznaczna sława.

Uważny czytelnik dostrzegł zapewne, jak ważną bronią przeciw diabłu jest dla Bartka muzyka, ta prawdziwa, tworzona przez prawdziwych kompozytorów — polskich w szczególności — mających boski dar czynienia nas lepszymi. Ich dzieła są i dla mnie nieustanną inspiracją, ale jedno z nich niewątpliwie chroniło mnie szczególnie przed wszystkimi złymi mocami, które wywołałem opisując historię Królowy: „Exodus” Romana Bergera. Można kupić płytę (Acte Prealable AP0091-92), ja miałem szczęście wysłuchać go w Krakowie na koncercie Zuzany Ferjenčíkovej, młodej organistki, która dotykając klawiszy drobnymi palcami sprawiała, że cały kościół aż drżał do fundamentów, głosząc chwałę Pana. Do niej diabły na pewno nie mają dostępu.

„Talitha kum!” w tytule Części II to słowa Jezusa z Ewangelii według Świętego Marka, rozdział pt. „Córka Jaira”:

Gdy On jeszcze mówił, przyszli ludzie od przełożonego synagogi i donieśli: „Twoja córka umarła, czemu jeszcze trudzisz Nauczyciela?” Lecz Jezus słysząc, co mówiono, rzekł przełożonemu synagogi: „Nie bój się, wierz tylko!” I nie pozwolił nikomu iść z sobą z wyjątkiem Piotra, Jakuba i Jana, brata Jakubowego. Tak przyszli do domu przełożonego synagogi. Wobec zamieszania, płaczu i głośnego zawodzenia, wszedł i rzekł do nich: „Czemu robicie zgiełk i płaczecie? Dziecko nie umarło, tylko śpi.” I wyśmiewali Go. Lecz On odsunął wszystkich, wziął z sobą tylko ojca, matkę dziecka oraz tych, którzy z Nim byli, i wszedł tam, gdzie dziecko leżało. Ująwszy dziewczynkę za rękę, rzeki do niej: „Talitha kum”, to znaczy: „Dziewczynko, mówię ci, wstań!” Dziewczynka natychmiast wstała i chodziła, miała

bowiem dwanaście lat. I osłupieli wprost ze zdumienia. Przykazał im też z naciskiem, żeby nikt o tym nie wiedział, i polecił, aby jej dano jeść.

Dziesięć imion Pana z najstarszej części księgi Zohar to: Eheje, Jah, Jehowa, El, Elohim, Jehud, Eloha, Sabaoth, Szadaj, Adonaj.

Tak naprawdę Tadeusz Różewicz wcale nie gonił diabła.

Tadeusz Różewicz

KLATKA
(fragment)

*rodziłem diabła
na pustyni
włókł się po piasku
rodziłem go odbytem
z niebytu wylaził
ze mnie
stękając twarżel
żółtoczarny lśniący
ciężki nudny
powleczony śluzem
przemieniał się
w nalane krwią oko*

*ciało wychodzące z mojego
ciała
opuszczające mnie
pustoszące*

*przemieniające
mnie w nic
w czarną dziurę*

Mam nadzieję, że Wielki Poeta nie pogniewa się o Bartkową parafrazę.

I na koniec trochę wiedzy na podstawie encyklopedii PWN:

Eurypides, *Bachantki*

Utwór wyjątkowy w dziejach dramatu greckiego przedstawiający mit związany z bogiem Dionizosem, wprowadzenie do Grecji jego kultu i przerażającą karę za jego odrzucenie. Jedyna sztuka tego tragika, w której główną i stale obecną postacią jest bóstwo, początkowo ukryte, potem objawiające straszliwą moc. Kult Dionizosa odrzuca młody król, Penteusz. Widzi w bogu jedynie przestępcę wciągającego innych w ekstatyczne rozpasane orgie i niszczącego społeczne normy. W rezultacie bóstwo jakby „dostosowując się” do wyobrażeń króla wciąga go w śmiertelną pułapkę. Opętany Penteusz pada ofiarą bachantek tebańskich, dotkniętych szałem przez Dionizosa; rozszarpują go własnymi rękami jego matka i ciotki. Odczytuje się często ten utwór jako tragiczną walkę człowieka z bezlitosnym bogiem, walkę, w której człowiek skazany jest na zagładę.

Seneka, *Medea*

Krwawa tragedia, przedstawiająca zemstę Medei odtrąconej przez wiarołomnego Jazona. Bohater wyprawy po złote runo zamierza pojąć za żonę córkę króla Koryntu. Oszalała z bólu, rozdarta między poczuciem krzywdy i nienawiścią do męża a miłością do dzieci Medea postanawia się zemścić: zabija swoich synów dokonując mordu na oczach przerażonego Jazona. Jego słowa kończą tę mroczną opowieść o miłości i zbrodni:

„Głoś tam, gdzie będziesz, że już nie ma bogów”. Seneka nie znajduje dla zbrodniarki żadnego usprawiedliwienia, skupiając uwagę na samej naturze zemsty, niszczącej zarówno tego, przeciw któremu jest zwrócona, jak i samego mściciela.

Jeżeli spodobała Ci się ta książka lub chcesz się dowiedzieć czegoś więcej o autorze, zapraszam na www.seipp.pl.